

W obronie POKOJU

Nr 12 (30)  GRUDZIEŃ 1953 r. Cena zł 2.50

SZANSE TRWAŁEGO POKOJU

PROF. INFELD – PROF. CRISAFULLI

TRIEST – „ZIEMIA NICZYJA”

WSPÓLNOTY „EUROPEJSKIMI” ZWANE

AHMED RASSULI: REPORTAŻ Z IRANU

NIE KPIJCIE Z WYNAŁAZCÓW

J. RYTKIEU: DZIESIĘĆ DNI W WAGONIE

Wydawca: POLSKI KOMITET OBRONCÓW POKOJU

Redakcja: Warszawa, Foksal 16

Telefony: Redaktor Naczelny 65 181

Sekretarz Redakcji 65 184

Godziny przyjęć: 13 — 15

Administracja: W-wa, ul. Wiejska 12, tel. 853-30

Warunki prenumeraty: kwartalnie — 7.50 zł

półrocznie — 15.00 zł

rocznie — 30.00 zł

Zgłoszenia na prenumeratę przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy

Ekspedycja Centralna: Srebrna 12.

Drukarnia RSW „Prasa”, W-wa, al. Jerozolimskie 125

Wszelkie reprodukcje naszych tekstów i ilustracji są dopuszczalne tylko za podaniem źródła: „W Obronie Pokoju”

» W OBRONIE POKOJU «



Większość artykułów pochodzi z miesięcznika:

DEFENSE DE LA PAIX

33, rue Vivienne — Paris II — Tel CEN 49-27, 49-28

pod redakcją **PIERRE COTA**

deputowanego do francuskiego parlamentu

oraz

CLAUDE MORGANA, literata i publicysty

KOMITET DORADCZY

Dr ATAL (Indie), *prof. Uniwersytetu*, JOSE BERGAMIN (Hiszpania) *pisarz katolicki*, IZABELA BLUME (Belgia) *deputowana socjalistyczna*, GEORG BRANTING (Szwecja) *deputowany socjalistyczny*, ILJA ERENBURG (ZSRR), *pisarz*, Gen. ERIBERTO JARA (Meksyk) *b. minister*, MAHDI JAWAHIRI (Irak) *poeta*, LEON KRUCZKOWSKI (Polska) *przewodn. Zw. Literatów Polskich*, MAO DUN (Chiny) *przewodn. Zw. Literatów Chińskich*, CESA NABARAOUI (Egipt) *dziennikarka*, PIETRO NENNI (Włochy) *b. minister*, MARIA ROSA OLIVER (Argentyna) *literatka*, LUIGI RUSSO (Włochy) *krytyk*, GORDON SCHAFFER (W. Bryt.) *publicysta*, ARNOLD ZWEIG (Niemcy) *pisarz*.

SZANSE TRWAŁEGO POKOJU

EMMANUEL D'ASTIER

W OSTATNICH miesiącach zaszły na świecie ważne wydarzenia, które — napierając jedne na drugie, z kontynentu na kontynent — budziły to nadzieje, to zaniepokojenie.

O ile zawarcie rozejmu w Korei, narzuconego przez światową opinię publiczną, stanowiło niewątpliwie wielkie zwycięstwo, o ile odźwięk zainicjowanej przez Światową Radę Pokoju kampanii na rzecz rokowań potężnieje z każdym dniem, to szanse trwałego pokoju stoją ciągle jeszcze pod znakiem zapytania.

Atmosferę zaniepokojenia utrzymują uporczywe dążenia do panowania nad światem i manewry tych, którzy stawiają przeszkody na drodze do rokowań.

Takie fakty, jak prowokacje Li Syn-mana, gwałtowna kampania przeciw Indiom, warunki wysuwane w związku z konferencją polityczną w sprawie Korei, nie dopuszczanie Chin do ONZ świadczą, że niektórzy ludzie uważają rozejm w Korei jedynie jako narzucone zawieszenie broni, wykorzystywane przez nich dla przygotowywania nowych operacji wojennych.

Ci, dla których stosunki międzynarodowe są grą, gdzie wygrywa się siłą lub groźbą użycia siły, wybrali już tereny dla tych operacji. Tere-
nami tymi są Indochiny i Niemcy.

Pod naciskiem amerykańskiej administracji i w celu uzyskania dodatkowej pomocy w wysokości 385 milionów dolarów, rząd francuski zgodził się spotęgować działania wojenne w Indochinach, mimo że premier Laniel w czasie debaty parlamentarnej nad udzieleniem mu inwestytury zobowiązał się rozpocząć rokowania.

Waszyngtonowi chodzi o urządzenie i rozszerzenie przyczółka mostowego w Azji w celu wywarcia nacisku na „czerwone Chiny” i zagrożenia ich południowym granicom, tak, jak bazy w południowej Korei

i na Formozie mają zagrażać wschodnim granicom Chin. Ale aby utrzymać ten front amerykański, Francuzi, Algierczycy i Marokańczycy winni — w charakterze żandarmów amerykańskiej administracji — dawać się zabijać w jak największej ilości.

W nagrodę za to Francja dostaje premię, która pozwala jej rządowi odsunąć na parę dalszych miesięcy problemy, wynikające z nieznośnych ciężarów zbrojeniowych i katastrofalnego bilansu strat.

Ale strajki sierpniowe dowiodły, że naród francuski jest coraz mniej skłonny znosić ciężary zimnej wojny, a w szczególności ciężary tych tragicznych zmagających w Indochinach, które mobilizują teraz przeciw Francji niechęć i nieufność całego kontynentu i miliarda Azjałów. Debaty jesienne we francuskim Zgromadzeniu Narodowym świadczą, że te nastroje opinii publicznej przeniknęły do kół rządzących.

Drugi przygotowywany przez dowódców zimnej wojny teren operacji znajduje się w samym środku Europy. Sukces Adenauera w wyborach wrześniowych wywołał entuzjazm w amerykańskich kołach rządzących. Stany Zjednoczone świadomie ignorują zaniepokojenie Francuzów i Anglików, jakie ujawniło się nazajutrz po owej niedzielę wrześniowej, którą jeden z postów labourzystowskich określił, jako „jeden z najbardziej ponurych dni w historii Europy od czasów Hitlera“.

Głównym celem amerykańskich kół rządzących pozostaje remilitaryzacja Niemiec zachodnich, do czego nowy impuls ma dać Adenauer. Nadal pozostaje ta oś Waszyngton—Bonn, która ma umocnić hegemonię amerykańską w Europie zachodniej w oparciu o jedyny reżim (wraz z reżimem Franco), któremu ufają przywódcy amerykańscy.

Straszne byłyby skutki remilitaryzacji Niemiec zachodnich. Każdy miłujący pokój człowiek, czy uczestniczy w pracach i konferencjach naszego Ruchu czy też nie, winien jasno je widzieć, wykazywać je i piętnować.

Remilitaryzacja Niemiec zachodnich oddaliłaby perspektywę powszechnego rozbrojenia, spowodowałaby przyspieszenie wyścigu zbrojeń.

Remilitaryzacja zachodnich Niemiec doprowadziłaby do opanowania ich przez klan generałów i wielkich trustów, które popierały hitlerowską awanturę. Tym samym — remilitaryzacja pociągnęłaby za sobą zdławienie niemieckich sił pokojowych, mających wielki ciężar gatunkowy i stanowiących decydujący czynnik budowania pokoju w Europie.

Remilitaryzacja Niemiec zachodnich w niebezpieczny sposób zagroziłaby rokowaniom w sprawie pokojowego rozwiązania problemu niemieckiego.

Wreszcie — remilitaryzacja Niemiec zachodnich, utrzymując sztuczne rozbięcie wielkiego kraju, stworzyłaby zarzewie konfliktu w sercu Europy. Powtórzyłoby się tragiczne doświadczenie koreańskie, a skutki takiej sytuacji byłyby jeszcze bardziej zgubne w środku Europy, niż na krańcach kontynentu azjatyckiego.

Tak więc dwoma obszarami, dwoma „punktami zapalnymi“, gdzie szanse pokoju stoją pod znakiem zapytania i które zwracają na siebie uwagę całego świata, są Indochiny i Niemcy zachodnie. Wobec tych dwóch zagadnień — zważywszy, że wszystkie narody mogą i powinny dążyć do pokoju — Francja ponosi szczególną odpowiedzialność. Od Francji zależy nawiązanie wstępnych rozmów w sprawie rokowań w Indochinach. Leży w mocy Francuzów nie dopuścić do wprowadzenia w życie układów z Bonn i z Paryża.

Dzisiaj naród francuski stoi w obliczu szczególnie mocnego nacisku ze strony polityków, którzy bądź przez zaślepienie, bądź też dążąc do realizacji planów hegemonii światowej, chcą postawić na nogi „armię europejską“, mającą umożliwić Niemcom — według słów kanclerza Adenauera — „szerszą przestrzeń dla ich ekspansji“.

Naród francuski, któremu pomagają siły pokoju na całym świecie, może do tego nie dopuścić.

Jest to tym łatwiejsze, że coraz szersze kota polityków w Europie zachodniej wypowiadają się przeciw „europejskiej wspólnotie obronnej“.

W Anglii — Partia Pracy z Attlee, Morgunem Philipsem i Bevanem. We Francji — poza opozycją komunistów i innych sił postępu — przywódcy i osobistości ze wszystkich bez wyjątku partii — Herriot i Daladier, Jules Moch i Daniel Mayer...

A jednak niedawno podniósł się głos z nieoczekiwanymi argumentami na rzecz „europejskiej wspólnoty obronnej“. Był to głos premiera angielskiego Winstona Churchilla. Od dnia, w którym wystąpił z inicjatywą spotkania wielkich mocarstw na najwyższym szczeblu, przyjaciele pokoju budowali wielkie nadzieje na akcji brytyjskiego premiera. Z naszej strony nie sądzimy, by przemówienie Churchilla było konsekwencją samodzielnie zajętego stanowiska. Wydaje nam się raczej, że jest ono owocem nadzwyczajnych sprzeczności świata atlantyckiego.

Niektórzy europejscy mężowie stanu wydają się — w obliczu amerykańskiego dążenia do panowania nad światem — jakby obezwładnieni fatalizmem. Sądząc, że remilitaryzacja Niemiec zachodnich jest rzeczą nieuniknioną, nie starają się jej uniemożliwić, pragną jedynie zapobiec, by broń ta nie zwróciła się przeciw nim samym, przeciw ich krajom. Tak więc obserwujemy w łonie atlantyckiego sojuszu zadziwiającą olly-

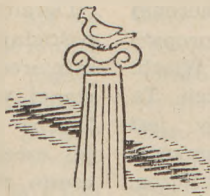
tację pochlebstw i dobrych usług wobec Adenauera, rzecznika niemieckiego militaryzmu.

Ale jeżeli naprawdę pragnie się pokoju – a mówimy to zarówno pod adresem Churchilla jak i innych – nie można pojmować polityki zagranicznej jako systemu podstępów, kombinacji różnych bloków jako zawsze zmiennej i tajemniczej równowagi sił, co w sposób nieuchronny prowadzi do wyścigu zbrojeń i do wojny.

Każde wielkie mocarstwo powinno pamiętać, że wynachując szabelkę powoduje tym samym wyciągnięcie z pochwy innej szabelki. A ponieważ Winston Churchill mówił o ostrożności, wolelibyśmy nie mieć wątpliwości co do tego, że rozumie, iż pierwszą ostrożnością byłoby trzymać się wielkiej idei spotkania wielkich mocarstw na najwyższym szczeblu, zanim nie nastąpi jakieś nieodwracalne posunięcie.

Ruch w obronie pokoju i narody świata muszą wytrwale i nieugięcie domagać się tych rokowań. Ale aby nie dopuścić do zdrady słowa „rokowania”, aby go nie wykorzystywano dla zamaskowania wręcz odmiennych zamierzeń, trzeba również przypominać, że celem uczciwego prowadzenia rokowań trzeba zrezygnować z wysuwania warunków wstępnych, że nie wolno pośpiesznie gromadzić w pobliżu objętego rokowaniami terenu żadnych sił zbrojnych, co stawiałoby jedną z zainteresowanych stron wobec faktu dokonanego.

Mówić: „Prowadzę rokowania, mając za sobą bombę atomową, mając za sobą bombę wodorową, mając za sobą „europejską wspólną obronę” — oznacza nie rokowania, ale rozpoczęcie partii pokera, gry siły i postępów, prowadzącej do nędzy i do wojny”.



Wspólnoty „europejskimi“ zwane

MARC JACQUIER

PRAWDOPODOBNIIE parlament francuski będzie musiał wkrótce wypowiedzieć się w sprawie ratyfikacji Układu Paryskiego, ustanawiającego „Europejską Wspólnotę Obronną“. Z drugiej strony w najbliższych tygodniach ma się zacząć debata na temat toczących się pertraktacji w sprawie utworzenia „Europejskiej Wspólnoty Politycznej“.

W związku z tym wydaje się rzeczą pożyteczną przypomnieć i sprecyzować charakter projektowanej podwójnej organizacji wojskowej i politycznej określonej niesłusznie mianem „europejskiej“ a ograniczonej do sześciu państw „małej Europy“: Niemiec zachodnich, Francji, Włoch, Luksemburga, Holandii i Belgii. Ta ograniczona koncepcja Europy jest absurdem samym w sobie, sprzecznym z rzeczywistością geograficzną, podobnie jak absurdem jest z drugiej strony rozciągnięcie sfery działania paktu północno - atlantyckiego na wschodni basen Morza Śródziemnego. Ma ona jednak bardzo wyraźny sens polityczny, bowiem przeciwstawia podległą Ameryce

część Europy Związkowi Radzieckiemu, krajom demokracji ludowej, a nawet innym państwom europejskim, które w większym lub mniejszym stopniu zachowały swą neutralność lub niezależność.

Nie będziemy wracali do argumentów politycznie decydujących, niejednokrotnie wyłuszczanych, które potępiają przedsięwzięcie pełne niebezpieczeństw dla pokoju ze względu na moment, ducha i formę, w jakich zostało wysunięte, jak gdyby po to, aby zniszczyć ostatecznie wszelką nadzieję na odprężenie międzynarodowe.

Ograniczymy się do zbadania bezpośrednich skutków płynących dla zainteresowanych państw ze zbudowanej w taki sposób organizacji. Trzeba jednak spróbować ujawnić jej rzeczywisty charakter, bardzo często zatajany na skutek szczupłości lub dwuznaczności tekstów oraz pomieszanie pojęć, jakie występuje na tle różnych jej aspektów.

Promotorzy „małej Europy“ w gruncie rzeczy idą naprzód etapami. Po utworzeniu w dziedzinie ekonomicznej „Wspólnoty Węgla i Stali“,

przygotowali wspólną organizację wojskową nazwaną „Europejską Wspólnotą Obronną“ i zamierzają ukoronować całość przez ustanowienie „Wspólnoty Politycznej“.

„EUROPEJSKA WSPÓLNOTA OBRONNA“

1. Analiza Traktatu Paryskiego.

Traktat podpisany 27 maja 1952 r. zawiera 132 artykuły, uzupełnione różnymi protokołami dodatkowymi. Zawarty na przeciąg pięćdziesięciu lat, ma na celu, zgodnie z brzmieniem artykułu pierwszego, ustanowienie i zorganizowanie pomiędzy sześciu państwami „małej Europy“ „europejskiej wspólnoty obronnej“, o charakterze ponadnarodowym, składającej się ze wspólnych instytucji, wspólnych sił zbrojnych oraz wspólnego budżetu“.

A. Instytucje „Europejskiej Wspólnoty Obronnej“.

Jest ich cztery: Komisariat, Rada Ministrów, Zgromadzenie i Trybunał Sprawiedliwości.

1. KOMISARIAT skupia w swym ręku istotną władzę. Złożony z dziewięciu osób, które „nie zwracają się do żadnego rządu o instrukcje ani nie otrzymują ich od żadnego rządu“ (art. 20). Komisariat powoływany jest spośród przedstawicieli państw członkowskich Europejskiej Wspólnoty Obronnej, w stosunku najwyżej dwóch członków na jedną narodowość (art. 20), którzy wybierani są „na podstawie wspólnego porozumienia rządów państw członkowskich“ (art. 21). Komisariat może podejmować „decyzje“, wiążące dla wszyst-

kich państw „Wspólnoty“, wydawać „zalecenia“, które je obowiązują jeśli chodzi o cel, jaki mają na względzie, pozostawiając im wybór środków, lub też udzielać po prostu „rad“ (art. 27).

Komisariat posiada bardzo rozległe uprawnienia, zwłaszcza jeśli chodzi o rekrutację (art. 73), wyszkolenie (art. 74), inspekcję, kontrolę (art. 76) oraz rozmieszczenie „Europejskich Sił Zbrojnych“ (art. 77), przyznawanie stopni (art. 31), ustalanie planów mobilizacyjnych (art. 75), administrację personalną i materiałową (art. 78), ogólną organizację wspólnych sił zbrojnych (art. 78 bis). Zadaniem jego jest przygotowywanie wspólnego budżetu „Europejskiej Wspólnoty Obronnej“ (art. 87), nakładanie zaliczek na państwa członkowskie (art. 88), wykonywanie budżetu (art. 91), administrowanie pomocą zewnętrzną, jaka może być udzielona „Wspólnocie Obronnej“, w materiale i środkach finansowych (art. 99), ustalanie wynagrodzeń personelu wojskowego i cywilnego „Wspólnoty“ (art. 100). Komisariat ustala programy uzbrojenia, wyposażenia, zaopatrzenia i strukturę wewnętrzną (art. 101), zawiera umowy i czuwa nad ich wykonaniem (art. 104), opracowuje programy badań naukowych i technicznych (art. 106). W stosunku do każdego z państw członkowskich reguluje produkcję, import i eksport materiałów wojennych (art. 107) oraz ustala plany odnośnie mobilizacji ich zasobów ekonomicznych (art. 111). Państwa mają obowiązek dostarczania mu wszelkich wiadomości niezbędnych do wypełniania jego zadań (art. 114),

wysłannicy jego posiadają prawo dochodzenia i kontroli w stosunku do osób i przedsiębiorstw prywatnych i publicznych (art. 115).

2. W skład RADY MINISTRÓW wchodzi po jednym przedstawicielu każdego państwa będącego członkiem „Europejskiej Wspólnoty Obronnej“ (art. 40). W pewnych przypadkach większość niezbędna do podjęcia decyzji obliczana jest z uwzględnieniem wielkości wkładu finansowego i ilości jednostek postawionych do dyspozycji „armii europejskiej“ przez te państwa (art. 43).

Rada ma prawo kierowania posunięciami Komisariatu lub też wysuwania protestu przeciwko wykonywaniu jego postanowień.

Posiada ona również swoje własne uprawnienia, mianowicie jeśli chodzi o ustalanie czasu trwania służby wojskowej, czynnej i w rezerwie (art. 12 Protokołu Wojskowego).

3. ZGROMADZENIE stanowi każdorazowe Zgromadzenie „Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali“, uzupełnione dodatkowymi delegatami Francji, Włoch i Niemiec zachodnich.

Zgromadzenie „formułuje uwagi, wyraża życzenia i sugestie“ w związku ze sprawozdaniem z działalności, jakie przedstawia mu Komisariat (art. 33). Może ono przez przegłosowanie wniosku o wotum nieufności obalić Komisariat, lecz dopiero po upływie roku od czasu objęcia przez niego funkcji (art. 34 bis i 36). Przeprowadza dyskusję nad budżetem przygotowanym przez Komisariat i zaakceptowanym przez Radę Ministrów.

Zgromadzenie otrzymało poza tym misję specjalną, mianowicie zlecono mu przygotować instytucję „Wspólnoty Politycznej“.

4. TRYBUNAŁEM SPRAWIEDLIWOŚCI dla „Europejskiej Wspólnoty Obronnej“ jest Trybunał „Wspólnoty Żelaza i Stali“ (art. 52).

B. Siły Zbrojne „Europejskiej Wspólnoty Obronnej“.

Siły Zbrojne „Wspólnoty Obronnej“ składają się z kontyngentów postawionych do jej dyspozycji przez państwa członkowskie „w celu ich połączenia“ (art. 9).

W skład „armii europejskiej“ wchodzi nie tylko ochotnicy i personel zawodowy, lecz również wojskowi rekrutowani na zasadzie poboru (art. 15).

Poza kontyngentami postawionymi do dyspozycji „armii europejskiej“, państwa członkowskie będą odąd mogły powoływać i utrzymywać jedynie siły zbrojne przeznaczone do użycia na terytoriach pozaeuropejskich, dla wypełniania pewnych zadań międzynarodowych, „przyjętych na mocy decyzji Organizacji Narodów Zjednoczonych“ lub dla zapewnienia „osobistej ochrony“ szefów swoich państw (art. 10) oraz oddziały policji i żandarmerii, wyłącznie przeznaczone dla celów zachowania porządku wewnętrznego (art. 11).

Kontyngenty narodowe włączone do „armii europejskiej“ będą poddane władzy, kontroli i dowództwu „właściwego Dowódcy Naczelnego, zależnego od Organizacji Paktu Północno - Atlantyckiego“ (art. 18).

C. Wspólny budżet.

Wspólny budżet „Wspólnoty Obronnej“ przygotowuje Komisariat i

przedstawia go do zatwierdzenia Radzie Ministrów, która ustala wysokość udziału, nakładanego na każde z państw członkowskich (art. 87). Wysokość tego udziału „podaje się do wiadomości” każdemu z zainteresowanych państw (art. 25 Protokołu Finansowego). W przypadku zwłoki przy wpłaceniu tego udziału przewidziane są sankcje.

Komisariat administruje również „pomocą zewnętrzną”, jaką „Wspólnota” mogłaby otrzymać od innych państw.

II. Skutki utworzenia „armii europejskiej”.

Informacje powyższe wystarczają, aby ujawnić niektóre konsekwencje płynące z ustanowienia „Europejskiej Wspólnoty Obronnej” jak remilitaryzacja Niemiec, zależność militarna, gospodarcza i sądownicza państw członkowskich, pogwałcenie ich narodowych zasad konstytucyjnych.

A. Remilitaryzacja Niemiec zachodnich.

Nie zapominajmy, że „armia europejska” została wymyślona i zaproponowana początkowo jako formuła mająca umożliwić udział Niemiec w militarnej organizacji „atlantyckiej” przy równoczesnym uniknięciu odrodzenia niezależnego Wehrmachtu. Gwarancja, zresztą bardzo iluzoryczna, wymagana przez rząd francuski, polegała na tym, że włączenie niemieckich formacji wojskowych dokonane być miało w postaci małych jednostek, które miały w pewnym sensie utonąć w „armii europejskiej” bez ponownego tworzenia niemieckiego sztabu generalnego.

Dziś znajdujemy się już na innym etapie. Układ Paryski sankcjonuje tworzenie dywizji narodowych, a nawet przewiduje korpusy armii rodzimych.

Niemiecka Republika Związkowa będzie mogła utworzyć, z chwilą wejścia w życie Układu, dwanaście dywizji złożonych z żołnierzy niemieckich i posiadających dowództwo wyłącznie niemieckie.

Zachodnio - niemiecki delegat do Komisariatu, pełniący w rzeczywistości funkcje Szefa Sztabu Generalnego Niemieckich Sił Zbrojnych i dysponujący prawdziwym sztabem generalnym, kierować będzie organizacją kontyngentu, dostarczanego do „armii europejskiej” przez Niemcy zachodnie, gdzie stworzona będzie terytorialna organizacja militarna (artykuły 6 i 7 Protokołu Wojskowego).

Ponadto Niemcy zachodnie będą swobodnie rozporządzały „siłami policji i żandarmerii”, a ewentualnie nawet wielkimi jednostkami uzupełniającymi, które będzie można wykorzystać pod pretekstem wykonywania zadań międzynarodowych. W ten sposób, gdyby Układ już był wszedł w życie, mogły one być wystawić korpus ekspedycyjny do walki w Korei.

Nie potrzeba tu już więcej podkreślać, jaką groźbę kryje w sobie remilitaryzacja Niemiec w obecnej koniunkturze międzynarodowej. Wymieńmy tylko: zagrożenie bezpieczeństwa narodów sąsiadujących, przeszkody na drodze do pokojowego zjednoczenia Niemiec, wytworzenie w Europie sytuacji analogicznej do tej, która doprowadziła w Azji do

Niemiecki miraż Paneuropy

Philippe Barres wykazywał niedawno na łamach „Revue des Deux-Mondes”, posługując się niezmiernie wymownymi cytatami, że idea „wspólnoty europejskiej” nie jest w rzeczywistości ani ideą francuską, ani oryginalną ideą amerykańską, ale ideą, od pół wieku w kółko powtarzaną przez pangermanistów.

Jedną z najpoczytniejszych w Niemczech książek na początku naszego stulecia nosiła tytuł: „Wielkie Niemcy i Mitteleuropa w 1950 roku”.

W 1906 r. Ernst Hosse, jeden z inicjatorów Ligi Pangermńskiej, pisał: „Małe narody nikną; winny one roztopiać się w wielkich narodach sąsiednich”.

Później, zanim jeszcze Hitler rozpoczął swoją wielką awanturę wojenną, geopolityk Haushofer cytował w 1931 r. poniższe proroctwo słowa dr Duisberga, ówczesnego dyrektora I. G. Farben, obecnie przyjaciela dr Adenauera:

„Tylko zjednoczony blok gospodarczy od Bordeaux po Sofię może zapewnić Europie siłę, potrzebną do utrzymania jej stanowiska na świecie. Należy rozpatrzyć w nowy sposób marzenie o tysiącletniej Rzeszy. Niechaj służy temu celowi **MIRAŻ PANEUROPY**”.

Po wojnie prysły nadzieje na rozszerzenie Wielkich Niemiec aż po Sofię. Ale Bordeaux nadal włączone jest do „mirażu Paneuropy”.

Philippe Barres wyciąga następujący wniosek ze swych rozważań:

„Od czasu upadku imperium Karola Wielkiego, groźba zjednoczonej na niemiecką modłę Europy straszyla szefów naszych rządów, niezależnie od tego, czy groźbę tę reprezentowało Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego, czy dwór austriacki, czy dwór hiszpański, czy Prusy, dążące do przywdziania barwnego płaszcza cesarskiego, czy wreszcie współczesny nam Reich numer jeden, dwa, czy trzy. Przeznaczeniem Francji było bądź rozwijać się i zażegnawać tę groźbę, bądź też zginąć”.

wojny koreańskiej, jawne umożliwienie nacjonalistycznym oficerom niemieckim włączonym do „armii europejskiej” prowokowania incydentów granicznych, zdolnych rozpętać konflikt światowy. Wielkość ryzyka uwypuklają jeszcze wyniki ostatnich wyborów, które ujawniają utrzymywanie się w Niemczech zachodnich szczególnie niepokojącego ducha odwetu i podboju.

B. Zależność militarna państw członkowskich od „Wspólnoty Obronnej”.

Państwa te tracą swobodę dysponowania swoimi siłami zbrojnymi wyjąwszy formacje przeznaczone dla terytoriów pozaeuropejskich, oddziały policji i żandarmerii oraz osobistą ochronę szefów państw. Nie mogą one już nawet ustalać swobodnie czasu trwania obowiązkowej służby wojskowej, nałożonej na ich obywateli.

Kontyngenty narodowe oddane do dyspozycji „armii europejskiej” będą organizowane, kierowane i zaopatrywane przez organa „Wspólnoty Obronnej” (w której Niemcy będą odgrywały rolę przodującą, wzrastającą w miarę jak udział ich będzie się stawał proporcjonalnie coraz większy, zapewniając im, w wyniku „zrównoważonych” głosów, dominujący wpływ w kierownictwie „Wspólnoty Obronnej”).

Kontyngenty te będą poddane dowództwu i oddane do dyspozycji **organizacji paktu północno - atlantyckiego**, kierowanego w rzeczywistości przez amerykański sztab generalny, który właśnie przyłączył sobie do pomocy frankistowską Hiszpanię.

„W przypadku niepokojów lub groźby niepokojów na swoim terytorium” nie wolno państwu należącemu do „Wspólnoty Obronnej” użyć w celu przywrócenia porządku swoich kontyngentów postawionych do dyspozycji „armii europejskiej”, bez zgody Komisariatu. Komisariat będzie w ten sposób dysponował środkami presji w stosunku do państwa, które trapią „wewnętrzne trudności” i będzie mógł, przez odmowę lub zwłokę, popierać lub zwalczać ruchy, jakie mogłyby wybuchnąć w tym czy innym kraju.

Na koniec, na mocy postanowień podjętych przez Komisariat odnośnie rozmieszczenia oddziałów wojskowych, państwa należące do „Wspólnoty Obronnej” mogą być zmuszone do przyjęcia na swoim terytorium obcych jednostek wojskowych, na przykład oddziałów niemieckich, których pobyt w niektórych z tych krajów boleśnie będzie przywoływał wspomnienia okupacji.

C. Zależność gospodarcza i przemysłowa.

Cała produkcja materiałów wojskowych poddana będzie kierownictwu Komisariatu, który będzie decydował o wykonywaniu programów zbrojeniowych, będzie zawierał umowy i rozporządzał rozległymi uprawnieniami w zakresie zbierania informacji.

Produkcja, import i eksport materiałów wojennych, fabrykacja prototypów, a nawet badania naukowe uzależnione będą w państwach należących do „Wspólnoty Obronnej” — od zgody Komisariatu. Powinien on „jak najlepiej wykorzystywać” zdolności techniczne i ekonomiczne

każdego z nich". Może on zatem zamknąć fabryki jednego kraju z korzyścią dla drugiego, jeśli uzna je za mniej „wydajne“; należy się z wielu powodów obawiać, iż Niemcy ciągnęłyby główne korzyści z tego rodzaju posunięć.

D. Zależność sądowa.

Trybunały państw członkowskich „Wspólnoty Obronnej“ nie będą już właściwe dla sądzenia przestępstw w dziedzinie szkód wyrządzonych w majątku i wobec osób na swoim terytorium przez cywilny i wojskowy personel „Wspólnoty Obronnej“ lub na skutek działalności jej służb.

E. Niezgodność Układu z konstytucjami państw członkowskich.

Wiele przepisów Układu Paryskiego sprzecznych jest z zasadami głoszonymi w konstytucjach państw należących do „Wspólnoty Obronnej“.

We Francji na przykład uprawnienia przyznane „Wspólnocie“ nie są zgodne ani z przepisami konstytucyjnymi, które zastrzegają prawo mianowania na wszystkie stanowiska wojskowe Prezydentowi Republiki względnie Prezesowi Rady Ministrów, do którego zadań należy ponad to „zapewnienie kierownictwa sił zbrojnych i koordynacja poczynań w dziedzinie obrony narodowej“ (artykuły 30 i 47 Konstytucji z dnia 27 października 1946 r.) ani z budżetowymi prerogatywami Parlamentu (art. 16 i nast. Konstytucji), ani z obowiązkiem nałożonym na członków Unii Francuskiej „połączenia wszystkich ich środków dla zapewnienia obrony całości Unii, przy czym rząd Republiki ma spełniać zadanie „koordynowania tych środków i po

przez swą własną politykę przygotować i zapewnić tę obronę“ (art. 62 Konstytucji).

„EUROPEJSKA WSPÓLNOTA POLITYCZNA“

Nie czekając na ratyfikację i wejście w życie Układu Paryskiego, co jest niezbędne, aby Zgromadzenie „Europejskiej Wspólnoty Obronnej“ mogło przystąpić do wykonania nałożonego na nie zadania w dziedzinie organizacji „Europejskiej Wspólnoty Politycznej“, ministrowie sześciu państw „małej Europy“ zgodzili się na to, aby zadanie to przenieść na Zgromadzenie Specjalne, które mogłoby zacząć działać niezwłocznie. Zostało ono wyłonione przez Wspólne Zgromadzenie „Wspólnoty Węgla i Stali“ i uzupełnione członkami dokooptowanymi spośród członków Zgromadzenia Doradczego Rady Europejskiej oraz kilku „obserwatorami“ należącymi do innych narodów europejskich.

To Zgromadzenie Specjalne opracowało projekt Układu, który poddany został na początku października pod obrady Konferencji Ministrów Spraw Zagranicznych w Rzymie.

Zadania i organ „Wspólnoty Politycznej“

Jak przewiduje ten projekt traktatu „Wspólnota Polityczna“ „nie może być zlikwidowana i posiada charakter międzynarodowy“ (art. 1). Celem jej jest w szczególności zapewnienie „koordynacji polityki państw członkowskich“, utworzenie wspólnego rynku dla tych państw i prowadzenie wspólnej akcji, zmierzającej do osiągnięcia „ogólnych ce-

ów wytyczonych przez statut Rady Europejskiej, konwencję europejską w sprawie międzynarodowej współpracy gospodarczej i paktu atlantyckiego" (art. 2).

Administracja „Wspólnoty“ powierzona będzie różnym organom:

1) PARLAMENT uchwała „ustawy, załączenia i propozycje“ (art. 10). Uchwalone przez parlament ustawy stosowane będą na terenie wszystkich państw „Wspólnoty“ (art. 52), jednakże z zastrzeżeniem w odniesieniu do terytoriów pozaeuropejskich (art. 101).

2) RADA WYKONAWCZA „pełni rolę rządu wspólnoty“ (art. 27).

3) RADA MINISTRÓW poszczególnych krajów, złożona z przedstawicieli każdego państwa (po jednym z każdego) — (art. 36) ma za zadanie „harmonizować działalność Europejskiej Rady Wykonawczej i rządów państw członkowskich“ (art. 33).

4) TRYBUNAŁ zorganizowany jest ten sam co we „Wspólnocie Węgla i Stali“ oraz w „Europejskiej Wspólnocie Obronnej“.

5) RADA GOSPODARCZA I SPOŁECZNA pełni rolę doradczą (art. 50).

Uprawnienia „Wspólnoty“

„Wspólnota“ może „zawierać paktów lub układów międzynarodowych oraz brać w nich udział“ (art. 67). Z drugiej strony „państwa członkowskie nie mogą zawierać paktów i układów międzynarodowych, sprzecznych ze zobowiązaniami, zaciągniętymi przez „Wspólnotę“ ani też uczestniczyć w takich paktach czy układach“ (art. 72).

W dziedzinie gospodarczej „zadaniem wspólnoty jest stopniowe tworzenie wspólnego rynku dla państw członkowskich, opartego na wolnym obiegu towarów, kapitałów i osób“ (art. 82).

Obywatele państw członkowskich, którzy bądź ukończą służbę wojskową w „armii europejskiej“, bądź przyjdą na świat po wejściu w życie paktu, będą mogli swobodnie się poruszać lub osiedlać się na terytorium innych państw członkowskich na tych samych warunkach co ludność miejscowa (art. 83). Zadaniem „Wspólnoty“ jest również „podnieść na wyższy stopień koordynację polityki finansowej, monetarnej i kredytowej państw członkowskich“.

Państwa członkowskie mogą zwrócić się o pomoc do „Europejskiej Rady Wykonawczej“, aby zapewniła na ich terytorium „poszanowanie porządku konstytucyjnego i instytucji demokratycznych“. „Wspólnota“ może nawet interweniować ze swej własnej inicjatywy (art. 104).

Konsekwencje utworzenia „Wspólnoty Politycznej“

Warto raz jeszcze podkreślić, jak zgubne skutki miałyby dla sprawy utrzymania pokoju wprowadzenie w życie „Wspólnoty“ mającej wyraźne ostrze polityczne, jak to podkreśla powołanie się w art. 2 na pakt atlantycki i rozporządzenie art. 103, przewidujące natychmiastowe zastosowanie wspólnego statutu w wypadku „jeżeli jedno z państw członkowskich odzyskuje swą władzę na terytorium, które było częścią tego państwa w dniu 31 grudnia 1937 r.“



Anders Franzen

Jak się zdaje, klauzula ta służyć ma podkreśleniu nieukrywanych ambicji nowego podboju ze strony obecnych władców Niemiec zachodnich.

Ale przede wszystkim pamiętać trzeba, że statut „Wspólnoty“ narzuca rezygnację z suwerenności tak, że w ostateczności stanęlibyśmy w obliczu prawdziwej konfederacji, prowadzącej własną politykę monetarną i finansową i w sposób autorytatywny decydującej o polityce zagranicznej i gospodarczej sześciu państw „małej Europy“.

Państwa wchodzące w skład tej „małej Europy“ zaprzedałyby całkowicie swą samodzielność w dziedzi-

nie dyplomatycznej, gospodarczej, a nawet w polityce wewnętrznej. „Wspólnota“ byłaby bowiem uprawniona do interweniowania również i w tej dziedzinie na mocy art. 104 pod pretekstem zapewnienia „poszanowania porządku konstytucyjnego i instytucji demokratycznych“.

Jak widzimy, taki charakter składowych części „Wspólnoty“, jak również jej najwyższej władzy, skupionej w „Radzie Wykonawczej“, która wymykałaby się spod kontroli narodów i ich parlamentów, usprawiedliwiają zaniepokojenie co do kierunku, jaki nadanoby tej polityce, narzuconej państwom „Wspólnoty Europejskiej“.

Bomba atomowa a bomba wodorowa

PROF. LEOPOLD INFELD

Prof. fizyki na Uniwersytecie Warszawskim, b. wykładowca na Uniwersytecie w Toronto.

PRZED kilku dniami otrzymałem telegram Claude Morgana, który prosił mnie o napisanie artykułu o bombach wodorowych, o straszliwych niebezpieczeństwach jakie w sobie kryją, a wreszcie o konieczności wszczęcia rokowań w celu postawienia tej broni poza prawem. Zanim przystąpiłem do pisania, chciałem zobaczyć co uczeni amerykańscy napisali na temat bomby wodorowej na-
zajutrz po 31 stycznia 1950 r., w którym to dniu Truman zapowiedział, iż polecił Komisji Energii Atomowej pracować nad tą super - bombą.

W miesięczniku „Scientific American” znalazłem serię czterech artykułów: poświęconych wyraźnie te-

mu zagadnieniu, napisanych przez wybitnych uczonych, z których najbardziej znanym jest niewątpliwie Hans Bethe. Jeśli chodzi o problemy fizyczne związane z bombą wodorową, artykuły te powtarzają się (rzecz całkiem naturalna), gdyż prze-

cież wszyscy uczeni mają ten sam punkt widzenia na te sprawy. Lecz z drugiej strony artykuły te różniły się poważnie między sobą, jeśli chodzi o ocenę społecznych konsekwencji bomby wodorowej, traktując zresztą to zagadnienie, moim zdaniem, niesłychanie naiwnie.

Żaden z nich nie brał pod uwagę ewentualności, aby monopol bomby wodorowej mógł być rozbity w puch w dwa i pół roku po wysunięciu jej



projektu w Stanach Zjednoczonych!

Ludzkość wie, niestety, co może zdziałać bomba atomowa. Hiroszima i Nagasaki będą o tym mówiły jeszcze przyszłym stuleciom. Kiedy zrzucona została pierwsza bomba atomowa, sto tysięcy ludzi poniosło śmierć. Promień strefy poddanej silnym zniszczeniom wynosił w Hiroszynie jedną milę. 30% wypadków śmierci spowodowanych było gwałtownymi oparzeniami, spowodowanymi przez straszliwe promieniowanie kaloryczne, powstałe przy wybuchu.

A przecież możemy twierdzić, iż nowa bomba atomowa nie byłaby zupełnie w stanie spowodować więcej zniszczeń aniżeli bomba zrzucona na Hiroszimę. Wytlumaczenie jest proste. Bomba atomowa składa się w zasadzie z dwóch nie groźnych cząstek uranu 235 (czyli plutonu). Nie są one groźne tak długo, jak długo rozmiary ich są niższe od tego, co uczeni nazywają wielkością krytyczną i jak długo pozostają odizolowane jeden od drugiego. Lecz jeśli po połączeniu przekroczą krytyczną wielkość — wybuchają w ciągu jednej dwumilionowej części sekundy. Nie można więc powiększać wymiaru bomby atomowej w stopniu nieograniczonym, bowiem każda z dwóch cząstek uranu musi być mniejsza od wielkości krytycznej. Przy użyciu jednej bomby atomowej nie można ani popełnić samobójstwa, ani zbrodni, ani wreszcie zabić milionów ludzi. Jeśli więc z jednej strony bomba atomowa może być straszna, tak z drugiej powiedzieć można, że możliwości jej są skrom-

ne w porównaniu z bombą wodorową. Można jej użyć jedynie do zniszczenia miast liczących od 100 do 200 tysięcy mieszkańców. Takie miasta zniszczone być mogą niemal całkowicie przy użyciu jednej jedynej bomby atomowej.

Istotna różnica pomiędzy bombą wodorową a bombą atomową polega więc na tym, że możliwości niszczeniowe bomby wodorowej są nieograniczone. Bomba wodorowa składa się w części z bomby atomowej, która odgrywa rolę zapalnika. Jej wybuch wytwarza bardzo wysoką temperaturę. Resztę bomby wodorowej stanowi tritium (izotop wodoru) oraz deuterium (inny, lżejszy izotop wodoru). Pod wpływem ciepła wytworzonego na skutek wybuchu bomby atomowej, tritium i deuterium łączą się i dają hel, wyzwalać ogromne ilości energii, znacznie większe od tych, które wywołał zapalnik — bomba atomowa. Widzimy zatem, że skuteczność takiej bomby wodorowej zależy od ilości „prochu“, to znaczy od ilości tritium i deuterium. I nie ma tu granicy teoretycznej, jak to miało miejsce w przypadku bomby atomowej.

Sprecyzujmy to dokładnie. Załóżmy, że posiadamy bombę wodorową tysiąc razy silniejszą od bomby atomowej (założenie takie wydaje się być zupełnie uzasadnione). Oznacza to, że jeśli jedna bomba atomowa niszczyła wszystko w promieniu jednej mili, bomba wodorowa zniszczy wszystko w promieniu 10 mil. Jeżeli bomba atomowa powodowała śmiertelne oparzenia w promieniu niecałej mili, bomba wodorowa może je spowodować w promieniu 30

mil. Innymi słowy, niemal wszyscy mieszkańcy największych miast na świecie: Nowego Jorku, Londynu, Moskwy, Chicago itd.... byliby zabici przez wybuch jednej jedynej bomby wodorowej.

To nie wszystko. Jeśli dziś istnieje bomba wodorowa tysiąc razy silniejsza od bomby atomowej, jutro wyprodukuje się taką, która będzie milion razy silniejsza. Do tego dojdzie niezawodnie, jeśli nie zostanie położony kres wyścigowi zbrojeń. Gromadzi się coraz więcej bomb atomowych, coraz większych bomb wodorowych, aż wybuchną w wojnie, której rezultatem byłoby zniszczenie naszej cywilizacji.

Czy istnieje jakieś wyjście z tego szaleństwa? W czwartym z kolei z wymienionych wyżej artykułów, opublikowanym w numerze czerwcowym 1950 r. czasopisma „Scientific American“, dr E. Lapp usiłuje dać odpowiedź, przynajmniej jeśli chodzi o obronę Stanów Zjednoczonych. Sugeruje on budowę miast linearnych. Jasne, że gdyby ewakuowano Nowy Jork, Chicago, Filadelfię, Waszyngton i inne wielkie miasta, i rozmieszczono mieszkańców w miastach liniarnych na dużej przestrzeni wzdłuż wielkich dróg, wybuch byłby mniej groźny, gdyż byłby w stanie zniszczyć jedynie część takiego miasta, zbudowanego podłużnie. Szkoły, teatry i fabryki w takich miastach byłyby zbudowane pod ziemią.

Tak przedstawia się plan, z całą powagą wysunięty przez dr Lapp, plan zresztą, który przed kilku laty — i niemniej poważnie — wysunął

wybitny fizyk, prof. Teller. Plan jego sprowadzał się do tego, aby największe miasta naszej planety przekształcić w opustoszałe miasta, podczas gdy ich dotychczasowi mieszkańcy żyliby bardziej bezpiecznie pod ziemią w miastach liniarnych. Niezwykle jest, że tylko niewielu spośród tłumu amerykańskich uczonych dojrzała jedyny słuszny i o ileż prostszy sposób zapewnienia ochrony swemu krajowi! Żyć w pokoju. Nie prowadzić wojny.

Dlaczego więc odbudowujemy w Polsce nasze zniszczone miasta? (i wcale nie według planu liniarnego). Dlaczego nie odczuwamy strachu przed bombami atomowymi i wodorowymi? Dlatego, że chcemy pokoju i wierzymy w pokój.

Wydaje mi się sprawą oczywistą, podobnie jak milionom mężczyzn i kobiet, którzy podpisali Apel Sztokholmski — jak również wielu innym, którzy nie uczynili tego ze strachu — że droga do pokoju prowadzi poprzez zakaz broni atomowej i wszelkiej broni masowej zagłady. Dziś, gdy widmo bomby wodorowej z jej nieograniczoną potęgą śmiertelnością zagraża światu bardziej niż kiedykolwiek, zdajemy sobie sprawę z tego, iż jedynym wyjściem jest zakaz, pod międzynarodową kontrolą i ustanowienie kontroli międzynarodowej broni masowego zniszczenia.

Byłby to dopiero pierwszy krok na drodze do pokoju, lecz zarazem najbardziej oczywisty, najniezbędniejszy. Jak można dojść do takiego zakazu broni atomowej oraz innych broni masowej zagłady? Odpowiedź jest jasna: w drodze rokowań. Lecz



mówiąc o rokowaniach, mam na myśli rozmowy prowadzone na zasadzie równości, bez stawiania warunków wstępnych, z pełną dobrą wolą, która pozwoliłaby w końcu dojść do porozumienia.

Czas najwyższy, aby wszyscy politycy i cały świat zdał sobie sprawę z tego, że obecnie nie jest to dla nas tylko sprawa pokoju i wojny. Musimy teraz wybierać pomiędzy pokojem a absolutnym zniszczeniem.

Wojny pragnie jedynie garstka ludzi chciwych i ślepych, którzy z bezzasadną wściekłością usiłują w ten sposób znaleźć źródła coraz obfitszych zysków. Natomiast cała reszta ludzkości obawia się i nienawidzi wojny. Czas już, by wszyscy ludzie zdali sobie sprawę, że w miarę postępu techniki wojna staje się już nie tylko z dnia na dzień coraz większą zbrodnią, lecz również coraz większym szaleństwem.



REPORTAŽ z IRANU

AHMED RASSULI



WŚRODĘ 19 sierpnia, około szóstej po południu, pewien robotnik i jego żona wracali po skończonej pracy do domu, położonego w pobliżu alei Pahleviego, tuż obok rezydencji dr Mossadika.

Oficerowie generała Zahediego rzucili właśnie dom premiera na pastwę wojsku i współdziałającym z nim bandom. Łupieżcy, obładowani najróżniejszymi przedmiotami, wypadali na sąsiednie ulice. Para robotników zatrzymała się na chwilę, oglądając ten przykry widok. Kobieta powiedziała do męża: „To nie może podobać się Bogu, to grabież...” Mężczyzna ze smutkiem zwiesił głowę. Powoli poszli w swoją drogę.

To bezimienne małżeństwo wyrażało uczucia całego narodu wobec wydarzeń z 18 i 19 sierpnia. Olbrzymia większość narodu perskiego przywiązana jest nadal do polityki, reprezentowanej przez Mossadika i potępia reakcyjne siły, które znajdują się dzisiaj u władzy.

Nie ulega dla nikogo wątpliwości, że zamach stanu z 19 sierpnia dokonany został z poduszczenia i z pomocą zagranicy. Nie tają tego nawet ci, którzy byli jego autorami.

„Mossadik — powiadają — prowadził kraj do zguby. Partia Tudeh mogła była zagarnąć władzę w swoje ręce i wprowadzić republikę ludową. Jedyne dla nas drogą ratunku jest stanąć przy Amerykanach i uzyskać ich pomoc dla zniszczenia partii Tudeh“.

To rozumowanie jasno tłumaczy kulisy zamachu stanu. Dwa lata

rządów Mossadika zagroziły klasie dotąd rządzącej, a odsuniętej częściowo od władzy przez sędziwego premiera. Chodziło o ratowanie tej klasy. Zwyczajna droga postępowania nie mogła zapewnić tego rezultatu — nie powiodła się pierwsza próba z lipca 1952 r., zmierzająca do przekazania władzy w ręce Ghassema es Sultaneha.

Pozostawało jedyne wyjście — użycie siły. Przyjaciela szacha w Iranie i zagranicą, zaalarmowani rozwojem potężnego ruchu narodowego, zakrzętnęli się wokół przygotowań do zamachu stanu.

Prefekt policji Afszar Tuss, wszedłszy do spisku, grał podwójną rolę. Kiedy ujawnił pewne wiadomości, został zamordowany przy udziale niektórych posłów, dawnych zwolenników Mossadika, którzy z kolei przeszli do cpozyeji.

Przed przystąpieniem do działania spiskowcy starali się zapewnić sobie poparcie ze strony samego ruchu narodowego. Stopniowo oddalali od Mossadika przywódcę religijnego Kaszaniego oraz posłów Makiego i Baghai.

Robotę ich utrudniały wystąpienia pewnego lewicowego dziennika, który ostrzegał Mossadika przed tym, co się knuło w cieniu; zdecydowali więc przyspieszyć wykonanie swych planów.

Kilka tygodni przedtem amerykański ambasador Loy Henderson przezornie opuścił Teheran, pozostawiając wolną rękę „amerykańskim doradcom“ w armii irańskiej, jak również „specjalistom“, pracującym przy realizacji planów związanych z tzw. „IV punktem

Trumana". Poszukiwany przez policję Zahedi pozostawał w ukryciu.

W tych warunkach spiskowcy przystąpili do ataku. Wieczorem 14 sierpnia zatrzymali przy pomocy swoich ludzi z gwardii cesarskiej niektórych ministrów Mossadika, wśród nich zaś Husseina Fatemi, ministra spraw zagranicznych. Ale uprzedzony o tym premier udaremniał te plany i kazał aresztować niektórych drugorzędnych spiskowców.

Wówczas uczestnicy spisku postavili wszystko na jedną kartę. Uzyskali od szacha dekret mianujący Zahediego premierem na miejsce dr Mossadika. Szach za ich radą zbiegł. Po tej ucieczce wokół Zahediego skupiły się wszystkie elementy rojalistyczne.

Rząd Mossadika, dufny w swe prowizoryczne zwycięstwo, nie docenił rozmiarów spisku i zamiast aresztować jego uczestników, starał się zahamować rozwój ruchu ludowego, domagającego się natychmiastowego ogłoszenia republiki. Przerażony ambasador Henderson szybko powrócił do Teheranu.

18 sierpnia policja na rozkaz samego Mossadika poczęła ścigać patriotów. To dodało jeszcze odwagi spiskowcom. 19 sierpnia rzucili swe wojska do walk ulicznych.

Ci, którzy nie obserwowali z bliska wydarzeń ostatnich miesięcy w Iranie, dziwią się bierności narodu wobec zamachu stanu.

Zwolennicy szacha próbowali wykorzystać tę sytuację. Mówią oni, że bierność ta jest oznaką przywiązania narodu do swego władcy. Za-

sadnicza pomyłka. Ulica nie ruszyła do walki, gdyż została zaskoczona i nie była przygotowana do boju. Nikt nie spodziewał się tak szybkiego zakończenia, nawet sami spiskowcy.

Od chwili wygrania pierwszej potyczki w dniu 15 sierpnia, przyjaciele Mossadika dali się ukołysać w słodkiej błogości. Nieustannie następowały po sobie manifestacje przeciw szachowi i na rzecz ogłoszenia republiki. Mury pokrywały się napisami. Wyjazd szacha w dniu 16 sierpnia jedynie potwierdził istnienie tych dążeń ludowych. Rozradowane tłumy usunęły pomniki dyktatora Rezy Pahleviego, ojca obecnego szacha.

Te manifestacje wywołały pewne zaniepokojenie wśród kupców. Wówczas spiskowcy usiłując sterroryzować burżuazję — zaczęli głosić „groźbę“ rewolucji komunistycznej. Przyjaciele Mossadika wpadli w tę pułapkę i chcieli „przywolać do rozsądku“ partie lewicowe. Od 18 sierpnia rozpoczęły się aresztowania i prześladowania patriotów, gdy tymczasem spiskowcom pozostawiono wolną rękę.

Rezultaty nie dały długo na siebie czekać. 19 sierpnia wieczorem Zahedi triumfował...

...Środa 19 sierpnia była dniem jak wiele innych dni lata, ani cieplejsza, ani chłodniejsza od poprzednich. To samo gorące słońce rzucało swe duszne promienie na Teheran.

Rankiem ludność zabierała się jak zwykle do swoich zajęć. A jeżeli tu i ówdzie pokazywali się ludzie uz-

brojeni w pałki, nikt się tym nie przejmował: „Manifestacje trwają...“

Ale oto samochód ciężarowy przejeżdża pełnym pędem przez aleję Esłambol (centralna arteria Teheranu). Czy naprawdę słyszano okrzyki „Niech żyje szach“? Zaczynają krążyć najbardziej spreczne wiadomości.

„Czyżby manifestacje na cześć Mossadika? — Nie, przeciw niemu. — To Tudeh. — To rewolucja komunistyczna. — Nie, to stronnicy szacha, to ludzie Zahediego...“

Niebawem rozgorzały łuny pożarów. Spłodowano teatry i redakcje postępowych dzienników. Padły strzały. Spieszący się przechodnie szerzyli alarmujące wieści: „Zahedi zajął prefekturę policji, sztab główny armii, ministerstwo wojny“ etc. Tłoczono się w urzędach telegraficznych. Radio nadawało zwykły program. To działało uspokajająco.

Ale w kilka godzin potem bandy z partii para-faszystowskich, uzbrojone w pałki, otoczone oficerami armii i policji zalały ulice, wznosząc okrzyki: „Precz z Mossadikiem, niech żyje szach, niech żyje Zahedi...“ Niektórzy wymachiwali, nawet zatkniętymi między palcami banknotami...

Radio państwowe w dalszym ciągu nadawało zwykły program. Czekało. Mówiono sobie: „Tego wieczora odbędzie się manifestacja zwolenników Mossadika i bandy Zahediego zostaną rozproszone...“

Ale ludzie czekali nadaremnie. Siedzibę Mossadika zdobyto szturmem około godziny 6 po południu.

W ten sposób Zahedi i jego amerykańscy „doradcy“ wygrali drugą rundę.

W tym samym czasie toczyła się — jakkolwiek z mniejszą gwałtownością — równoległa akcja we wszystkich wielkich ośrodkach prowincjonalnych. Wszędzie armia, wraz z partiami skrajnej prawicy, organizowała „spontaniczne“ manifestacje. Nigdy dotąd naród irański tym kraju tak wielkiej liczby czołnierzy nie widział w jednym dniu i w cęgów i karabinów maszynowych na samochodach. Chodziło bowiem właśnie o ujarzmienie całego narodu.



W czwartek 20 sierpnia miasto obudziło się w niezwyklej atmosferze. Urywane trzaskanie strzelających w dali karabinów maszynowych miesza się z wankotem sunących ulicami czołgów. Kupcy w bazarze próbują zorganizować manifestację na rzecz Mossadika, ale szybko zostają rozpędzeni. Sklepy są nadal zamknięte; nie wiadomo, co się jeszcze może wydarzyć. „Stary lis cofnął się, by tym lepiej skończyć...“

Jednak wygląd miasta uległ zmianie. Pośpiesznie wymazano kreślone ręką ludu napisy, zastępując je takimi: „Bóg, szach, ojczyzna...“ Znikły uliczne napisy: „Niech żyje pokój“. a zastąpiły je znamienne hasła, wymownie ukazujące cele nowych panów kraju: „Śmierć pokojowi, Margue bar Solh“. Wraz z upadkiem Mossadika, ponieśli stratę zwolennicy pokoju...

By lepiej chronić faszystowskie bandy (zwane Gumka), na każdym zakręcie stacjonują czołgi i samo-

chody ciężarowe, napełnione żołnierzami. Jest bardzo gorąco. Żołnierze wyciągają się w cieniu czołgów, ćmą papierosy i grają w kości...

Radio rozgłasza coraz to nowe komunikaty nowego gubernatora wojskowego Teheranu — wezwanie do zachowania spokoju, godzina policyjna od ósmej wieczorem, wezwanie do kupców, by otwierali swe kramy, obietnica nagrody dla tego, kto dostarczy informacji o ministrze Fatemi, który dotychczas jeszcze się ukrywa.

Bandy plądrują kramy drobnych kupców, którzy podpisali Apel Sztokholmski, lub popierali finansowo rząd Mossadika.

Wzrasta zuchwalstwo ludzi Zahediego; zwolna otwierają się sklepy. Ale generał kryje się przezornie w swoim klubie oficerskim, tak łatwo przecież w Teheranie o zamach.

Aby zapewnić bezpieczeństwo tego „odważnego syna Iranu“ (jak go nazwało radio Teheran), policja dokonuje coraz liczniejszych aresztowań we wszystkich kołach, a w szczególności wśród bojowników lewicy.

W następnych dniach przeprowadza się kwestę we wszystkich miastach Iranu. Napływają „dobrowolne“ dary. Czy mają one służyć ulżeniu nędzy ludu? Bynajmniej — chodzi o odbudowę zburzonych przez lud pomników głów panujących. Bezrobotni i pracujący nadają się akurat do tego, by ich tłuc pałkami i więzić.

Wyczyny band przewyższają nadzieje ich panów. Plądrują Dom Pokoju i kilka postępowych księgarni. Podpalono wielki stos — ty-

siące tomów pada ofiarą płomieni. Pewien Adolf Hitler... Można mówić co się chce, ale generał Zahedi pozostaje wierny swym dawnym ideałom. Czyż w czasie wojny nie pracował w kontakcie z hitlerowskimi agentami? Jego działalność była tak owocna, że władze angielskie aresztowały go w 1941 r. w okresie okupowania Iranu przez wojska sojusznicze.

Szach chce powrócić. Ale lepiej poczekać jeszcze kilka dni. Jest to czas potrzebny do aresztowania jeszcze kilku tysięcy „podejrzanych“ osób.



Wreszcie nadchodzi sobota 22 sierpnia. Samolot cesarski, wypchany korespondentami prasy anglosaskiej, ląduje na lotnisku w Teheranie. Oczekują tam wszyscy generałowie w towarzystwie słynnego szefa bojówek (niegdyś nożownika, po persku Czanghukesz). Generał Daftary, dowódca policji, który zdradził swego krewnego Mossadika, rzuca się do stóp Majestatu, by mu lizać buty. Jego poza, uwieczniona przez fotografów i reprodukowana we wszystkich niemal dziennikach, będzie odtąd służyć za wzór najbardziej zagorzałym stronnikom szacha i Zahediego.

Na lotnisku wita szacha korpus dyplomatyczny.

Wzdłuż trasy przejazdu szacha widać imponujące ilości uzbrojonego po zęby wojska, czołgi, karabiny maszynowe na samochodach. Za gęstym szpalerem żołnierzy, służących zapewne do ochrony Jego Królewskiej Mości przed głęboką mi-

łością jego narodu, stoją grupy „figurantów“, których zadaniem jest bicie oklasków.

Szach, wypocząwszy po wzruszeniach całego dnia, wygłasza wieczorem przemówienie przez radio, zajęte już 19 sierpnia przez wojsko Zahediego. Oskarża w lekko tylko zamaskowanych słowach Mossadika o to, że chciał wciągnąć Iran do obozu krajów demokracji ludowej...

Nazajutrz tworzy się rząd, wchodzi do niego wszyscy ci, których Mossadik odsunął od władzy. Na arenę wchodzi starzy, rutynowani wyznawcy tradycyjnej polityki oraz kilku „młodych“, pompatycznie określonych mianem „specjalistów“.

Generał Zahedi z właściwą parweniuszom arogancją zmontował — z niewielkimi zmianami — gabinet w stylu Razmari, tego drugiego generała, którego 7 marca 1951 r. zamordowano w meczecie bazaru w Teheranie. Wróżby przepowiadają Zahediemu wcześniej lub później podobny los.

W niedzielę szach w dowód wdzięczności mianuje Zahediego marszałkiem. Nie wzbudza to jednak okrzyków entuzjazmu, na które Zahedi do dziś dnia na próżno czeka. Zamiast nich trwa powstrzymany gniew, oczekiwanie na lepsze czasy, ogólny smutek.

Rząd spodziewał się wiele po aresztowaniu Mossadika. Istotnie, na wieść o tym fakcie w szerokich kołach ludowych, którym bliskie są ideały narodowe, dał się odczuć napływ rozpacz. Ale postawa Mossadika ożywiła nadzieje i wo-

łę walki wśród jego zwolenników. Sędziwy mąż stanu nadal uważa się za legalnego premiera Iranu. Wysłał ze swego więzienia pisma do Zahediego, nazywając go w nich „generałem w stanie spoczynku“.

Rzeczywiście proces, który obecny rząd wytoczył Mossadikowi, jest największą gaffą, jaką popełnił. Stary lis staje się z powrotem bohaterem narodowym, wprost symbolem demokracji w obliczu dyktatury. Wokół jego imienia siły ludowe zaczynają wykuwać swą jedność.



○ **STATNIE** dni sierpnia cechowało niesłychane natężenie represji, które dotąd nie ustały.

Codziennie policja wykrywała rzekomo „składy broni“, należące do partii Tudeh. Któregoś dnia w komunikacie szefa policji i gubernatora wojskowego obsypano pochwałami nasłanego do partii Tudeh prowokatora, który wydał władzom swych towarzyszy z celi i umożliwił wykrycie składu broni. Otrzymał za to wysokie wynagrodzenie. Komunikat wzywał następnie całą ludność, by postępowała w ten sam sposób, obiecując anonimowość i astronomiczne wynagrodzenie. To zaproszenie do denuncjowania dobrze określa postępowanie nowej dyktatury, która chce utrwalić swą władzę.

A mimo to wychodzi nielegalna prasa. Mimo to rozchodzi się po mieście tysiące ulotek. Mimo wszelkich szykan lud wyraża swoje uczucia. Szoferzy taksówek, robotnicy, drobni kramikarze, narażając się na aresztowanie, wyrażają

często całą swoją pogardę dla terminującego dyktatora.

Zahedi nie odniósł również całkowitego zwycięstwa ani w klasach posiadających, ani nawet w feudalnych. Wielu kapitalistów i kupców pomaga obecnie siłom narodowym, z którymi współdziałają przeciw partii postępowej. Wielu „posiadaczy“ przekazuje olbrzymie sumy wysłannikom opozycji, by przyczynić się w ten sposób do obalenia dyktatury. Również w różnych plemionach irańskich nie jest bynajmniej spokojnie. Wśród Kurdów rośnie niezadowolenie, a Kaszajowie, którzy się pozornie podporządkowali, czekają cierpliwie na nadejście ich godziny.

Wszędzie dają się odczuć zapowiedzi wydarzeń, które wcześniej lub później nastąpią. Lotnicy uszkadzają samoloty, bojownicy Tudeh pojawiają się na ulicach, by świętować dwunastą rocznicę utworzenia partii. Wieczorem bojownicy ugrupowań narodowych i postępowych idą parami po ulicach miasta, wykrzykując hasła antyroyalistyczne i budząc nadzieję prostych ludzi.

Dla zahamowania akcji ludowej, która go drażni i przeraża, rząd Zahediego ucieka się do coraz liczniejszych aresztowań. Aresztuje się na prawo i na lewo. Więzienia są nieludzką przepełnione. Stosuje się metody zastraszania. Wywieziono sekretarza Ruchu w Obronie Pokoju, jak również wiele innych osób do niezdrowych okęgów, gdzie ich czeka śmierć...

4 października, w półtora miesiąca po zamachu stanu, prokurator

wojskowy wyznaczył główne punkty oskarżenia w sprawie Mossadika — bezprawne rozwiązanie parlamentu po referendum ludowym, odmowa posłuszeństwa wobec szacha, który go zdymisjonował.

Przed odczytaniem aktu oskarżenia prokurator polecił napęłnić ulice czołgami i żołnierzami. Oznacza to, że nowy rząd boi się Mossadika. Są umarli, którzy... Ale być może, że stary przywódca jest daleki od śmierci.

W każdym razie Mossadik wyjdzie zwycięzcą z procesu, jaki mu wytaczają. Naród bowiem wydał już wyrok. Mossadik jest człowiekiem, który nie dopuścił do rabowania bogactwa naturalnego kraju przez zagraniczne trusty naftowe. On to do ostatniej chwili opierał się cudzoziemcom, którzy chcieli mu narzucić swój dyktat. Był tak stanowczy, że ci ostatni zmuszeni byli uciec się do utworzenia bardziej ustępliwego rządu.

Mossadik jest symbolem niepodległości narodowej. Mniejsza o dekrety w takiej czy innej sprawie. Wzniósł on sztandar niepodległości narodowej, od dawna strącony przez poprzedzające go rządy.

Jego pełna godności i niewzruszona postawa wobec tych, którzy chcą się drapować na sędziów, zdobyła mu jeszcze większe przywiązanie mas ludowych. Znaczna większość burżuazji wraz z masami ludowymi opowiada się nadal za Mossadikiem. Widać to było 8 października, kiedy bazar zastrajkował. Zahedi i jego przyjaciele mają jedną tylko broń — więzienie. Toteż tego dnia wielu kupców przyłączyło się do robotników i intelektualistów,

stłoczonych na słomie cel aresztan-
kich.

Zadanie rządu Zahediego jest nie-
wziernie trudne, jeżeli chodzi o roz-
wiązanie problemu nafty. Mossadik
i jego rządy wykazały narodowi, że
wszystkie propozycje kompromiso-
wego rozwiązania zmierzają do po-
nownego oddania bogactw Iranu
trustom zagranicznym i do przy-
wrócenia poprzedniej sytuacji.

Dzisiaj występują nowe trudności.
Światowy rynek nafty odczuwa
ujemnie nadprodukcję i nikomu
nie jest potrzebna nafta irańska.
Skupienie całej nafty irańskiej w
rękach jednego tylko towarzystwa
umożliwiłoby konkurencyjne mane-
wry, bardzo niebezpieczne dla in-
nych towarzystw. Ani Anglo-Iranian
Oil Company, ani grupa Rockefeller-
ra nie jest zainteresowana w tym,
by nafta irańska ponownie ukazała
się na rynku międzynarodowym.

Puszczenie znów na pełne obroty
produkcji w Abadanie mogłoby spo-
wodować spadek światowych cen
nafty. Z drugiej strony — jak po-
móc rządowi Zahediego, nie zape-
wniając mu regularnego napływu
środków ze sprzedaży nafty?

Problem nafty przekracza możli-
wości rządu irańskiego — stanowi
on funkcję uprzedniego porozumie-
nia między wielkimi trustami an-
gielskimi i amerykańskimi. Po upad-
ku Mossadika Anglii i Amerykanie
nawiązali kontakty w celu zbada-
nia możliwości takiego rozwiązania,
które by odpowiadało zarówno in-
teresom rządu irańskiego, jak i
obecnym potrzebom gospodarczym
rynków światowych.

Wydaje się, że dąży się do roz-

wiązania drogą kompromisu, jakim
byłoby uruchomienie rafinerii w
Abadanie, ale przy zmniejszonej wy-
dajności.

Cena sprzedażna nafty dla irań-
skiego towarzystwa narodowego by-
łaby ustalona w ten sposób, że zysk
Iranu nie przekraczałby 50 proc.
Inaczej bowiem kraje sąsiadujące z
Iranem zażądałyby zwiększenia
otrzymywanych należności. To zaś
nie odpowiadałoby ani Anglikom,
ani Amerykanom. Tak wygląda
obecna sytuacja.

Nikt zresztą nie chce się spieszyć,
jeżeli chodzi o naftę. Przedwczesne i
pośpieszne rozwiązanie mogłoby
sprowokować niepożądane wystą-
pienia narodu irańskiego. Ostatnie
rozmowy amerykańskie i angielskie
nie wytknęły jeszcze ostatecznej li-
nii postępowania.

Ale tymczasem sytuacja gospodar-
cza w Iranie pogarsza się. Skarb
jest pusty. Pozycja Zahediego szyb-
ko stałaby się nie do utrzymania,
gdyby nie dostawał potrzebnych
funduszy. Dla załagodzenia tych
trudności rząd Stanów Zjednoczo-
nych obiecał na początku września
przyznanie Iranowi bezzwrotnej po-
mocy w wysokości 45 milionów do-
larów. Zahedi przyjął ją wraz z
wszystkimi skutkami, jakie to za so-
bą pociąga. Tytułem zaliczki prze-
kazano już Iranowi pięć milionów
dolarów.

Rząd próbował w swoim czasie
wykorzystać amerykańską obietnicę
jako środek propagandowy i pozy-
skać sobie w ten sposób koła kapi-
talistów i kupców. Ale nie zdołał
zjednać sobie ich zaufania.

Nie ulega wątpliwości, że pomoc ta jest niewystarczająca. Nie ukrywają tego koła rządowe. Ostatnio minister finansów oświadczył, że kraj potrzebuje natychmiastowej pomocy finansowej w wysokości ponad 100 milionów dolarów dla podźwignięcia gospodarki narodowej.

W dziedzinie polityki zagranicznej od pierwszych dni po zamachu stanu koła rządowe oznajmiły, że Iran winien zerwać z neutralnością między dwoma wielkimi blokami i przyłączyć się do obozu zachodniego. W wypadku konfliktu Iran ma wielkie znaczenie strategiczne. Z tego względu rząd turecki ogromnie interesuje się wydarzeniami w Iranie i stara się zapewnić sobie flanki.

Z drugiej strony jest rzeczą niemożliwą, by Iran wszedł bezpośrednio do amerykańskiego systemu strategicznego. Toteż przeważa pogląd, by przywrócić w nowej formie dawny pakt z Saadabadu*). Pierwszym krokiem tej polityki jest zbliżenie irańsko-tureckie. Pracuje nad tym rząd irański.

Tutaj również przyjaciele Zahediego napotykać na liczne trudności. Sojusze, które zawarli za rządów Mossadika, obracają się przeciw nim. Zwolennicy Mossadika, którzy przyłączyli się przed zamachem do Zahediego, nie są skłonni iść drogą, wytkniętą przez rząd. Ten zaś nie ma jeszcze dostatecznego autorytetu, by się zapuścić na tę drogę. Potrzeb-

ny mu jest parlament, ale parlament uległy.

Powołanie na nowo do życia Izby Deputowanych grozi Zahediemu znalezieniem się w obliczu niewątpliwej opozycji. Dlatego rząd wołał przywrócić do życia Senat, przy czym połowa ogólnej ilości senatorów (to jest 30 na 60) została mianowana przez szacha.

Senat rozwiązano za rządów Mossadika dekretem szacha na skutek rezultatów głosowania w Izbie Deputowanych. Co do Izby Deputowanych, to straciła ona wszelkie znaczenie po odejściu w lipcu br. większości pro-mossadikowskiej. Ale deputowani, którzy nie podali się do dymisji, w tym Baghai, nie są wcale zadowoleni z odrodzenia Senatu i coraz ostrzej atakują Zahediego.

Wreszcie jakby dla uzupełnienia tych sprzeczności, cały odłam klasy rządzącej, odsuniętej przez Mossadika, który w dniach sierpniowych przyłączył się do Zahediego, zaczyna się od niego odgradzać. Zdaniem tej grupy rząd cywilny potrafiłby lepiej rozwiązać obecne trudności.

Tak się przedstawia sytuacja wewnętrzna.

Różne stronnictwa rządowe starają się zjednać Amerykanów dla swojego punktu widzenia.

Tymczasem siły ludowe nie pozostają bezczynne. Naród nie uczestniczy w tych kuluarowych intrygach. Sprzeciwia się wszelkiemu nawrotowi do reakcji. Ma nadzieję na powrót Mossadika.

W dniu, kiedy prokurator wojskowy podpisał akt oskarżenia przeciw Mossadikowi, pewien kierownik taksówki oświadczył mi: „Proszę pana, u władzy są wrogowie ludu.

*) Pakt z Saadabadu został zawarty z inicjatywy Anglii w 1937 r. między Iranem, Turcją, Irakiem i Afganistanem. Anglia usiłowała wykorzystać ten blok jako instrument rozszerzenia swoich wpływów na Środkowym Wschodzie.

Ale to im się nie uda". „Mossadik jest dla nas wszystkich ojcem" — rzekł do mnie pewien sklepikarz i dodał: „To był pierwszy rząd, który o nas pomyślał; my tego nie zapomnimy".

Naród irański nie może zapomnieć walk, jakie toczył w ciągu dwóch ostatnich lat.

Zaskoczony spiskiem z 19 sierpnia, wrócił już teraz do siebie. Spordyczne manifestacje przeciw rządowi dowodzą, że lud przygotowuje się do decydującej walki.

W przeszłości naród irański zawsze wypędział najeźdźców i obalał tyranie. Ta przeszłość jest najlepszą gwarancją jego przyszłości.

OŚWIADCZENIE KASZANIEGO

W CHWILI, kiedy amerykański Departament Stanu i Pentagon podjęły zakrojone na szeroką skalę manewry, zmierzające do wciągnięcia Iranu, Afganistanu i Pakistanu do paktu wojskowego z Turcją, wybitna osobistość świata politycznego i religijnego na Środkowym Wschodzie opowiedziała się na rzecz „ściślejszej neutralności".

Mowa tutaj o znanym przywódcy religijnym Ayatollah Kaszanim, do ostatnich czasów przewodniczącym medżlisu — (parlamentu irańskiego), który w swoim oświadczeniu wypowiada się jako bezwzględny zwolennik polityki „ściślejszej neutralności krajów Środkowego Wschodu".

„Uważam — dodaje Kaszani — że wszystkie państwa azjatyckie winny pozostawać na uboczu jakiegokolwiek paktu wojskowego i odmawiać przylączenia się do polityki jakiegokolwiek bądź obozu".

Zbiegając się z radiowym wezwaniem generała Zahediego do Irańczyków, by poparli jego proamerykańską politykę, oświadczenie Kaszaniego jasno wskazuje, że przywódca

polityczno - religijny zajmuje stanowisko biegunowo przeciwne niż dyktator w Teheranie i jego amerykańscy doradcy.

Oświadczenie Kaszaniego złożone zostało w wywiadzie dla „Pakistan Times" i dla „Défense de la Paix". Wywiad uzyskano listownie. Zbiega się on również z przekazaniem przez Stany Zjednoczone Iranowi drugiej raty „pomocy" w dolarach.

„Jedynie prowadząc taką politykę ściślejszej neutralności — oświadcza Kaszani — kraje Środkowego Wschodu będą mogły nie tylko zachować swą niepodległość, ale również zapobiec wybuchowi trzeciej wojny światowej. Wojna taka doprowadziłaby do zniszczenia obu cywilizacji. Dlatego przywódcy obu obozów winni naprawdę szczerze uszanować naszą politykę neutralności i oceniać ją jako drogę, wiodącą do pokoju.

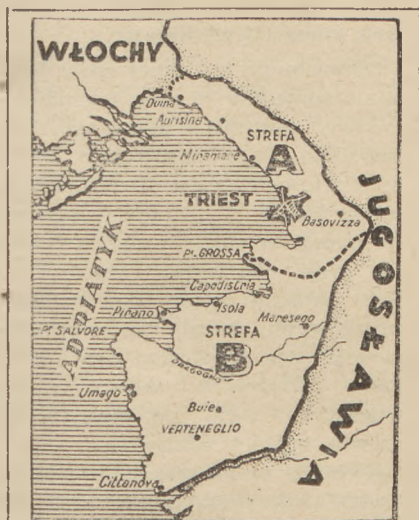
„Pokój jest największym ideałem, dla którego wszyscy ludzie dobrej woli powinni poświęcić swej wysiłki".

TRIEST

„ZIEMIA NICZYJA“

VEZIO CRISAFULLI

Tytułarny profesor prawa na Uniwersytecie Triesteńskim



W lutym 1947 r. podpisany został traktat pokojowy z Włochami, na mocy którego utworzono Wolny Obszar Triestu. Artykuły tego traktatu wyznaczają granice z Włochami i Jugosławią oraz określają stały statut Wolnego Obszaru Triestu.

O STATNI zatarg włosko-jugosłowiański oraz powzięta przez Anglików i Amerykanów decyzja — w porozumieniu z rządem włoskim — przywrócenia Włochom administracji nad strefą „A“ terytorium Triestu podkreśla raz jeszcze pilną konieczność prawdziwego rozwiązania problemu, stanowiącego zarazem nieustanne zagrożenie dla pokoju i tanie alibi dla kół włoskich i jugosłowiańskich do wyszukiwania wszelkiego rodzaju pretekstów dla nacjonalistycznych manewrów, dywersji i prowokacji.

Ale w rzeczywistości najbardziej charakterystyczną cechą problemu Triestu, jest, że stał się on obecnie czymś większym i poważniejszym niż zwykły spór terytorialny między dwoma graniczącymi ze sobą krajami.

Istotnie z całego szeregu powodów natury geograficznej, politycznej i strategicznej Triest jest dzisiaj jednym z newralgicznych punktów sy-

tuacji międzynarodowej i jednocześnie jedną z dziedzin, gdzie wypływają na powierzchnię niektóre z przeciwności, drażących obóz atlantycki (do którego faktycznie należą Włochy i Jugosławia, jakkolwiek z innego tytułu i w różnych formach).

Z drugiej strony, w związku z ofi-
cjalnym charakterem, jaki mu nada-
no z chwilą podpisania traktatu po-
kojowego z Włochami — z charakte-
rem, który określono w samym tek-
ście traktatu — i z powodu bezpo-
średnich oraz pośrednich konsekw-
encji, jakie każde z rozwiązań mo-
że wywrzeć na równowagę całości
stosunków **wszystkich** mocarstw-
sygnatariuszy, problem Triestu stan-
owi niewątpliwie prawdziwą próbę
sił w polityce międzynarodowej.

Jest to zatem problem, który ob-
chodzi wszystkich. I z tego powodu,
nie mówiąc o jego bezpośrednich
skutkach w odniesieniu do stosun-
ków włosko-jugosłowiańskich, winni
go oceniać według jego prawdziwej
wartości wszyscy ci, którzy chcą
szczerze współdziałać w odprężeniu
sytuacji międzynarodowej.

* * *

Oderwanie Triestu od terytorium
włoskiego sięga w rzeczywistości
okresu wojny faszystowskiej. Pod
koniec 1943 r. nie było już w Trie-
ście ani śladu włoskiej administracji,
choćby sprawowanej przez tak zwa-
ną „republikę Mussoliniego“. Wła-
dzę sprawowała tylko i wyłącznie
administracja hitlerowska.

W 1945 r. armia jugosłowiańska
wkroczyła do Triestu, gdy tymcza-
sem Anglicy i Amerykanie grali na

zwłokę, zapewne na skutek uprzed-
nio zawartych tajnych układów
(4 armia jugosłowiańska weszła do
Triestu 30 kwietnia, a 2 dywizja no-
wozelandzka — 3 maja).

Potem przyszedł 9 czerwca, poro-
zumienie między Tito a Alexandrem
co do tak zwanej „linii Morgana“, a
20 czerwca — układ w sprawie linii
demarkacyjnej między Jugosłowia-
nami a mocarstwami zachodnimi w
Istrii.

Z tych czasów datuje się podział
terytorium na dwie strefy okupacyj-
ne, sytuacja, która trwa po dziś
dzień, nie tylko nie ulegając złago-
dzeniu, ale raczej jeszcze się przez
tych osiem lat zaostrzając.

Naturalnie z tej samej epoki datu-
ją się sprzeczne ze sobą żądania na-
rodowe, wysuwane przez obie bez-
pośrednio zainteresowane strony
wraz z towarzyszącym im ładunkiem
znieszczeń i nacjonalistycznych
spekulacji. Wreszcie, z chwilą zawar-
cia tych pierwszych prowizorycz-
nych układów między dowództwami
wojskowymi, okazało się, że problem
nieuchronnie przekracza ciasną dzie-
dzinę stosunków włosko-jugosło-
wiańskich i staje się kwestią na-
prawdę ogólnej natury.

Niemniej w pierwszej fazie, która
trwała aż do początku 1947 r., istnia-
ła możliwość bezpośredniego rozwią-
zania problemu przez Włochy i Ju-
gosławię. Wówczas interwencja in-
nych mocarstw mogła być ograni-
czyć się do ułatwienia zawarcia ta-
kiego układu i do zamieszczenia tego
aktu w artykułach opracowywanego
wtedy właśnie traktatu pokojowego
z Włochami.

Inaczej mówiąc, w owych czasach

przeważał jeszcze punkt widzenia **ograniczony** do stosunków włosko-jugosłowiańskich. Ale sytuacja uległa zmianie, kiedy następnie, z braku bezpośredniego rozwiązania, przyjęto w traktacie pokojowym z Włochami propozycję Bidault utworzenia Wolnego Obszaru Triestu.

Po podpisaniu i wejściu w życie traktatu (wrzesień 1948 r.) wszystko, czego mogły dokonać we wspólnym porozumieniu Włochy i Jugosławia — ale zawsze tylko na zaproszenie Rady Bezpieczeństwa ONZ — ograniczało się do wyboru osoby, którą zaproponowaliby Radzie jako gubernatora Wolnego Obszaru Triestu. Pod każdym innym względem położenie Triestu było odciążone związane z losem traktatu (sporządzonego jak wiadomo przez radę ministrów spraw zagranicznych pięciu wielkich mocarstw), gdy tymczasem nominacja gubernatora — w wypadku gdyby Włochy i Jugosławia nie mogły dojść do porozumienia co do wyboru proponowanej osoby — była całkowicie uzależniona od Rady Bezpieczeństwa, to znaczy, w ostatecznym rezultacie, od porozumienia między wielkimi mocarstwami, stałymi członkami Rady Bezpieczeństwa.

Warto przypomnieć, że z nominacją gubernatora winna natychmiast przestać istnieć administracja obu stref sprawowana przez dowództwa wojskowe — z jednej strony anglo-amerykańskie, a z drugiej — jugosłowiańskie (artykuł 1 dokumentu w sprawie prowizorycznych władz, aneks VII do traktatu pokojowego).

Po nominacji gubernatora miało przeprowadzić wybory do Zgromadzenia Konstytucyjnego, którego za-

daniem byłoby opracowanie konstytucji Wolnego Obszaru. Potem nastąpić miało przejście z prowizorycznego reżimu do ściśle określonego, regulowanego rozporządzeniami stałego statutu, tzw. Dokumentu Prowizorycznego, zatwierdzonego przez Radę Bezpieczeństwa ONZ (aneks VI do Traktatu Pokojowego z Włochami).

Przypomnijmy również, że zgodnie z traktatem wojska obce (**natychmiast zredukowane** do 5 000 Anglików, 5 000 — Amerykanów i 5 000 Jugosłowian) miały pozostawać do dyspozycji gubernatora na okres 90 dni, począwszy od dnia objęcia przezeń funkcji. Po tym terminie należałoby wycofać wojska w ciągu najbliższych 45 dni, chyba, że gubernator podjąłby inną decyzję (ale również mogłaby ona działać jedynie na ograniczony okres).

Jasne jest więc, że zastosowanie traktatu wraz z mianowaniem gubernatora miałoby między innymi następujące skutki:

1) Zjednoczenie terytorium Tr'es'u przez zniesienie podziału na strefy „A“ i „B“.

2) Zakończenie okupacji wojskowej i związanej z tym władzy dowództwa wojskowego anglo-amerykańskiego i jugosłowiańskiego w odnośnych strefach.

3) Wycofanie sił zbrojnych z obu części całego Obszaru, tym bardziej zresztą, że traktat wyraźnie nakazuje demilitaryzację i neutralność tego terenu.

4) Przeprowadzenie wyborów na terenie Wolnego Obszaru.

Natomiast z powodu braku porozumienia co do mianowania guber-

natora, doprowadzono do przedłużania, aż wreszcie do skryształowania się stanu faktycznego, który miał być, jak początkowo sądzono, prowizoryczny i chwilowy, jako wynikły z okoliczności wojennych i warunków zawieszenia broni.

Triest stał się anglo-amerykańską bazą wojskową i pozostał nadal podporządkowany anglo-amerykańskiemu zarządowi wojskowemu.

Co do strefy „B“, to jest ona obecnie — praktycznie biorąc — przyłączona do Jugosławii i zajęta przez jugosłowiańskie siły zbrojne.

Taki jest właśnie praktyczny rezultat, do jakiego chcieli dojść Anglicy, Amerykanie i Jugosłowianie. Jedni po to, by dysponować Triestem, jako stałą bazą wojskową na rubieżach Austrii i Bałkanów, inni — aby móc dysponować strefą „B“, jak swoją własną, podsycając tym „prestżowym“ sukcesem nacjonalizm niektórych kół w kraju i zachowując tym samym hipotekę na samo miasto Triest i resztę terytorium.

Ale chcąc osiągnąć takie cele, trzeba było przejść do porządku dziennego nad klauzulami traktatu, nie dopuścić do wprowadzenia go w życie, pogwałcić jego ducha i literę.

I rzecz, której nie rozumiały, lub nie chciały zrozumieć oficjalne koła włoskie, że kiedy energicznie sprzeciwiały się wprowadzeniu w życie traktatu — po prostu szły na rękę interesom obcych mocarstw. Nie rozumiały do tego stopnia, że dzisiaj jeszcze upierają się, by stawiać czoła tej sytuacji bez wyjścia.

Z drugiej strony polityka anglo-amerykańska, która — wbrew zobowiązaniom traktatu — zmierzała do

utrzymania kontroli wojskowej w Trieście, nie miała w sobie nic tajemniczego, ani nieprzemyślanego. Była ona logicznym elementem bardziej ogólnej całości, skierowanej ku polityce bloków, będącej wyrazem stopniowego zanikania zasad jedności i współpracy między wielkimi mocarstwami w interesie utrzymania pokoju, zasad, które przyświecały utworzeniu Karty NZ i — w pewnej mierze — opracowaniu traktatów pokojowych.

Pod tym względem stanowisko mocarstw zachodnich wobec problemu Triestu ściśle odpowiadało ich postawie wobec problemu niemieckiego i traktatu z Austrią.

Nota trzech mocarstw z 20 marca 1948 r., w której Anglicy, Francuzi i Amerykanie zobowiązali się do oddania całego terytorium Triestu Włochom, stanowi punkt kulminacyjny, lub ściślej mówiąc, jeszcze nieformalny przejaw nowej polityki jednostronnego zrywania umów w konkretnym zastosowaniu do problemu Triestu.

Pominiemy wszelkie komentarze natury polemicznej na temat ściśle propagandowego charakteru noty trzech mocarstw, która starała się wprowadzić w błąd opinię publiczną i ograniczymy się do stwierdzenia, że gdyby mocarstwa zachodnie naprawdę chciały uczynić pierwszy krok, (ale krok realny, konkretny i skuteczny) w kierunku urzeczywistnienia ich obietnicy, powinny były rozpocząć od rewizji włoskiego traktatu pokojowego w odpowiednim jego punkcie.

Ale w rzeczywistości trzy rządy zachodnie nie chciały ani na serio

doprowadzić do rewizji traktatu, ani szanować jego klauzul, odnoszących się do utworzenia Wolnego Obszaru Triestu.

Rządy te starannie wystrzegały się podejmowania wszelkiej inicjatywy dyplomatycznej w kierunku nawiązania między wszystkimi krajami, które były sygnatariuszami traktatu, dyskusji, zmierzającej do przeprowadzenia zmiany traktatu w tym duchu, który im, jak się zdaje, odpowiadał.

Z drugiej strony pilnie wystrzegały się one doprowadzenia w Radzie Bezpieczeństwa do mianowania gubernatora. A przecież w lutym następnego roku Związek Radziecki znowu podniósł tę sprawę w Radzie Bezpieczeństwa i zgodził się — dla ułatwienia zawarcia układu — na nominację Szwajcara Flückigera, którego kandydaturę uprzednio wysunęła Wielka Brytania.

Ten, kto bada do głębi problem Triestu, nie może mieć żadnej wątpliwości co do tego, że oświadczenie trzech mocarstw zachodnich było aktem polityki atlantyckiej **zanim jeszcze zawarto pakt atlantycki**. Była to typowa jednostronna inicjatywa, zrywająca porozumienie między wielkimi mocarstwami, a zmierzająca w pierwszym rzędzie do celów propagandowych, by osiągnąć następnie ściśle określone rezultaty. Były one nierozłącznie związane z polityką wewnętrzną Włoch, które zamierzano wykorzystać jako pionka w ogólnej strategii bloku atlantyckiego.

To właśnie piętno polityki atlantyckiej w dalszym ciągu — po dziś

dzień — charakteryzuje rozwój problemu Triestu, uporczywie stawianego w ten właśnie sposób przez rządy mocarstw zachodnich i rząd włoski.

Dotyczy to na przykład projektu plebiscytu, przedłożonego przez premiera włoskiego Pella, który chciał powiązać go z notą trzech mocarstw zachodnich z 20 marca 1948 r., udając, że nie wie, iż chodzi o zmianę, której nie było można już teraz zrealizować.

Co więcej, projekt plebiscytu, który mógł być mieć z pewnych względów charakter niewątpliwie demokratyczny, pozostawał związany z systemem atlantyckim. W praktyce nie można go było przeprowadzić, gdyż Jugosławia oczywiście w żaden sposób nie zgodziłaby się ewakuować strefy „B“, co byłoby niezbędnym warunkiem prawdziwie wolnego i szczerzego referendum.

Z drugiej strony, jeżeli chodzi o Włochy, projekt ten wykluczał poparcie innych państw, również sygnatariuszy traktatu pokojowego i tak samo zainteresowanych w rozwiązaniu problemu, poczynawszy od Związku Radzieckiego, stałego członka Rady Bezpieczeństwa ONZ.

Lewicowa opozycja nie omieszkala krytykować sposobu, w jaki Pella przedstawił projekt plebiscytu, wykazując, że w gruncie rzeczy sprowadza się on do prostego „programu maximum“, za który cofano się, w rzeczywistości na „drugą linię“, która równała się uznaniu ostatecznego zagarnięcia strefy „B“ przez Jugosławię, jako faktu dokonanego (oczywiście wraz z obowiązu-

jącymi platonicznymi zastrzeżeniami).

Natomiast, wiążąc projekt plebiscytu z żądaniem wprowadzenia w życie traktatu pokojowego, lub ściślej „dokumentu prowizorycznego“, Włochy zapewniłyby sobie w stosunku do innych państw, a w szczególności wobec Jugosławii, pozycję nie do zdobycia. Nie byłoby żadnej sprzeczności między wykonaniem traktatu a żądaniem plebiscytu, to znaczy zmodyfikowania traktatu.

Śluszłą zasadą współistnienia między państwami jest przestrzeganie i lojalne wypełnianie podpisanych zobowiązań. Ale nic nie stoi na przeszkodzie, by wprowadzone w życie traktaty można było modyfikować w niektórych punktach ze zgodą wszystkich mocarstw, które uczestniczyły w opracowaniu pierwszej redakcji.

Wreszcie w wypadku Triestu wprowadzenie w życie traktatu (jak to ustalono w związku z „dokumentem prowizorycznym“) okazałoby się na prawdę legalnym środkiem realizacji faktycznych warunków godnego tego miana plebiscytu (zjednoczenie obu stron, ewakuacja obcych sił zbrojnych, odpowiedzialność gubernatora przed ONZ).

Łącząc żądanie przeprowadzenia plebiscytu z wykonaniem traktatu, Włochy dokonałyby konkretnego kroku w kierunku umieszczenia problemu Triestu na jego naturalnym terenie, to jest powierzając go wszystkim państwom, które w swoim czasie uczestniczyły w opracowaniu klauzul traktatu, a w szczególności wielkim mocarstwom, na które spa-

da największa odpowiedzialność za utrzymanie pokoju.

* * *

Nowym i najważniejszym faktem stało się w rzeczywistości jednogłośnie uchwalenie we włoskiej Izbie Deputowanych w dniu 6 października tej części porządku dziennego obrad w sprawie Triestu, która zwywa rząd. „do kontynuowania wytrwale akcji, zmierzającej do urzeczywistnienia warunków, potrzebnych dla zagwarantowania w skuteczny sposób praw Włoch do Triestu i do całego jego terytorium oraz dla zapewnienia powrotu do matki-ojczyzny tych ziem i tej ludności“. Stanowiło to w gruncie rzeczy zaproszenie do odejścia od zachowawczej polityki „atlantyzmu“, od ścisłego przestrzegania reguł, do podjęcia inicjatywy, choćby w ramach systemu zachodniego, ale z tym marginesem autonomii i niepodległości, jakiej brakowało dotychczas w całej polityce zagranicznej Włoch.

Samo powołanie się na notę trzech mocarstw zachodnich z 1948 r. w innej części porządku dziennego, nie było już zwyczajowym i platonicznym oświadczeniem, wyrażającym „wdzięczność“ dla mocarstw zachodnich. Przeciwnie, nabierało ono w świetle debaty w Montecitorio wartości rzeczowego wezwania i **niemał warunku** przystąpienia Włoch do polityki atlantyckiej.

W dwa dni potem pojawiła się anglo-amerykańska propozycja oddania Włochom z powrotem administracji w strefie „A“. Za wcześnie jeszcze na ścisłą ocenę tego ostatniego wydarzenia. Niemniej wolno

zauważyć, że postanowienie anglo-amerykańskie praktycznie i oficjalnie sprowadza do zera osławioną notę trzech mocarstw zachodnich i zawiera w sobie odrzucenie projektu plebiscytu.

Czynnikiem dodatnim mógłby pozornie być fakt, że propozycja ta zapowiada bliską ewakuację strefy „A” przez anglo-amerykańskie siły zbrojne. Jednakowoż trzeba obiektywnie zauważyć, że nie podano żadnej dokładnej daty przeprowadzenia tej ewakuacji, gdy tymczasem obecne za ostrzeżenie zatargu włosko-jugosłowiańskiego daje — jak można przypuszczać — anglo - amerykańskim „protektorom” pretekst do pozostania na terytorium Triestu, by — między innymi — uspokajać ewentualne zajścia.

Z drugiej strony na miejsce ewentualnego ustąpienia obu zachodnich mocarstw z terytorium Triestu, przyszloby przyznane tym mocarstwom na mocy konwencji londyńskiej prawo posiadania baz w każdym punkcie terytorium Włoch (między innymi istnieją już bazy we Friulu, w odległości kilku kilometrów od Triestu).

Ponadto nie można zapominać, że

gest anglo-amerykański zmierza do wywarcia nacisku na włoską opinię publiczną, by ją skłonić do poparcia ratyfikacji układu o „europejskiej wspólnocie obronnej”, stanowiącej zagrożenie pokoju i niepodległości narodów.

Wreszcie, by się trzymać najbardziej ograniczonych ram stosunków włosko-jugosłowiańskich, zauważmy, że napięcie między obu krajami wzrosło natychmiast po ogłoszeniu tej (powziętej jak zwykle jednostronnie) decyzji Anglo-Amerykanów. A wiemy, że każdy punkt, w którym potęguje się naprężenie sytuacji międzynarodowej, stanowi niebezpieczeństwo dla pokoju, nawet jeżeli, jak w wypadku Triestu, obie strony przywiązane są do jednego wozu...

Zresztą wszystko to umacnia tylko tak dla jednej, jak i dla drugiej strony więzy zależności atlantyckiej, co umożliwia kierowniczym kołom zachodnim dalsze prowadzenie akcji „pośrednictwa” i kontroli wraz z wykorzystywaniem dla ich własnych celów narodowych uczuć i uraz Włochów i Jugosłowian.



Naród amerykański

II *)

TRUDNOŚCI rozwoju ruchu w obronie pokoju w Stanach Zjednoczonych wypływają również z tego, że wiadomości z innych krajów przychodzą w niewystarczającej ilości, że prawie zawsze bywają zniekształcone i że — jak się zdaje — docierają wyłącznie poprzez biuro cenzury rządowej. Zważywszy, że naród amerykański jest geograficznie odizolowany od reszty świata i że rzadko zdarza się nawiązać w Stanach Zjednoczonych kontakty z cudzoziemcami, w znacznej mierze trzeba się opierać na gazetach i na radio.

Zapewne, w Stanach Zjednoczonych istnieje „wolność prasy“. Człowiek, który dysponuje kilkoma milionami dolarów, który jest ustosunkowany, który ściąga dobrych dziennikarzy sportowych, który kupuje najlepsze serie comicków, który angażuje reportera, doskonale znającego się na wyścigach konnych i przepowiedniach oraz redaktora dla kącika kobiecego, umiającego uderzyć we właściwy ton, zakłada gazetę, która w trzech lub czterech miastach Stanów Zjednoczonych może wywierać potężny wpływ na opinię publiczną.

Ale mówmy realnie, nie zaś o obietnicach konstytucji, lub o oszukańczych sukcesach. Miliony obywateli zdecydowanie protestują przeciw ustawie Tafta - Hartley'a, a jednak

nie atakuje jej żaden dziennik o wysokim nakładzie. Miliony obywateli pragnęłyby utworzenia jakiejś trzeciej partii, ale żadna ważniejsza gazeta tego nie popiera. Większość chce pokoju, ale w gazetach niemożliwością jest znaleźć artykuł, wyrażający wolę pokoju.

W kilku słowach da się wyrazić to, co można powiedzieć w gazecie amerykańskiej i to, czego w niej powiedzieć nie można. Nie wolno — oczywiście nie w formalnym sensie tego słowa — poruszać kwestii, czy prezydent Truman był czy też nie był upoważniony przez konstytucję do wysłania wojsk do Korei? Zabronione jest dyskutować w prasie na temat podniesienia stopy życiowej narodu radzieckiego. Przez długi czas nie wolno było omawiać sprawy Rosenbergów. Potem zakaz zniesiono, ale tylko pozornie, gdyż aż do dnia egzekucji nie wolno było zamieszczać najprostszych argumentów na ich korzyść. Nie opublikowano nawet protestów, wyrażających oburzenie, które by mogły wzbudzić najmniejszą choćby sympatię amerykańskiej opinii publicznej dla Rosenbergów. Natomiast zamieszcza się regularnie wszystkie informacje, pochodzące z najgorszej fabryki kłamstw na świecie — Agencji Prasowej nacjonalistycznych Chin na Tajwanie.

Mamy niejednokrotnie dowody na to, że prowadzi się w prasie celowe kampanie propagandowe. Kiedy w maju br. postanowiono, że należy

*) Część I.: zob. nr 11 (29) „W Obrobie Pokoju“.

między pokojem i wojną

„poinformować“ opinię publiczną o Afryce, ukazały się w prasie uderzająco liczne artykuły na temat Afryki.

Całymi miesiącami na próżno szukano informacji na temat zajęć granicznych w Niemczech i gdzie indziej, o zabitych lub wziętych do niewoli żołnierzach w Korei, potem nagle zaczęto je zamieszczać pod wielkimi nagłówkami. Dlaczego? Ponieważ w Kongresie omawiano właśnie budżet wojskowy Stanów Zjednoczonych. Myślący ludzie zaczynają się zastanawiać, kto stoi za kulisami i kto decyduje o tym, co można będzie dać do czytania, a czego nie będzie wolno.

Gdyby zapytano w tej sprawie różnych ludzi, większość odpowiedziałaby: „**Naturalnie nie można wierzyć w nic, co podają gazety**“. Te słowa można słyszeć wszędzie, ale niestety, ludzie mimo to nie umieją stosować tej nabytej przenikliwości w czytaniu prasy dla wyluskiwania z niej prawdy. W szczególności jeżeli chodzi o wiadomości z zagranicy — mimo nieufności w stosunku do gazet, ludność z łatwością przyjmuje wszystko, co zostało wydrukowane.

Nawet osoby dobrze poinformowane, kiedy czytają depesze z zagranicy, nie zdają sobie sprawy z faktu, że korespondenci, którzy je nadsyłają, muszą pisać to, co aprobuje **State Department** (amerykańskie MSZ) pod groźbą utraty źródeł informacji, a nawet może również i paszportu. W pewnej mierze ludzie bronią się prze-

ciw złej prasie, nie czytają informacji. Na przykład nikt nie czytywał wiadomości z frontu walk w Korei.

Rozpowszechnił się inny sposób obrotu przed informacjami dzienników. Coraz częściej obywatele pisują listy do redakcji. W rezultacie coraz szersze koła publiczności czytają strony, zawierające listy czytelników. Znajdują w nich często oryginalniejsze komentarze, idee i fakty, bardziej obiektywne i lepiej przedstawione niż w artykułach zawodowych dziennikarzy. W ciągu ostatnich miesięcy na łamach wielkich dzienników można było często znaleźć w listach do redakcji potępienie wojny w Korei, Li Syn-mana i głosy w obronie Rosenbergów.

W ostatnich latach radio i telewizja stają się coraz ważniejszymi źródłami informacji. Dzieje się tak dlatego, że wygodniej jest słuchać i patrzeć niż czytać, ale także i dlatego, że prasa wzbudza nieufność. W radio słuchać można reportaży o wydarzeniach, ale również — być może — komentatorzy są jakby bliżsi swojej publiczności. Jest ich bardzo wielu, a każdy rozwinął swój własny sposób przemawiania przez mikrofon. Przedstawiają oni swoje własne wersje wiadomości i chętnie wykazują, że przekazywanych przez nich informacji nie można znaleźć w gazetach. Przedstawiają je nadto w odmienny sposób.

Natomiast jako obiektywne źródła informacji, komentarze radiowe i te-

lewizyjne niewiele wyżej stoją od prasowych. Większość komentatorów prowadzi osobistą krucjatę przeciw komunizmowi. Drew Pearson, jeden z najbardziej znanych komentatorów, bije na alarm przed wszystkim, co w Stanach Zjednoczonych nazwano „żelazną kurtyną“.

Słyszałem, jak jeden z najwybitniejszych komentatorów przepowiedział pod koniec czerwca, że ustrój komunistyczny upadnie w Rosji przed upływem trzech miesięcy. Wygłosił tę przepowiednię ot, tak sobie, na próbę, niemniej stanowi to dobry przykład tego, na co pozwalają sobie radiowi komentatorzy, kiedy interpretują wiadomości z zamiarem przypodobania się Waszyngtonowi.

Takie są dwa główne źródła informacji. Poza tym wiele idei dociera najróżniejszymi drogami z zagranicy — poprzez ilustrowane magazyny, sprawozdania podróżników, książki, opowiadania emigrantów z Europy itp.

Ogólnie biorąc, ten rodzaj informacji wywiera bardziej trwale wrażenie, niż wiadomości z prasy i radia. Są one również poważniejsze. Nawet w organach konserwatywnych znaleźć można czasem artykuły, które pokazują — na przykład — dlaczego naród japoński pragnie zakończenia okupacji. Albo też jakiś podróżnik, po powrocie z Indii, opracowuje poważny raport — w oparciu o fakty — o wzroście nastrojów wolnościowych w tym kraju.

Tygodnik „**Look**“, który stara się konkurować z „**Life**“, zwracając się do publiczności, którą rażą jawnie imperialistyczne zapatrywania „**Life**“, bije wysoki nakład i często zamiesz-

cza stosunkowo obiektywne artykuły na temat problemów międzynarodowych. Również, jak się zdaje, rozwija się drobna prasa liberalna. Te rozmaite źródła wiadomości pomagają łamać zapory, wznoszone przez cenzurowaną prasę codzienną.

Przed dwoma laty reakcyjny tygodnik informacyjny „**United States News and World Report**“ zamieścił bardzo poważny artykuł, wykazujący, jak się odbywa fabrykowanie opinii w Stanach Zjednoczonych. Najpierw mała grupa podejmuje decyzję, w danym wypadku, że Stany Zjednoczone mają bronić Taiwanu przed Chińczykami. Następnie skłania się **State Department**, aby on ze swej strony zgodził się na tę decyzję. Wówczas informację tę przekazuje się jednemu z półoficjalnych komentatorów rządu.

Niedługo potem **State Department** dementuje, jakoby miał na myśli taką politykę — dyplomaci zaczynają najpierw lawirować. Jednak kampania prasowa rozwija się. Znany polityk korzysta ze sposobności, by wygłosić na ten temat przemówienie. Prezydent oznajmia, na konferencji prasowej, że pochwała tę nową politykę. Wtedy robota idzie już całą parą. Gazety z całym hałasem oznajmują zasady nowej polityki, a upoważnieni urzędnicy przemawiają na jej poparcie. W ten sposób doprowadza się opinię publiczną do jej przyjęcia. Naturalnie, lud amerykański pozostaje całkowicie na uboczu tych wszystkich machinacji.

Bernard Iddings Bell, wybitny duchowny episkopatu, pisał niedawno na łamach „**Crowd Culture**“: „**Kiedy z początkiem drugiej wojny świato-**

wej Rosja zawarła pakt o nieagresji z Hitlerem, lud amerykański oceniał Rosjan, o ile wierzyć naszym dziennikom, jako swoich nieprzyjaciół. W okresie, kiedy Hitler napadł na Rosję, znajdowałem się w Nowym Jorku. Przy obiedzie siedziałem obok bardzo wpływowego działacza wielkiej agencji informacyjnej.

— Teraz, kiedy Moskwa jest po naszej stronie, powiedziałem, myślę, że trzeba nauczyć lud amerykański, aby przestał widzieć w Rosjanach diabłów i aby ich uważał za szlachetnych towarzyszy walki...

— Z pewnością, odpowiedział mi na to. Wiemy, co mamy w związku z tym do zrobienia. Prasa dokona całkowitego zwrotu — i to niemal jednocześnie — w pojęciach, jakie ludzie wyrobili sobie o Rosjanach. Dokonamy tego w ciągu trzech tygodni". Rzeczywistość przyznała mu rację.

Nie jest tak łatwo, jak wierzy ów duchowny, zmusić nasz naród, aby myślał to, co mu się chce narzucić, a kampania rządowa, mająca skłonić całą opinię publiczną, by uwierzyła, że zawładnięcie Taiwanu ma zasadnicze znaczenie dla obrony narodowej, nie odniosła spodziewanego sukcesu.

Niemniej sposób, w jaki obecnie rozpowszechnia się wiadomości w Stanach Zjednoczonych, to znaczy nieoficjalna cenzura wszystkich publikowanych wiadomości, pozostaje nadal poważną przeszkodą w rozwoju Ruchu w Obronie Pokoju. Jak długo Ruch w Obronie Pokoju nie obali tej cenzury, lub nie wprowadzi własnych środków przekazywania publiczności swych informacji, dopóty

nie może on wywierać wielkiego wpływu na opinię publiczną w Stanach Zjednoczonych.

Dławić idee można w Stanach Zjednoczonych w większym lub mniejszym stopniu m. in. w wyniku dobrobytu, jakiego kraj ten zażywa od 1940 r. Dobrobyt ten — szczególnie w latach powojennych — doprowadził do apatii w odniesieniu do wszelkiej polityki. Powoduje to również ogólny brak zainteresowania Ruchem w Obronie Pokoju.

Nie tu miejsce na dyskusję, czy jest to dobrobyt prawdziwy czy też pozorny. Ale faktem jest, że dobrobyt, lub ściślej — pełne lub niemal pełne zatrudnienie powstało w wyniku wojny i przygotowań wojennych.

Zapytałem niedawno drobnego przemysłowca w mieście, którego gospodarka w głównej mierze uzależniona jest od dostaw wojskowych, co by się stało jego zdaniem, gdyby „wybuchł pokój“. Zaczął mi odpowiadać w ten sposób: „**Z pewnością nikt nie byłby szczęśliwszy ode mnie, gdybyśmy mogli osiągnąć jakiekolwiek porozumienie z Rosjanami...**“

Ta sytuacja ciąży mu bowiem, jak ciąży wielu innym, których źródło zarobkowania i dobrobyt zależą od dostaw wojskowych i którzy nie widzą, w jaki inny sposób można by ten dobrobyt utrzymać.

Przed trzema laty było się niemal uważanym za komunistę w Stanach Zjednoczonych, kiedy się wykazywało, że program zbrojeniowy oddalił kryzys i bezrobocie. Dzisiaj sytuacja przedstawia się odmiennie. Każdy w Stanach Zjednoczonych wie, że mielibyśmy kryzys, gdyby wojna w Korei nie wybuchła w tak dogodnym

momencie i każdy obawia się, że koniec wojny przyniesie kryzys. Coraz częściej przyznają to politycy, jakkolwiek przeczy się temu z pozycji oficjalnych rządu.

Natomiast Adlai Stevenson, ten tak głośki szarlatan, który za każdym obrotem kształtuje swe wypowiedzi według pragnień **State Department**, nie zawahał się zidentyfikować wojny z dobrobytem, a pokoju z upadkiem gospodarki.

Nie trzeba ukrywać, że utrudnia to pracę Ruchowi w Obronie Pokoju. Naród amerykański przywiązany jest do swego wysokiego poziomu życia i zapewno żywo by zaprotestował, gdyby trzeba go było obniżyć. Jakkolwiek kocha on pokój, jest mu często łatwiej — o ile straty w ludziach nie są zbyt wielkie, o ile nieprzyjacielem jest naród, wobec którego uważa się za wyższy — pozwolić na utrzymywanie „koniunktury wojennej“, niż walczyć o położenie kresu wojnie. *)

POTENCJALNE SIŁY RUCHU W OBRONIE POKOJU

Jakkolwiek Ruch w Obronie Pokoju w Stanach Zjednoczonych musi przezwyciężać te wielkie trudności, to jednak posiada on — dzięki wzrastającemu i silnemu pragnieniu pokoju — olbrzymi potencjał rozwojowy.

Źródło tych sił potencjalnych kryje się niewątpliwie w organizacjach robotniczych. Ale dotychczas siła

tych organizacji była w bardzo małym stopniu wciągnięta do służby dla sprawy pokoju. Składa się na to wiele przyczyn.

Administracja organizacji robotniczych była lub utrzymywała, że była w przyjaznych stosunkach z pracodawcami, którzy w ostatnich latach osiągnęli olbrzymie zyski. Dlatego amerykańscy robotnicy nie musieli toczyć rozpaczliwych walk o swoją egzystencję, jak na przykład robotnicy francuscy w sierpniu br.

Wynika stąd upadek świadomości politycznej w ugrupowaniach robotniczych.

Co więcej, ruch robotniczy niewątpliwie pozostaje pod wpływem tych, którzy identyfikują pokój z bezrobociem, a wojnę z pełnym zatrudnieniem. Taki jest pogląd nie tylko wielu robotników, ale to rozwiązanie problemu bezrobocia lansują liczni przywódcy związków zawodowych zamiast szukać prawdziwego rozwiązania problemu społecznego.

Robotnikom, zbyt jawnie walczącym w obronie pokoju, grożą, że będą traktowani jako komuniści przez swoich przeciwników w związkach zawodowych, a tam, gdzie przeważają reakcyoniści, może to doprowadzić do utraty pracy.

Istnieje grupa związków zawodowych, których przywódcy mają zapamiętanie lewicowe, ale związki te obejmują zaledwie 5 proc. robotników w poszczególnych gałęziach przemysłu. W takich wypadkach przywódcy, często bojownicy o pokój, wahali się zbyt jawnie występować, aby ich nie identyfikowano z komunistami. Wyjątek stanowi Harry Bridges. Przebywał on czas jakiś w

*) Autor tej pracy nie wymienia warunków gospodarki pokojowej, która również doprowadzić by mogła do dobrobytu — o wiele zdrowszego — drogą rozwoju wymiany handlowej i kulturalnej z wszystkimi krajami świata — przyp. Red.

więzieniu za to, że protestował przeciw wojnie w Korei, co zjednało mu wielki szacunek członków jego związku.

Stowarzyszenia robotnicze zaczynają występować w obronie pokoju. Ale postęp jest powolny, ponieważ komitety pokoju, złożone z członków klasy średniej, mają trudności z pchnięciem w tym kierunku robotniczych związków zawodowych.

Innym szerokim sektorem, w którym Ruch w Obronie Pokoju może liczyć na rozwój, jest całość ugrupowań religijnych. Niektóre kościoły protestanckie są z tradycji przeciwne wojnie i w przeszłości zajmowały stanowisko aktywnie opozycyjne. Dzisiaj liczniejsze niż kiedykolwiek grupy spośród koł religijnych przyłączają się do Ruchu w Obronie Pokoju. W wielu wypadkach przyłączają się doń w sposób nieśmiały i jakby na próbę, zakładając koła badań na temat ONZ itp.

Ale wszędzie kościoły popierają to dążenie i nalegają na swoich członków, aby nie pozostawali bierni i aby wpływali na politykę zagraniczną rządu.

Rząd spostrzegł tę ewolucję, która go bardzo zaniepokoiła. W czasie walki przeciw obowiązkowej służbie wojskowej poczynił szczególne wysiłki, by zwołać w Waszyngtonie przywódców religijnych. Tuzinami defilowali przed nimi wysocy urzędnicy, starając się wytłumaczyć jak tylko umieli, że lepiej będą służyć Panu Bogu, jeżeli udzielią swego poparcia dla powszechnej służby wojskowej.

Kierownicy kościołów często aktywnie pracowali dla dzieła obrony pokoju. „Federal Council of Chur-

ches“ („Federalna Rada Kościołów“). często uchwała rezolucje, bardzo przychylne dla sprawy pokoju. Ale trzeba pamiętać, że są to tylko rezolucje i że protestantyzm jest w Stanach Zjednoczonych bardzo słabo zorganizowany. Rezolucje, uchwalane na zgromadzeniach pastorów, mogą być zupełnie nieznane w parafiach.

Wielu pastorów może wyrażać swój pogląd na wszelkie tematy jedynie z pozwoleniem swej rady synodalnej, złożonej z kupców, agentów ubezpieczeniowych, kramikarzy, którzy faktycznie rządzą parafią. Różne stowarzyszenia duchowieństwa wezwwały prezydenta Stanów Zjednoczonych, aby się spotkał z premierem rządu radzieckiego, ale gazety pisały o tym tylko sporadycznie i na tym się skończyło.

Jednak kiedy zaproponowałem pewnemu wybitnemu duchownemu, aby jego kościół poczynił starania w celu zorganizowania wycieczki pastorów do Związku Radzieckiego, przybrał bardzo zafrasowaną minę. Otóż tak właśnie rodzaj inicjatywy spowodowałby kampanię propagandową i tak wielką ilość rozmaitych wypowiedzi, że byłoby dla pastorów rzeczą niebezpieczną puszczać się na te wody.

Dyskusje nad możliwościami pracy na rzecz pokoju, można sobie wyobrazić jedynie wśród protestantów, ortodoksów i żydów, którzy stanowią dwie trzecie wierzących w Stanach Zjednoczonych. Nie ma natomiast mowy, aby w obecnych warunkach Ruch w Obronie Pokoju o większym znaczeniu mógł się rozwinąć wśród katolików, jak się to dzieje we Francji i we Włoszech.

W Stanach Zjednoczonych Ruch w Obronie Pokoju zaczyna zdobywać sobie poparcie „liberałów“, mężczyzn i kobiet wolnych zawodów klasy średniej, demokratów Roosevelta. Uzyska on większe poparcie wtedy, kiedy przywódcy liberałów wyzwolą się spod kurateli **State Department**, który tak długo kołysał ich w swych ramionach.

Niedawne są jeszcze czasy, kiedy pewien producent filmów w Hollywood, mający pewne powiązanie z liberałami, kupił całą stronę „**New York Times**“, naszego najbardziej oficjalnego dziennika, aby ogłosić w nim manifest, w którym wzywał liberałów do denuncjowania swych przyjaciół policji, do „zerwania z przeszłością“ i do przeistoczenia się w „przyswoitych ludzi“.

Liberalizm, który długo poddawał się antykomunistycznej histerii, będzie potrzebował dużo czasu, by odnaleźć godność i siłę charakteru, które go cechowały za rządów prezydenta Roosevelta. Zresztą ewolucja już się rozpoczęła, jak świadczą na przykład gwałtowne ataki senatora Lehmana, jednego z przywódców liberałów przeciw senatorowi McCarthy'emu.

Obecnie organizacje takie, jak „**The Americans for Democratic Action**“ („Stowarzyszenie Amerykanów dla działalności demokratycznej“) boją się jeszcze zajmować zbyt przychylne dla sprawy pokoju stanowisko, ale nie ulega najmniejszej wątpliwości, że dążą wraz z coraz liczniejszymi demokratami, wiernymi prezydentowi Rooseveltowi ku drodze, wiodącej na pozycje obrony pokoju.

Innym aktywnym ośrodkiem opozycji jest Middle West (stany środkowo-zachodnie), skupisko największej opozycji przeciw udziałowi Stanów Zjednoczonych w pierwszej wojnie światowej. W okręgu zbożowym „**Corn Belt**“ — od Ohio do Iowa — panuje nadal tradycyjna i głęboko zakorzeniona wrogość wobec wojny. Jej źródłem jest prowincjonalizm, jak również rolniczy charakter gospodarki, narażonej na szkody, kiedy synowie odchodzą na wojnę. Postawa ta znajduje także poparcie u finansistów, którzy zainwestowali swe kapitały w produkty rolne, mięso w konserwach, piwiarnie, ubezpieczenia, koleje i którzy nie mają udziału w zyskach, zdobywanych w krajach zamorskich.

W całej tej strefie dominują takie właśnie interesy. Jej przedstawiciele głosowali przeciw powszechnej służbie wojskowej i przeciw poborowi. Pragnienie pokoju mieszkańców Middle West ma często charakter czysto negatywny, a przeciwnicy oskarżają ich o „izolacjonizm“.

Trudno ocenić te nastroje jako część składową Ruchu w Obronie Pokoju, ale jest to siła, która staje na przekór planom Waszyngtonu. Nastroje te odgrywały wielką rolę w przeszłości, a w przyszłości mogą odgrywać jeszcze większą.

Istnieją poza tym wielkie ugrupowania, dysponujące potężną siłą potencjalną, która mogłaby służyć sprawie pokoju, ale siła ta nie została jeszcze zmobilizowana. Są to organizacje matek i kobiet w obronie pokoju. Jednak znajdują się one dopiero w zalążku i nie stanowią jeszcze ruchu. Istniejące w Stanach Zjednoczo-

nych organizacje kobiece niewątpliwie nie mogą jeszcze w tej chwili uczestniczyć w walce o pokój i dużo czasu upłynie, nim stworzone zostaną inne organizacje kobiece na wyższym szczeblu.

Naturalnie jeszcze inaczej przedstawia się sytuacja, jeżeli chodzi o Murzynów i Amerykanów pochodzenia meksykańskiego. Te uciskane odłamy ludności nie wzbogaciły się na skutek wojny i sympatyzują z ludami krajów kolonialnych, cierpiącymi w wyniku ekspansjonistycznej polityki Stanów Zjednoczonych. Ale dotąd zrobiono bardzo niewiele, by je zmobilizować dla sprawy pokoju.

Dzisiejsza młodzież amerykańska jest pierwszym pokoleniem w Stanach Zjednoczonych, któremu nieustannie grozi powołanie do wojska. Groźba ta wprowadza bezmierny niepokój do życia młodych mężczyzn. Na tym żyznym gruncie mógłby się rozwinąć Ruch w Obronie Pokoju. Ale utrudnia ten rozwój brak organizacji młodzieży w Stanach Zjednoczonych.

Przesunięcie ku prawicy, które nastąpiło w latach powojennych, przyniosło w rezultacie prawie całkowity zanik wszelkiej aktywności politycznej wśród milionów studentów wyższych uczelni. Wszędzie, gdzie dawniej kwitły organizacje polityczne wszelkich kierunków i wszelkiego rodzaju, bądź nie ma dzisiaj żadnej, a te, które przetrwały, czy które zaczynają odżywać, są bardzo nieliczne. Wśród uczniów gimnazjalnych organizacje nigdy nie były silne. W Stanach Zjednoczonych zaczynają powstawać ugrupowania młodych

dla obrony pokoju, ale ich ilość jest bardzo ograniczona.

Podczas wojny w Korei bojownicy o pokój twierdzili, że odłam ludności, najbardziej wrogo usposobiony wobec wojny składał się z rodzin, których jeden z członków walczył w Korei i że ci wszyscy, którzy mieli krewnych w Korei byli potencjalnymi członkami Ruchu w Obronie Pokoju. Ale trudno zmobilizować tak rozproszone siły. Gdyby Ruch w Obronie Pokoju był potężniejszy i gdyby prasa o nim pisała, ludzie ci byliby do niego przystąpili. W San Francisco podjęto próbę zgromadzenia tych wszystkich, których synowie walczyli w Korei, ale bez większego powodzenia, a prasa reakcyjna oskarżyła Ruch w Obronie Pokoju o wywieranie w tym kierunku wpływu na rodziny. Niestety, zarzuty te były bezpodstawne.

PRZYSZŁOŚĆ

Co przyniesie przyszłość, skoro weźmiemy pod uwagę olbrzymie siły potencjalne Ruchu w Obronie Pokoju i wielkie trudności, które trzeba przezwyciężyć? Przyszłość postawi przed nim nowe problemy i z wielu względów problemy jeszcze poważniejsze, ale przyniesie mu również szanse rozwoju. Niebawem i w miarę upływającego czasu zdobycze znacznie przewyższą nieuniknione straty.

Największym niebezpieczeństwem, jakie stoi przed Ruchem w Obronie Pokoju w chwili obecnej, jest zwiększone prześladowanie. Rządowi Stanów Zjednoczonych brak silnej władzy wykonawczej (w sierpniu znany publicysta Walter Lippmann mówił, że Eisenhower rządzi nie jak prezy-

dent, ale jak monarcha konstytucyjny). Ale w dalszym ciągu rząd stara się realizować program głuszenia opozycji. J. Edgar Hoover, szef tajnej policji, człowiek który powinien figurować na sporządzonej przez niego samego liście dziesięciu tysięcy najbardziej niebezpiecznych dla kraju ludzi, nie przestaje aresztować obywateli za ich działalność polityczną.

Rząd ogłasza jedną po drugiej grupy bojowników o pokój jako „wywrotowe“. Jak to jasno wykazał proces Rosenbergów, sędziowie starają się wykonywać rozkazy rządu.

Z drugiej strony istnieją pomyślnie perspektywy rozwoju dążeń pokojowych w Stanach Zjednoczonych, jak również możliwość wyrażania się tych uczuć w jednej wielkiej organizacji. Nie jest rzeczą wykluczoną, że w dalszym ciągu niknąć będą wszelkiego rodzaju organizacje polityczne, jak to obserwujemy od zakończenia drugiej wojny światowej.

Narasta przypływ krytyki pod adresem McCarthy'ego, jak również wzrasta sympatia dla tych, którzy stawiają opór w komisjach ankietowych Kongresu, badających przekonania polityczne obywateli.

Wszystko to nie jest bezpośrednim wyrazem pokojowych dążeń, ale kiedy ludzie rozmawiają z większą swobodą, łatwiej jest Ruchowi w Obronie Pokoju dać się poznać. Być może, że strach przed „czerwonymi“ i propaganda wojenna stają się tematami coraz mniej przekonującymi. Ludzie w coraz większym stopniu zaczynają wątpić w ów osławiony „atak Rosjan na Europę i Stany Zjednoczone“ który się od tak dawna przepowiada.

A gdyby po tym wszystkim atak ten w ogóle nie nastąpił? Trochę wcześniej, lub trochę później straszaki rozlecą się w kawałki. Sklecono je z kłamstw. Trzeba by obalić cały bieżący historii Stanów Zjednoczonych, by móc w nieskończoność odmawiać narodowi amerykańskiemu prawa do swobodnego wypowiedziania się i stowarzyszania.

Ruch w Obronie Pokoju będzie się rozwijał na terenie Stanów Zjednoczonych, ponieważ polityka zagraniczna tego kraju wchodzi na coraz bardziej kręte drogi i ujawnia się jako coraz mniej rozsądna, coraz bardziej odizolowana od reszty świata, ponieważ mężowie stanu innych krajów „upierają się“, by przedstawić inne rozwiązania problemów światowych, niżby sobie tego życzył **State Department**.

Każdy zakręt w dyskusji budzi dzisiaj wątpliwości. A co będzie, jeżeli powstanie taka sytuacja, że naród amerykański wciągnięty zostanie w tryby kryzysu gospodarczego i jego rząd — w zbrodniczym popędzie — zachęci go do powrotu do dobrobytu gospodarczego drogą rzużenia się w wojenną awanturę, a nawet w konflikt światowy?

Tego rodzaju pytanie zawiera tak nieobliczalne czynniki, że nikt nie może ryzykować odpowiedzi.

Ale my, bojownicy o pokój, w coraz większym stopniu zdobywamy świadomość siły naszego ruchu na świecie, naszego potencjału sił w Stanach Zjednoczonych.

Zwolna zaczynamy zdawać sobie sprawę, że sprawa pokoju może stać się niezwykła i że będzie niezwykła.



ZMIERZCH POTĘGI „UNITED FRUIT CO“

G. D. NIBAUT

WODY Zatoki Meksykańskiej mają kolor niebieski, twardy i głęboki w blaskach pionowo spływającego światła. Z odległości trzech tysięcy metrów morze wydaje się nieruchome, pokryte niezliczonymi zastygłymi zmarszczkami, prawie gładkie.

Tu i ówdzie pojawiają się białe punkty — to statki. Nie widać bandery, ale gdyby obniżyć lot, dostrzeżlibyśmy gwiaździste flagi, a na maszcie chorągiewki „United Fruit Company“.

Statki płyną w stronę Nowego Orleanu.

W Guatemali reforma rolna oddała Indianom nieużytki, dotąd będące w posiadaniu „United Fruit Company“, bardzo znanej jako Mamita Yunaí. G. D. Nibaut kreśli poniżej historię tej spółki, przez długie lata uważanej za „prawdziwy rząd Ameryki Środkowej“, a której wszechwładza chyli się ku upadkowi...

Przed stoma laty pewien amerykański kapitan wpadł na pomysł, by zwykły balast swojego dwumasztowca, powracającego do Stanów Zjednoczonych, zastąpić ładunkiem bananów. Owoce doskonale zniosły podróż. Jeżeli nawet był jakiś ubytek, co jest rzeczą niewątpliwą, sprawa okazała się niemniej ogromnie interesująca.

W tym czasie Unia rozszerzała się ku zachodowi. Na południu panowała bawelna, a Floryda, wbrew swej nazwie, nie stała się jeszcze ogromem milionerów północy.

W ciągu kilku lat handel bananami rozwijał się jak popadło. Założono małą spółkę importową. Statki zaopatrywały się w Ameryce Środkowej. Wracaly naładowane apetycznymi owocami, które szybko transportowano na północ.

W małych republikach Ameryki Środkowej było jeszcze niespokojnie. Wojny o ponowne zjednoczenie tego, co było niegdyś kapitanatem generalnym Guatemali, rzucały je często przeciw sobie. Tę samą rolę spełniały rewolucje wewnętrzne. Wojny i rewolucje kosztują dużo pieniędzy. Kiedy nie fabrykuje się broni, trzeba ją kupować. Banany, które dotąd rzucano świniom, okazały się nagle niezmiernie atrakcyjnym artykułem.

Indianie, stanowiący przeważającą część ludności, sadzili zwykle gaje bananowe wokół swoich rodzinnych domków. Zaczęto zakładać plantacje bananów. Bogaci mieszczenie, którzy

dotąd zadowalali się dziesięciną, wpłacaną przez **peonów**, obecnie zrozumieli, że powinni oddawać swą ziemię pod hodowlę bananów.

Trzymani dotychczas na uboczu Indianie zaczęli brać udział w życiu swego kraju. Oczywiście, ziemia zawsze należała do mieszczań, lub do Kościoła. Ale w tych dawnych czasach życie miało charakter niemal patriarchalny. Banan wszystko to zmienił.

Znikły niewielkie swobody, pozostawione Indianom. Wypędzono tych, którym udało się uzyskać na własność parę skrawków ziemi, a leniwe falowanie zielonych gładkich liści bananowców na stokach wulkanów zajęło miejsce błyszczących kłosów kukurydzy.

W 1901 r. mała amerykańska spółka połączyła się z nieco większą, a następnie, w kilka lat później — z trzecią. W ten sposób powstała „United Fruit Company“.

*

ESTRADA Cabrera był ambitnym generałem. Potrzebował dużo pieniędzy. Przede wszystkim dla siebie i swoich bliskich, a również dla zapewnienia wieczności swemu rządowi. Utrzymał się u władzy 22 lata, podpisawszy w tym celu w 1904 roku dwa pierwsze kontrakty, które miały związać jego kraj z „United Fruit Company“.

„United Fruit Company“ nie mogła się zadowolić kupowaniem bananów wyhodowanych przez Guatemalczyków. Byłaby wówczas w zbyt niebezpieczny sposób uzależniona od narodowego producenta. Wo-



bec tego zakupiła ziemię według własnego wyboru. Ziemia była tania, a Indianie coraz ubożsi.

Guatemala jest krajem jezior i wulkanów, bardzo pięknych i stromych gór. Jeden z rządów pod koniec ubiegłego stulecia rozpoczął budowę linii kolejowej, ale nie skończył jej z powodu braku pieniędzy.

Hodowane na wielką skalę banany trzeba było wysyłać do portów morskich. „United Fruit Company“ z łatwością przekonała rząd Estrada Cabrery, że ukończy bez trudu rozpoczęte prace, jeżeli otrzyma koncesję. W ten sposób zrodziła się afilowana spółka, która opanowała cały transport kolejowy. Dla połączenia sieci ze stolicą trzeba było wybudować tylko kawałek długości 80 km. „United Fruit Company“ wzięła sobie za ten kawałek całą linię kolejową.

Banan jest owocem delikatnym. Nie może długo leżeć na składzie. Bananów nie można nawet magazynować; na skutek tropikalnych upałów zbyt szybko dojrzewają. Długie szeregi mężczyzn i kobiet niosły na głowach tysiące owoców i składały je w obszernych szopach, gdzie agenci spółki wybierają banany, nadające się do eksportu. Inne gniją na miejscu, ponieważ nie może być mowy o sprzedawaniu ich po niskiej cenie ubogiej ludności. To spowodowałoby spadek cen.

Statki z trudem docierały do Puerto Barrios, jedyne go portu Guatemali nad Oceanem Atlantyckim i banany psuły się w szopach. „United Fruit Company“ — jak zwykle w najlepszych zamiarach — zapro-



ponowała i uzyskała pozwolenie na budowę nowoczesnych urządzeń, pozwalających statkom przybijać do lądu. W ten sposób zrodziła się druga filia, która stała się prawdziwym właścicielem Puerto Barrios. A ponieważ San Jose nad Oceanem Spokojnym jest portem dla transportu bananów, San Jose stał się również portem „United Fruit Company“.

*

WEWNĄTRZ kraju narastała coraz gwałtowniejsza opozycja. Spiski następowały po spiskach, represje po represjach. Kiedy opozycji udało się obalić jakiegoś dyktatora, działo się to za cenę milczącego, lub jawnie wyrażonego poparcia „United Fruit Company“, o której pewien pisarz amerykański powiedział, że reprezentuje prawdziwy rząd Ameryki Środkowej.

Było to prawdziwie błędne koło. Rządzący dyktator czynił ustępstwa na rzecz „United Fruit Company“ po to, by zwalczać opozycję. Uzyskiwał tą drogą bezinteresowne poparcie ambasadora, broń i kredyty. Ten, czyją rodzinę dyktator wymordował,

mógł się zemścić jedynie w ten sposób, że prosił o poparcie „United Fruit Company“, proponując jeszcze dalej idące ustępstwa.

Plantacje stały się kaźnią, gdzie setki tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci pracowały czternaście do szesnastu godzin dziennie za nędzną płacę. Ceny rosły. Statki „United Fruit Company“ przywoziły do kraju towary z obcych stron. „United Fruit



Company“ sama pobierała opłaty celne. Pociągi „United Fruit“ dowoziły te towary do miejscowości wewnątrz kraju. Ciężarowe samochody „United Fruit“ toczyły się po drogach, zbudowanych przez „United Fruit“, a energia elektryczna, będąca własnością „United Fruit“, puszczala prąd elektryczny przez druty kolczaste, okalające jej plantacje.

27 kwietnia 1944 r. ówczesny dyktator Jorge Ubico przeprowadził w oddanym mu parlamencie ustawę, która zwalniała obszarników z wszelkiej odpowiedzialności karnej za przestępstwa, popełniane przez

nich w ich posiadłościach. Robotników rolnych pilnowała policja „United Fruit Company“!

Jednak w październiku 1944 r. wiatr zmienił nagle kierunek. Wypędzono dyktatora Ubico i utworzono rząd szerokiej jedności narodowej. Rząd ten zapoczątkował przywrócenie krajowi prawodawstwa guatemalskiego. Wtedy „United Fruit Company“ stała się nagle wielką filantropijną organizacją, rzekomo prześladowaną przez złych komunistów.

„United Fruit Company“ posunęła się tak daleko, że Spruille Braden, wysoki urzędnik Departamentu Stanu i jeden z głównych akcjonariuszy „United Fruit Company“, dowiedziawszy się, że rząd przystąpił do wykonania uchwalonej przez parlament ustawy o reformie rolnej, wyraził w swoim przemówieniu zdziwienie, że Stany Zjednoczone jeszcze nie interweniowały, by Guatemalę „zmusić do poszanowania demokracji“.

*

NIEUŻYTKI, będące w posiadaniu „United Fruit Company“, których nie chciała uprawiać, dano w posiadanie Indianom. Nigdy nie zdarzyło się jeszcze nic podobnego. Ale zaszły gorsze rzeczy. Za tę ziemię wprowadzie spłacono „United Fruit Company“ odszkodowanie, ale w bonach reformy rolnej, gwarantowanych przez rząd.

Kiedy „United Fruit Company“ je sprzedaje, będzie to oznaczało tyle, co uznanie, że Guatemalczyki mają prawo rządzenia się u siebie. O tym

nie ma mowy. Ale to jeszcze nie wszystko. „United Fruit Company“ otrzymała odszkodowanie na podstawie własnych zeznań podatkowych w skarbie państwa. To już szczyt wszystkiego!

29 sierpnia szef sekcji Ameryki Łacińskiej w amerykańskim Departamencie Stanu, Moors Cabot, wezwał do siebie ambasadora Guatemali. Dał mu do przeczytania długi dokument, opracowany przez urzędników rządu federalnego i w imieniu sześćdziesięciu tysięcy amerykańskich akcjonariuszy „United Fruit Company“ oświadczył mu, że jest rzeczą absolutnie nie demokratyczną kupować cokolwiek po cenie, odpowiadającej wartości podanej przez sprzedawcę skarbowi państwa.

Ambasador Toriello odpowiedział mu, że Stany Zjednoczone zawsze szanowały suwerenność innych narodów i skoro rząd Guatemali nie

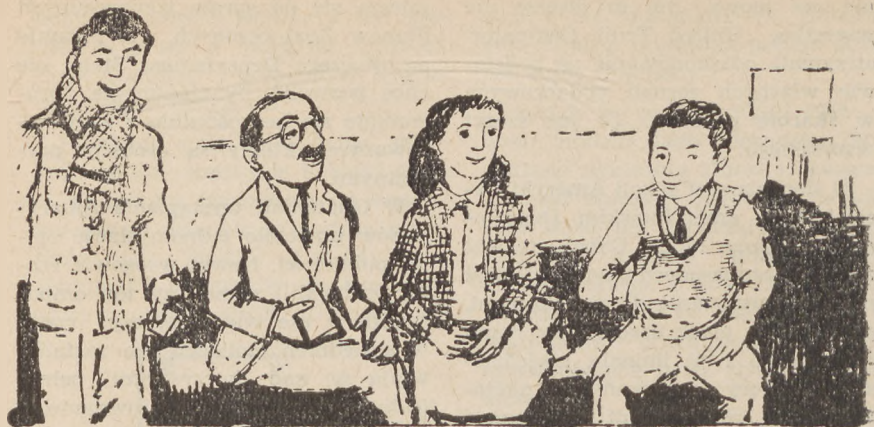
miesza się do spraw wewnętrznych Stanów Zjednoczonych, nie rozumie on, dlaczego Departament Stanu nie chce pozwolić, by Guatemala porozumiała się bezpośrednio z zainteresowanymi, którzy są osobami prywatnymi.

W Guatemali wystąpienie Amerykanów umocniło jednomyślność opinii publicznej. Nawet wrogowie rządu pochwalili stanowczy ton ambasadora. I nie wiadomo, czy rządy w sąsiednich stolicach nie zastanawiają się nad korzyściami pełnej godności postawy w porównaniu z polityką wiernego satelity.

„United Fruit Company“, **Mamita Yunai**, jak ją nazywają Indianie, usiłuje bronić swych posiadłości. Tymczasem, na żyznych zboczach wulkanów o pięknych nazwach nowe szkoły otwierają swe podwoje, wiją się drogi, pieśni wyzwolonych Indian opiewają radość odzyskanej ziemi, odradza się stara cywilizacja.



ilustr. ZUKA



DZIESIĘĆ DNI W WAGONIE

JURIJ RYTKIEŹ

OBUZDZIŁEM się o świcie, uniosłem zasłonkę i wyrząłem przez szybę: przebiegały za nią kratownice mostu. Być może, że to właśnie obudziło mnie: gdy pociąg przejeżdża przez most, dźwięk się zmienia: stukot kół staje się zupełnie inny.

Była to rzeka spokojna — prawdopodobnie Wiatka; a może inna — nie było nikogo, kto mógłby mnie poinformować. Gieutiegina spał mocno, owinięty tylko w prześcieradło, koc zsunął mu się na nogi; zwiślał z posłania i chwiały się rytmicznie. Na dolnych posłaniach równie mocno spała para małżeńska.

Przez kratownice mostu widać było, jak w wodzie odbija się poranne niebo. Leżąc na brzuchu podziwiałem różowo-złociste obłoki, odbijające się w gładkiej powierzchni wody.

Potem nie było już widać rzeki, ale jechaliśmy nadal przez most. Długość jego przekraczała szerokość rzeki przynajmniej dwukrotnie. Widocznie — pomyślałem — zrobiono tak dlatego, że rzeka bardzo przybiera na wiosnę.

Most skończył się. Za szybą przesunęły się szeregiem brzozy pobliskiego lasu, potem sady, domy i przejazd kolejowy. Za spuszczonego szlabanem stały trzy ciężarówki, jedna „Pobieda“ i dwóch rowerzystów. Ciężarówki wiozły z pewnością ziarno z ostatnich zbiorów: naładowane były workami, a na burtach wisiało czerwone płótno z wypisanymi hasłami, których nie udało mi się odczytać. Jeden z rowerzystów zdjął nogę z pedału i oparł ją o ziemię, czekając aż pociąg przejedzie; drugi pozostał na siodełku, przy-

trzymując się brzegu ciężarówki i rozmawiał z siedzącą na workach młodą dziewczyną. Za przejazdem migały znów za oknami wagonu ogrody i domy, lecz pociąg szedł obecnie wolniej.

Zatrzymał się na stacji, której nazwy nie udało mi się odczytać, ponieważ wagon nasz znajdował się przy końcu pociągu; widziałem tylko ceglany parterowy budynek, na którym widniał napis: „Bagażownia“. Postanowiłem odczytać nazwę stacji, gdy pociąg ruszy i wagon nasz zrówna się z budynkiem stacyjnym.

Tymczasem przewróciłem się z boku na bok, przymknąłem oczy i zamysliłem się nad opowiadaniem, które rozpocząłem na tydzień przed wyjazdem. Potem zdrzemnąłem się, a gdy otworzyłem oczy, była już dziesiąta; spałem przez cały ranek.

Zaslonki były podniesione; słońce jaskrawo świeciło w okno; posłanie Gieutiegina było starannie wyrównane; on sam siedział na dole i rozmawiał z naszymi towarzyszami podróży.

Mówili oni po rosyjsku z trudnością: spostrzeżyliśmy to jeszcze poprzedniego dnia przy wsiadaniu do wagonu.

Gieutiegina, koledzy, którzy nas odprowadzali i ja przybyliśmy na stację na pół godziny przed odjazdem pociągu. Ułożyliśmy walizki na siatce, wyszliśmy na peron i staliśmy tam, gawędząc z przyjaciółmi. Tymczasem wagon wypełniał się stopniowo. Do konduktorki podeszło małżeństwo: mężczyzna pięćdziesięcioletni i kobieta około czterdziestki, bardzo ładna. Mężczyzna spytał, wyciągając bilety:

— Czy to jest nasz wagon?

— Tak, odpowiedziała konduktorka. Proszę, wsiadźcie. Wasze miejsca są w trzecim przedziale.

Po wymowie pasażera i po różnobarwnych nalepkach na walizkach poznać było można cudzoziemców.

Przyjaciele, którzy odprowadzali nas na dworzec w Moskwie, przyjechali z nami tego samego dnia z Leningradu. Byli to nasi koledzy uniwersyteccy. Mieli odbyć praktykę w podmiejskich okolicach Moskwy.

Gawędziliśmy na peronie aż do odjazdu. Potem pożegnaliśmy się, a gdy pociąg ruszył, powiewaliśmy kapeluszami. Zapomnieliśmy zupełnie o parze z walizkami o kolorowych nalepkach. Ale gdy zajęliśmy miejsca, okazało się, że jedziemy z nimi w tym samym przedziale. Nasi towarzysze podróży jechali do Chabarowska.

Gieutiegina nie mylił się: byli to cudzoziemcy. On był filologiem, profesorem Uniwersytetu w Liege, żona zaś była malarką. Mówiła po rosyjsku z błędami; mąż mówił nieco lepiej, ale zbyt starannie i z nierosyjską wymową. Czasami także i on robił błędy; za to z nieukrywanym zadowoleniem poprawiał żonę.

Dowiedziawszy się, że Gieutiegina i ja jesteśmy Czukczami, że studiujemy w Leningradzie i że jedziemy do Czukotki, byli — niewiedzieć czemu — ogromnie zaskoczeni, zupełnie jakbyśmy byli Marsjanami, którzy szykują się do powrotu na Marsa. Byli zresztą bardzo taktowni i usiłowali nie okazywać zbyt natrętnej ciekawości.

Profesor uśmiechał się z dobrocią, zarówno on sam, jak i żona zachowywali się w sposób prosty i niewymuszony. Na ogół podobali się nam. Lecz w każdym ich spojrzeniu i bez mała w każdym pytaniu, jakie nam zadawali, wyczuwaliśmy pomieszane z niedowierzaniem zdziwienie. Z początku bawiło nas to, a potem przeszliśmy do wagonu restauracyjnego. Gdy wróciliśmy, towarzysze nasi już spalili.



Teraz zaczyna się nowy dzień; na dole znów rozmawiają. I, naturalnie, wciąż o tym samym: o ludach Dalekiej Północy, o ich „tak oryginalnych obyczajach“, o ich „tak dziwnym charakterze“ o „cudownym prymitywie ich sztuki“... Udawałem, że wciąż śpię.

— Zainteresowanie nasze, powiedział profesor, wyda się panu zapewne zbyt naiwne... tak... zbyt natarczywe... Czyż nie tak?... Proszę się nie gniewać. Dla nas jest to... jakby powiedzieć?... bardzo miłe spotkanie. Oboje czytaliśmy z zapalem tę powieść o Czukotce... Jakże się ona nazywa?

— Alitet idzie w góry — podpowiedział Gieutiegina.

— Tak, tak, Alitet. Dziękuję. A myśmy byli... Tak bardzo nas to zainteresowało. Zna moja posiada znaczne zbiory. Posążki, wie pan? Renifery, morsy, białe niedźwiedzie... I takie długie sanki, o takie, wie pan?

— Narty?

— Tak, właśnie narty. Dla nas jest to prawie jak w bajce. Poza kręgiem polarnym! Brr! I nagle to spotkanie. Pierwszy raz widzimy prawdziwych, żywych Czukczów.

Profesor zaśmiał się. Jego żona również. Nie mogłem dojrzeć twarzy Gieutiegina: siedział pod moim posłaniem. Mówił:

— Nie gniewam się, wzruszony jestem waszym zainteresowaniem. Wiele jest u nas ciekawych rzeczy. I, trzeba wyznać, tak, trzeba wyznać — dodał naśladować ton profesora — że nigdy nie spotkałem prawdziwych, żywych Belgów.

— Oh! — zawołała profesorowa. Nie wiedziałam... nie wiedziałam, że Czukeze są takimi wykpiarzami...

— Kpiarzami, Claudine, poprawił mąż.

— Właśnie, kpiarzami... i... jak to się mówi?... i mają taki życiowy umysł.

— Żywy, poprawił znowu profesor.

— Tak, tak, żywy.

— Nie mogę, niestety, przyjąć pani komplementu, Madame. Pani pierwsza myśl była słuszniejsza. Nie mamy żywości południowców, ani ich poczucia humoru. W żyłach naszych płynie nie krew, lecz zimna woda, a odżywiamy się wyłącznie lodami.

— Proszę, niech pan się z nas nie wyśmiewa, panie Gieutiegina. Czy nie uznaje pan właściwości charakteru narodowego?

— Bynajmniej, panie Leerlinck. Nie uznajemy tylko tego, by właściwości te wynikały z położenia geograficznego. Nie uważamy, poza tym, właściwości tych za niezmiernie. Istnieją warunki, w których narody, nawet narody uważane — nie przez naszych uczonych, nie przez uczonych radzieckich — za narody wymierające, stają się silne i poznają radość życia. W zupełnie określonych warunkach!

— Zdaje się, że przechodzi pan od etnografii do polityki?

— A pan woli błądzić po etnografii, niż zahaczyć o politykę?

Postanowiłem położyć kres tej dyskusji i powiedziałem, udając, że właśnie się obudziłem:

— Dzień dobry!

Belgowie odpowiedzieli na moje powitanie a Gieutiegina, ze zwykłą sobie dokładnością, powiedział:

— Już blisko południe.

Wkrótce potem Belgowie wyszli pod jakimś pozorem na korytarz, prawdopodobnie po to, żeby nie zmuszać mnie do ubierania się pod kocem. Zeskoczyłem z posłania i spytałem:

— Jak tam, panie Gieutiegine?

— Nie dobrze. Mniej więcej tak, jak lalka woskowa, wystawiona w Muzeum Etnograficznym.

— Gdyby lalka woskowa miała zdolność odczuwania, powinnyby, moim zdaniem, odczuwać dumę. Powinnyby być dumna z zainteresowania zwiedzających i z możliwości wzbogacenia ich wiadomości. A zresztą, zdaje mi się, że lalki nie wdają się w dyskusję ze zwiedzającymi.

Gieutiegine zaniepokoił się:

— Czy byłem szorstki? Przecież wcale nie chciałem ich obrazić. Uważam, że to bardzo poczciwi staruszkowie.

— Oho! Claudine daleko jeszcze do starości.

— Tak, a Maurice jest jeszcze młody.

— On się nazywa Maurice?

— Tak. Uważam, że bardzo z nich mili towarzysze podróży. Gdyby tylko nie patrzyli na nas, jak na ciekawe okazy zwierząt. Ja, widzisz, mam wrażenie, że cały czas mają ochotę dotknąć nas i sprawdzić, czy naprawdę istniejemy. Dla nich — uważasz — Czukcz, to jakieś urojone istoty, no cóż, polarna egzotyka! O czymkolwiek byśmy rozmawiali, nie mogą ani przez chwilę zapomnieć o tym, że jesteś Czukczem. Można by powiedzieć, że żalują bardzo, że nosimy zwykle marynarki, a nie skóry reniferów.

— No i co z tego? Trzeba być przecież trochę bardziej tolerancyjnym, mój drogi. No, i trzeba brać pod uwagę środowisko.

— Biorę pod uwagę wszystko — westchnął Gieutiegine — a także te dzieśdnie dni, które spędzimy razem.

— Słuchaj, zaproponowałem trochę śmiało, może moglibyśmy poprosić konduktorkę o przeniesienie nas do sąsiedniego przedziału? Od Swierdłowska będą tam dwa wolne miejsca.

— To by się nie zgadzało z zasadami gościnności.

— Ale ja wcale nie proponuję ci ucieczki od nich! Przeciwnie, powiemy, że nie chcemy im przeszkadzać.

— To będzie sztyte grubymi nićmi: dadzą im innych pasażerów na nasze



miejsce. Nie, musimy pamiętać o tym, że jesteśmy tu gospodarzami. Bądź co bądź nakłada to na nas pewne obowiązki. W wagonie wszyscy jesteśmy jednakowi i świadczy to o całym kraju... rozumiesz mnie? Goście, to zawsze goście. Tym bardziej, że są to goście bardzo mili.

— Zgoda — przyznałem. Wycofuję swoją propozycję.

Zarzuciłem sobie ręcznik na ramię i poszedłem się umyć.

UPLYWAŁ dzień za dniem. Mołotow, Swierdłowski, Nowosybirsk... Po równinach następowały góry, ustępując miejsca porośłym gęstym lasem dolinom. Przejeżdżaliśmy przez Zachodnio-Syberyjską Depresję.

Naszych towarzyszy podróży interesowało wszystko: granica między Europą i Azją, zmiana czasu godzinowego, starszuszka — kołchoźnica, Bohaterka Pracy Socjalistycznej, która jechała w następnym wagonie, odwracanie biegu rzek syberyjskich. Opowiadaliśmy im wszystko, co wiedzieliśmy; zapoznaliśmy ich z kołchoźnicą; pokazaliśmy im na mapie, jak można skierować bieg Irtyżu do piasków Kazachstanu. Profesor Leerlinck i jego żona byli słuchaczami uważnymi i nieuprzedzonymi. Uderzał ich obszar kraju. „W Belgii — żartował profesor — nie trzeba zmieniać czasu“. Co zdumiewało ich jeszcze bardziej — to olbrzymie rozmiary rozpoczętych robót i wspaniałość planów przekształcania przyrody.

Sprawiło nam przyjemność zaznajamianie ich z osiągnięciami Kraju Rad. Tym więcej, że profesor prowadził dziennik podróży i zamierzał opublikować go po powrocie do Belgii.

Przeszkadzało nam oczywiście bardzo, że my sami stanowiliśmy dla nich przedmiot ustawicznego badania. Profesor Leerlinck wypytywał nas z wielką ciekawością o Czukotkę, słuchał co opowiadaliśmy, potem zaś z zamyśleniem mówił coś w rodzaju:

— Myślę, że domy zamiast jarang, elektryczność zamiast łożówek, wszystko to, oczywiście stanowi postęp, wielki postęp. Ale Północ traci przezeń swą oryginalność, swą poetyczność. Nieprawdaż?

— Dziękuję! Możemy się obejść bez poezji. — Po czym, po chwili milczenia Gieutiegin dodał: — A przynajmniej takiej poezji.

Naszych towarzyszy podróży martwiła także mechanizacja rybołówstwa, jak również fakt, że w osiedlach Czukczów nie było już od dawna szamanów. Nie dlatego, by profesorostwo byli przeciwnikami postępu. Lecz my, którzy cieszyliśmy się z tego, że skończyło się już straszliwe zacofanie naszego kraju, wydawaliśmy się im niezdolni do zrozumienia, do jakiego stopnia cywilizacja czyni życie prozaicznym.

— Niech pan zrozumie, profesorze — mówił Gieutiegin próbując nie irytować się — że życie, które porzucili Czukcze, nie było życiem, ale powolnym umieraniem — nawet właściwie nie tak bardzo powolnym. Oto dlaczego tak bardzo nie znosimy owego zacofania. Co się zaś tyczy poezji, to wkładamy ją w co innego. Wkładamy ją w walkę z surowością naszej przyrody, z owym właśnie zacofaniem, w walkę o odrodzenie naszego narodu, o elektryczność, która oświeciła nasze wsie.

— Cóż ma elektryczność do poezji, panie Gieutiegin?

— Dla nas istnieje między tymi dwiema rzeczami mniejsza różnica, niż między poezją i przekłętymi dawnymi obyczajami Czukczów. Przyczyna leży prawdopodobnie w tym, że w myśli przenosicie na nasz grunt wszystkie wady cywilizacji kapitalistycznej, wszystko, co nazywacie jej prozaicznością... Na, ogół biorąc, nie liczy się pan, profesorze, z tym, że my budujemy zupełnie inną cywilizację, cywilizację, która nie jest kapitalistyczną.

To był właśnie temat, którego profesor usiłował nie poruszać. Zapominając o swym zamiarze nie irytowania się, Gieutiegin ciągnął jednak dalej:

— Istnieją dwie formy nacjonalizmu burżuazyjnego, dwie formy narodowej zarozumiałości. Pierwsza — to zarozumiałość otwarta, świadoma. Myślę, że mamy takie same poglądy na tę sprawę, nie wymaga to chyba dyskusji. Ale istnieje także druga forma, i jest ona często nieświadoma. Myśli się, że jest się przyjacielem wszystkich narodów, ale podziwia się nie to, co jest siłą małych narodów, a to co jest ich słabością, względnie to, co na ich temat wymyślono...

Profesor podniósł ręce z uśmiechem i dyskusja zakończyła się żartem. Próbowaliśmy pocieszyć naszych towarzyszy podróży wyjaśnieniem im, że gdy Gieutiegini i ja skończymy uniwersytet i będziemy wracali na stałe do Czukotki, trzeba nam będzie jednak korzystać nie z prozaicznego samochodu, ale z poetycznych sanek, zaprzężonych w psy.

Zbliżaliśmy się do Krasnojarska. Stałem przy oknie, w korytarzu, gdy podszedł do mnie Gieutiegini pytając:

— Słuchaj, dlaczego ci Belgowie mówią między sobą po francusku?

— Bo są z południa.

— Jakto?

— Tak, w południowej Belgii wszyscy mówią po francusku. Nie ma języka belgijskiego.

— Jesteś pewny?

— Spytaj ich, jeśli nie wierzysz. Na południu mówią po francusku, a na północy po flamandzku.

— Oni mówią po francusku.

— To znaczy, że są z południa. Liège leży na południu.

— Zrozumiałem prawie wszystko. Mówili o nas. Nawet było mi trochę przykro.

— Dlaczego? Czy dlatego, że nie wiedzieli, że ich rozumiesz?

— Nie, to nie to. Ale oni są naprawdę rozentuzjasmowani.

— Doprawdy? Cóż takiego mówili? Czy dziwią się, że Czukczowie podobni są do ludzi?

— Nie, tym razem nie zajmowali się naszym pochodzeniem. Mówili po prostu, żeśmy poczciwi chłopcy. Profesor mówił nawet, że chętnie zamieniłby na nas wielu ze swych studentów z Liège.

— Nie może być!

— Tak, coś w tym rodzaju, jeśli dobrze zrozumiałem. Wymawiają trochę inaczej, niż nasza lektorka francuskiego. Powiedz, co im opowiadałeś o Wydziale Północnym?

— Po prostu to, że tam studiuje. Albo co?

— Bo, widzisz, wyraził jednak przypuszczenie, że na naszym wydziale są mniejsze wymagania. Rozumiesz? Powiedział: „Oni tam mają zapewne specjalny program“. Tak jakby myślał łatwiejszy.

— Co mu na to powiedziałeś?

— Rozmawiali między sobą. Nie powiedziałem im, że rozumiem.

— Tak, tak, zapomniałem. Zadziwiające, żeś to zniósł. Tym bardziej, że jesteś niewinny.

Bowiem Gieutiegini nie studiował na Wydziale Północnym. Przygotowywał dyplom z matematyki. A nasi towarzysze podróży sądzili widocznie, że Czukczowie nie idą na wydziały prawdziwe, ale że tworzy się dla nich i dla innych narodowości północnych specjalny, przystępniejszy wydział.

Tego dnia nie poruszaliśmy tego tematu, ale nazajutrz zacząłem wypytywać profesora o Uniwersytet w Liège i, nawiązując do tego, zacząłem podawać mu niektóre szczegóły o Uniwersytecie Leningradzkim. Wyjaśniłem mianowicie, że na naszym wydziale studiuje nie tylko młodzież pochodząca z Dalekiej

Północy, ale wszyscy ci, którzy interesują się językami i kulturą ludów tych okolic. Zaznaczyłem także, że zdarza się również odwrotnie: wielu ludzi z Północy studiuje na innych wydziałach. Gieutiegina na przykład studiuje matematykę.

— O — profesor spojrział na Gieutiegina z uznaniem — nabieram dla pana coraz większego szacunku. Zawsze byłem bardzo słaby z matematyki. Jest to moja... jak to się mówi? — to moja pięta achillesowa. Słyszysz Claudine? Pan Gieutiegina jest matematykiem. Panie studencie, proszę o pokazanie indeksu, chciałbym sprawdzić oceny.

Było to oczywiście powiedziane na pół żartem, ale jednocześnie podyktowane chęcią skontrolowania mych słów. Gieutiegina wydobyl indeks. Profesor przerzucił go: „Bardzo dobrze. Bardzo dobrze. Dobrze. Znow bardzo dobrze...”

Tegoż wieczora rozmawialiśmy o Chabarowsku. Przypomniałem, że w Muzeum Chabarowskim znajduje się wiele dzieł mego rodaka, słynnego rzeźbiarza w kości słoniowej. Gieutiegina. Pani Leerlinck zapisała sobie nazwisko w notesie, żeby koniecznie pójść do muzeum i zobaczyć te dzieła. Pomyliła się jednak zapisując po francusku to niezwykle nazwisko. Gieutiegina, który siedział przy niej, zauważył to i zaczął dyktować litery. Każdą literę nazywał jej francuską nazwą. Pani Leerlinck zapisała, po czym spytała łagodnie.

— Umie pan więc po francusku?

— O, nie, odpowiedział zawstydzony Gieutiegina, bardzo źle.

— Niech pan nie udaje skromnego — rzekł profesor. — Widziałem, w pana indeksie. Z francuskiego ma pan „bardzo dobrze”.

Żona profesora zarumieniała się mocno i uśmiechnęła się przygryzając wargę, żeby nic nie powiedzieć. Ale w końcu roześmiała się jednak, a my wraz z nią, ponieważ sytuacja stała się nieco niezręczna dla nas wszystkich. Profesor roześmiał się ostatni: nie mógł z początku wcale zrozumieć, dlaczego się śmiejemy. Za to później powtórzył kilkakrotnie: „Ha, ha, ha. A myśmy rozmawiali przy panu tak, jakbyśmy byli sami”.

Jezioro Bajkał podbiło swym czarodziejskim pięknem serca naszych towarzyszy podróży. My sami jechaliśmy przecież nie pierwszy raz wzdłuż jego brzegów, a nie mogliśmy oderwać oczu od okien. Zbocza pobliskich gór, przewiercone niezliczonymi tunelami, igrające w lekkim powiewie fale, żagliwki wśród fal, dalekie szczyty górskie...

Woda podpływała pod nasyp. Na jednej ze stacji młody oficer, jadący w sąsiednim wagonie, wziął od konduktorki wiadro, ześlizgnął się z nasypu i zaczerpnął wody z Bajkału. Pili wszyscy w wagonie. Coraz to z innego przedziału dolatywała stara piosenka: „Morze pełne chwały, święty Bajkał”.



Profesor Leerlinck napił się wody z Bajkału; na stacjach kupował od buriackich rybaków wędzone omóły; zapisywał w dzienniku słowa piosenki o Bajkale, a gdy mówiliśmy o wietrze „barguzinie”, spytał: „Kto to jest Barguzin?” Profesorowa wyglądała przez okno i wzdychała: „Ach, żebyż spędzić tu lato ze staługami”.

ZBLIŻAŁ się Chabarowski i koniec naszej wspólnej podróży. Profesor prosił o pozwolenie jego żonie: chciał zachować z naszego spotkania choćby narysowane ołówkiem portrety. Nie było powodu do odmowy, lecz z drugiej strony razila nas trochę myśl o znalezieniu się w muzeum osobliwości: „Wiecie, renifery, morsy, Czukeże“.

— Proszę bardzo. Ale tylko pod warunkiem, że państwo z kolei pozwolą się sfotografować na pamiątkę — powiedział Gieutiegien. Wyjął z walizki swego „Fed’a“ i sfotografował ich w ogrodzie na stacji Jerofieja Pawłowicza.

Potem pani Leerlinck narysowała nas. W ciągu mniej więcej pół godziny każdy z nas musiał być modelem. Podczas gdy pozowałem, Gieutiegien opisywał panią Leerlinck, pokazując nasze portrety znajomym w Liège i opowiadając przy tym o jeździe na reniferach lub o polowaniach na białe niedźwiedzie.

— Ależ wszyscy nasi znajomi — zaśmiała się — wiedzą, że nie jedziemy pod krąg polarny i że najdalej na północ wysuniętym punktem naszej podróży jest Leningrad.

— To nieważne. Mogli państwo zmienić zamiar. Dwóch młodych Czukczów, których spotkaliście w ekspresie Moskwa — Chabarowski mogło namówić was, żebyście tam pojechali. Potem zaś jeden z tych Czukczów podarował wam na pamiątkę oswojoną fokę.

— Ależ goście będą chcieli ko-

niecznie ją obejrzeć.

— Niech pani powie, po powrocie, iż tak foka tęskniła za Północą, że aż rozechorowała się, trzeba ją było zabić i zrobiliście z niej futrzaną kamizelkę. Możecie kupić w Chabarowsku fokową kamizelkę i pokazywać ją potem znajomym. Tylko niech pani nie zapomni odpruć etykiety sklepowej. — Najwidoczniej Gieutiegien przyzwyczail się już do naszych towarzyszy podróży. Zartował sobie, jakby był wśród kolegów w świetlicy studenckiej. Rozśmieszał nas, ale gdy tylko zaczynałem się śmiać, pani Leerlinck cściwiała, że portret się nie uda. Portrety jednak udały się, a nawet, moim zdaniem, wypadły wcale dobrze.

Ostatniego dnia, tuż przed przyjazdem do Chabarowskiej, profesor i Gieutiegien nie wytrzymali i na nowo zaczęli dyskutować. Tym razem nie zgadzali się



na temat systemu małżeństw zbiorowych. Profesor zapewniał, że zanik tego zwyczaju, który istniał w Czukotce aż do wprowadzenia władzy radzieckiej, może przybrać jedynie charakter czysto administracyjny.

— Zmiany nie następują tak szybko — mówił. Zwłaszcza w tej dziedzinie. Na to trzeba... wielu pokoleń. Dzieci... jak to się mówi? nie padają daleko od jabłoni. Trzeba by zmienić samo pojęcie miłości. Nie da się tego osiągnąć w tak krótkim okresie. Nie wierzę w to. Można zabronić systemu małżeństw zbiorowych, ale nie można reglamentować uczuć.

Gieutiegin zapewnił profesora, że dawniej również Czukczowie umieli doświadczać uczuć, że miłość pojmuje się w Czukotce tak samo, jak gdzie indziej. Wykazał, że małżeństwa zbiorowe zanikły po prostu dlatego, że zmieniła się cała struktura społeczna — a formy małżeństwa, jak wiadomo, wiążą się ściśle z życiem społecznym. Ale profesor utrzymywał w dalszym ciągu:

— Nie, nie, takie rzeczy nie zmieniają się od razu.

— Kto z nas dwóch wie o tym lepiej, panie profesorze? Czy pan, który nigdy nie znalazł się dalej na północy, niż w Leningradzie, czy jednak, my, którzy wyrosliśmy w Czukotce i wiemy, że zwyczaj ten zniknął równocześnie z wielu innymi przeżytkami ustroju rodowego? Mówi pan, że nastąpiło to zbyt szybko? Całe szczęście, że tak było. Naszemu narodowi udało się. Bo — wszystko polega na tym — że wkroczyliśmy w erę socjalizmu wprost ze stanu pierwotnego, wprost z najbliższej ciemnoty, przeskoczywszy cały szereg formacji społecznych, a wśród nich i tę, proszę mi wybaczyć, w której pan, panie profesorze, żyje nadal.

Nie wiem, jak skończyłaby się dyskusja, gdyby nie wmieszała się do niej Claudine. Oświadczyła, że nie rozumie nic z takich rzeczy, jak formacje społeczne, ale że gotowa wystąpić w roli arbitra, ponieważ mowa była o miłości „Tylko kobiety, powiedziała, wiedzą co to miłość“.

Oświadczyła, że zwyczaj małżeństw zbiorowych nie da się pogodzić z prawdziwym uczuciem. Zgodziliśmy się z nią w zupełności. Wówczas oświadczyła, że zwyczaj ten istniał w Czukotce, ponieważ ludzie z Północy nie wiedzą w ogóle czym jest prawdziwe uczucie.

— Nie gniewajcie się na mnie, rzekła z miłym uśmiechem, nie trzeba obrażać się o to... Istota ludzka, żyjąca tak daleko... mróz i lód na około... nie może kochać tak płomiennie. Trzeba by mieć na to inne serca.

Dopóki Czukotka będzie krajem polarnym, jej zdaniem „Maurice miał rację: nie można wykorzenić tego zwyczaju“. Co do samego profesora — konkluzja, do jakiej doszedł, była całkowicie nieoczekiwana.

— Nie, Claudine — powiedział — rezygnuję z twej obrony. Północ nic tu nie ma do rzeczy. System małżeństw zbiorowych istnieje także w krajach podzwrotnikowych. Wcale nie to miałem na myśli.

Gieutiegin wyrzekł z miną wielce zadowoloną:

— Z chwilą, gdy odmawia pani mężczyznom prawa sądenia o miłości, odwołam się do świadectwa dwóch młodych kobiet. Jedna z nich odprowadziła mego kolegę na dworzec w Leningradzie, a druga będzie mnie oczekiwała w Anadyr. Zapewniam panią, że żadna z nich nie zgodziłaby się z pani poglądami na uczucia ludzi z Północy.

To była, zdaje się, ostatnia dyskusja. Widać już było ciemne fale Amuru i wielu podróżnych miało nasz przedział, kierując się ku wyjściu. Trzeba się było zegnać. Nasi sąsiedzi powiedzieli nam mnóstwo grzeczności, zdaje się najzupełniej szczerze. Odpowiedzieliśmy tym samym. Zanim zamknąłem walizkę, wyjąłem z niej czukocką książkę, którą podarowałem naszym towarzyszom podróży. Były to wiersze Puszkina w moim własnym przekładzie. Zdaje się, że nasi znajomi byli bardzo radzi z tego daru.

— Myślę, rzekł profesor, że będzie to pierwsza książka czukocka widziana w Belgii.

— I to w dodatku z dedykacją autora — zawołała pani.

— Nie, sprostowałem, tylko z dedykacją tłumacza.

Gieutiegini i ja wzięliśmy walizki, raz jeszcze uściśniliśmy dłonie naszych towarzyszy podróży i wyszliśmy na korytarz, obiecawszy przysłać im bagażowego. Gdyśmy spełnili obietnicę i wysiedliśmy na peron, Gieutiegini powiedział:

— Widzisz. A ty chciałeś uciekać do innego przedziału.

— A ty, czy sądzisz, że wszystko zrozumieli?

— Oczywiście, że zrozumieli. Jeżeli nie wszystko, to w każdym razie wiele. I tak właśnie jest dobrze. Sam powiedziałeś, że należy brać pod uwagę środowisko. W każdym razie ich społeczeństwo pozostaje za naszym w tyle o całą epokę historyczną.

W tej chwili ujrzałem profesora z żoną. Wsiadali do taksówki. Belgowie także zobaczyli nas i dawaliśmy sobie znaki rękami.

Zatrzymali się w „Hotelu rzeki Amur“. Państwo Leerlinck zamierzali poświęcić trzy dni na zwiedzanie Chabarowska, po czym mieli powrócić samolotem do Moskwy, a z Moskwy do kraju, do Liège.

My zaś poszliśmy zaraz do kasy. Już w Leningradzie wykupiliśmy bilety do Władywostoku, ale trzeba je było ostemplować. Z Władywostoku mieliśmy w perspektywie długą podróż statkiem przez Morze Japońskie, Morze Ochockie i Morze Beringa. Gieutiegini miał odbyć praktykę w Anadyr, a ja chciałem skorzystać z pierwszego lepszego środka lokomocji, by wyruszyć z Anadyr jeszcze dalej na północ, na brzeg Morza Czukockiego, do mej rodzinnej wioski, do słynnego kolchozu myśliwskiego „Poranek“, w którym mieszka mój ojciec, stary myśliwy Memył, rzeźbiarz Giemałgie, mechanik kolchozowy Kielergi, Inryn, Kenin i Giemałkot. Myślałem z nimi. W myśli szedłem ulicą kolchozu; przez otwarte okno szkoły widziałem nauczycielkę Walentynę Aleksiejewną i moją czarnooką siostrę Tuar, wydającą przed nią lekcję. w oknie sąsiedniej klasy widać było mego starego przyjaciela, nauczyciela Einasa, piszącego coś na tablicy; a na wybrzeżu, tam gdzie fale liżą płaskie rozsypane na piasku kamyki — trzech młodych myśliwych, Unpener, Rintuugi i jeszcze jeden, szkykowało łódź wielorybniczą, by wkrótce wypłynąć na morze.



ilustr. Moreu

NIE KPIJCIE Z WYNAŁAZCÓW!

*Niewolnik naśladowca rodzi się
i znika;
Życie przyrzeczone jest tylko
wynalazcom!*

(ANDRÉ CHENIER)

POZA fizykami, chemikami i inżynierami zdumiewająca jest ilość ludzi, którzy zajmują się robieniem wynalazków. Mają swe własne prawodawstwo, swe wystawy i w każdym postępowym kraju miejsce, gdzie mogą składać teorie swych odkryć.

Mniej więcej 175 tysięcy podań o patenty składa się rocznie w Europie. Narodowy Instytut Własności Przemysłowej we Francji zakłada rokrocznie 350 m nowych pól, by podania takie przechować. Dziś już 20 kilometrów tych pól dźwiga 6 milionów patentów spisanych we wszystkich językach świata, gdyż zwyczaj wymaga, by kopie były wymieniane pomiędzy poszczególnymi krajami (Francuzi składają przeciętnie tylko 25 tys. podań rocznie).

Pierwsze prawodawstwo dotyczące się patentów na wynalazki pochodzi z Anglii. Pomysł niewątpliwie szczęśliwy, który przyczynił się poważnie do postępu technicznego w przemyśle, w którym Wielka Brytania przodowała przez długie lata.

Znosząc wszystkie monopole, hamujące rozwój przemysłowy, Jakub I uczynił wyjątek na rzecz nowych

metod i produktów nadając im przywileje na przeciąg 14 do 21 lat zwane „patentem wynalazku“ (1623 r.).

Wynalazcy wszystkich krajów rychło zrozumieli, jak wielkie znaczenie ma ta ustawa i przybywali do Wielkiej Brytanii, proponując swe odkrycia. Tu byli przynajmniej zabezpieczeni przed ewentualnością pozbawienia praw do ich wykorzystania.

W ten sposób Francja straciła, między innymi, pierwszeństwo do wahadła dla bicia monety, do krosien, do metody farbowania bawełny na czerwono itd. Wszystko to były wynalazki Francuzów, lecz opatentowane w Anglii.

Pomysł Jakuba I okazał się dobry. Dlatego też w 1790 r. Stany Zjednoczone z kolei wprowadzają prawodawstwo chroniące wynalazców. Francja idzie ich śladem w 1791 r. Belgia w 1817 r., Austria w 1820 r., Włochy w 1826 r. itd.

Przyjęcie tych rozmaitych ustaw nie przebiegało bez gorących dyskusji i ówczesne argumenty za i przeciw nie straciły i dziś swej aktualności. Prawo własności wynalazku może być jeszcze w zasadzie dysku-

towne. Czy ma ono przejść na państwo, na ludzkość i być rozpatrywane z punktu widzenia społecznego i międzynarodowego, czy też ma być przedmiotem patentów przyznawanych wynalazcy czasowo, bądź też na stałe?

Dyskusja pozostaje otwarta i toczy się w skali międzynarodowej, gdy chodzi np. o „tajemnicę atomową“ lub „rekwizycję“ patentów niemieckich po klęsce III Rzeszy. Patenty ukrywa się ze względów handlowych jak np. w wypadku hypergonaru prof. Chretien (specjalny obiektyw używany przy produkcji filmów trójwymiarowych) kupionego przez towarzystwo filmowe Foxa w 1928 roku i wydobytego na światło dzienne w 1952 roku *). Z drugiej strony napotyka my gesty wyjątkowej wartości spo-

łecznej jak np. prof. Joliot-Curie i jego współpracowników, którzy ofiarowali Francji swe patenty w dziedzinie rozbicia atomu.

Wreszcie należy zaznaczyć, że jeżeli większość państw przyznaje w zasadzie patenty ograniczone, to okres ich ważności zmienia się w zależności od kraju.

Międzynarodowy Instytut Patentowy (w Hadze) powstał dopiero w 1947 r. Instytut ten, subwencjonowany przez Belgię, Francję, Holandię, Luksemburg, może dziś podejmować się poszukiwań w zakresie praw do

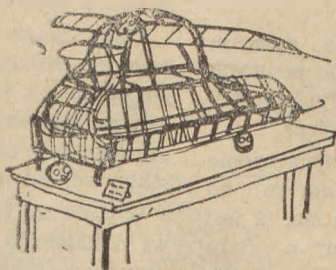
pierwszeństwa w dziedzinie wynalazków oraz śledzić stan rozwoju technicznego w różnych gałęziach działalności przemysłowej, a to dzięki posiadaniu w swych kartotekach około 4 milionów międzynarodowych patentów.

Z E wszystkich tych patentów nie-które są wykorzystane, inne nie. Wynalazek, który przedostaje się szybko do wiadomości publicznej wzbogaca wynalazcę (lub, znacznie częściej, tego, który daje pieniądze na opatentowanie wynalazku, gdyż to kosztuje drogo czy też tego, który patent kupuje. Rzadko tylko wy-

nalazca jest równocześnie finansistą). Są jednak wynalazki, które nie ukazują się i oozostają nieznane, gdyż brak jest warunków koniecznych dla ich wykorzystania. Zdarza się dość czę-

sto, że zapatrujemy się sceptycznie na wynalazców, którzy nie osiągnęli powodzenia. Mówi się, że zarówno oni jak i ich wynalazki są osobliwe, lub też określa się ich wprost jako „dziwaków“ z pewnym odcieniem współczucia.

Jest to poważne nieporozumienie, pochodzące zapewne z naszej ograniczonej zdolności myślenia kategoriami przyszłości, lub też z obawy wszystkiego, co zmienia nasze przyzwyczajenia, naszego strachu przed nowym, naszego „mizoneizmu“, jak mówią psychologowie. A przecież ileż wynalazków, wysmiewanych wczoraj, wykorzystuje się dziś w skali światowej?



*) Patrz „W Obronie Pokoju“ Nr 5/23
Pierre Castex: „Wyścig do filmu trójwymiarowego“.

Wielu śmiało się serdecznie w 1818 r., widząc barona Drais de Saverbon jadącego na swej dreźnie, lecz dziś małe dzieci wstydziłyby się, gdyby nie umiały jeździć na rowery!

Najinteligentniejsi mylą się często, gdy znajdują się wobec czegoś nowego. Podobnie, w początkach kolei żelaznej, wielki fizyk Arago twierdził, że człowiek nie znieś przejazdu przez tunel. A podczas posiedzenia ujrano akademika, który uszczypnął w nos Charles Crosa wołając: „to brzechomówca“, podczas gdy kręcił się jeden z pierwszych fonografów.

Czyż przykłady te nie zalecają nam przezorności w ocenie pewnych wynalazków, które wydają się dziwaczne na pierwszy rzut oka?

W rzeczywistości, doświadczenie uczy, że między wynalazcą, co do którego wszyscy zgadzają się, iż jest „człowiekiem poważnym“ a tym drugim, różnica polega często tylko na osiągniętym powodzeniu. Powodzenie to nie może być właściwym miernikiem wartości wynalazku, gdyż zależy ono rzadko od wynalazcy, a najczęściej od potrzeb społeczeństwa, od poziomu technicznego w epoce wynalazku, od warunków historycznych, nie mówiąc już o przypadku, który umieją wykorzystać inni wynalazcy.

Czyż wiadomo ogólnie, że bracia Niepce, którzy dali nam fotografię, wynaleźli zasadę motoru poruszanego paliwem w stanie pyłu? Wynalazek ten wciąż czeka jeszcze na realizację. Czyżby bracia Niepce byli równocześnie poważnymi i niepoważnymi wynalazcami?

Biorąc to wszystko pod uwagę możemy przyrzeć się kilku patentom czekającym na chwilę, w której inni wynalazcy wyciągną z nich korzyść, jak Jacquard użył do swego warsztatu tkackiego niepotrzebnych mechanizmów Vaucansona.

W 1845 r. Anglik, Charles Blake proponował, dla uniknięcia zderzeń na morzu, „zderzak dla statków“. Pod wpływem uderzenia statek miał się natychmiast cofać.

Angielka Emily Hunter otrzymała patent na metodę mającą na celu „zachowanie paproci“. System ten, twierdziła, polega po prostu na prasowaniu paproci gorącym żelazkiem.

Clara Louise Wells opatentowała metodę „ośrodków“ rozmieszczonych po świecie i służących chwytności ciepła aktywnych wulkanów, by „rozdzielić je przy pomocy rur wszystkim zakładom przemysłowym“.

W 1918 r. jeden z patentów mówi o bagnecie dla samolotów. Inny proponuje wkładanie blach cynkowych i miedzianych do podeszew obuwia. W ten sposób blaszki te, pod wpływem pocenia się, zamieniałyby się w ogniwa elektryczne, ogrzewające obuwie. Są także odwracalne spodnie, dzwon dzwoniący, gdy śpiący zaczyna chrapać, bujający fotel — odkurzacz, na którym kołysze się mąż czytając gazetę, Ruch fotela przenosi się na pompę ssącą, którą żona czyści dywany.

Sergiusz Berdyczewski wynalazł metodę umieszczania pługa przed wołami w dosłownym znaczeniu. System ten miał się przydać na froncie, gdzie armaty popychane, a nie ciągnięte, mogły otwierać ogień na nieprzyjaciela bez odwracania ich.

Lekarz francuski, chcąc uchronić podróżnych przed morską chorobą, wynajduje rodzaj harmonii napętnionej parą. Była ona połączona z kołem głównym przez przewód o czterech zakończeniach i znajdująca się w niej para równoważyła przechyły okrętu, tak że pasażerowie byliby się zawsze utrzymywali na równi poziomej.

Jakiś Niemiec zaprojektował mankiety do koszul, zapobiegające przeciekaniu soku owoców wzdłuż rąk, podczas gdy pewien Amerykanin wynalazł widelec do jedzenia zielonego groszku, przy czym ziarna wrzucały się przez specjalną sprężynę kolejno do ust. Inny Amerykanin opatentował widelec z wiatraczkiem do jedzenia długiego makaronu — spaghetti...

Zapewne, niektórzy z tych pomysłów są, powiedzmy, dziwne, ale najlepiej śmieje się ten, kto się śmieje ostatni. Mądrzejsi od nas, jak Arago, nie połapali się. Wiele jest w przeszłości takich wypadków i wynalazca „dziwak“ może bez trudu udowodnić, że sceptycy są ludźmi krótkowzrocznymi.

Na przykład: kto w 1881 r. zwrócił uwagę na „strzelbę“, przy pomocy której Marey rozbił na poszczególne ruchy lot ptaków? Jak niewdzięczni byli nasi ojcowie, że nie nazwali Hollywood „Marey-City“.

Co prawda kilkanaście lat później żadne szanujące się pismo nie wspomniało o pierwszym seansie kinematograficznym, który odbył się w podziemiu Grand Cafe w Paryżu w 1895 r.

A Fulton i jego łódź podwodna; Gugnot i jego wóz ciężarowy, przodek samochodu (1771 r.); Lenoir i jego motor gazowy (1860 r.); Charles Bourseul i jego telefon. A popatrzmy na spadochron Leonarda da Vinci, „wynaleziony“ w XVI wieku. „Wariat“ — wołano później w 1783 r. gdy Lenormand skoczył z tą „szma-

tą“ ze szczytu wieży. I można było śmiać się do początku XX wieku, tak długo, dopóki ten cenny przyrząd nie ratował życia pilotów zmuszonych do opuszczenia samolotu (generałowie francuscy kpili z niego nawet jeszcze w 1940 r.).

„Czy widzieliście — żartowano w 1809 r. — nowy rower ojca Clément, z jego kołem podobnym do koła ratunkowego?“ Chodziło tu o pierwszy pneumatyk Dunlopa, „kicę powietrzną“, zrobioną przez Clementa. Lista ta jest bez końca.

Jeden z patentów w Stanach Zjednoczonych zawiera poważny opis parowozu mogącego spędząć, przy pomocy strumienia wody, zwierzęta, konie i krowy, które włóczyły się często, jak się zdaje, po szynach ko-



lejewych w XIX wieku. Wspomnijmy tu, że w 1748 r. Vaucanson przedstawił królowi Ludwikowi XV projekt wozu mechanicznego, który poruszał się sam wyrzucając strumień wody, by oczyścić drogę z przechodniów. „Prości ludzie będą pana uważać za czarownika“ — powiedział król.

Inny patent amerykański ofiaruje armii „gumowe koła ratunkowe dla koni kawaleryjskich“, mających przepływać rzeki. Co się tyczy ludzi bez koni, przeznaczono dla nich przyrząd „z balonów i rowerów dla przepłynięcia rzeki“.

Inny przyrząd miał zapobiegać katastrofom kolejowym przez to, że „przy zderzeniu pociągów każdy następny wagon wchodził na dach poprzedzającego“.

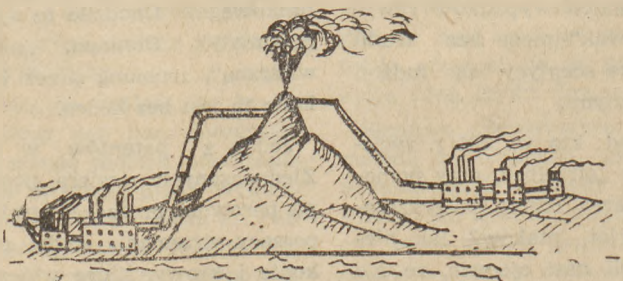
Błotniki naszych samochodów nie byłyby nigdy pogięte, gdyby zastosowano patent nazwany: „gumowe błotniki samochodowe nie obawiające się zderzeń“. A czy nie byłoby mniej wypadków, gdyby, w myśl życzenia przedsiębiorcy z Sikeberg (Jutlandia), brzegi dróg były zaopatrzone w bariery „chroniące wariatów“ (chodzi tu o samochody), posiadające wypukłą powierzchnię i powodujące ześlizgnięcie się opony i

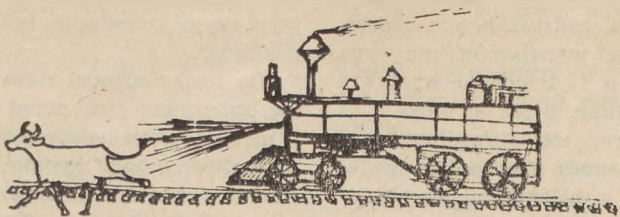
naprowadzenie samochodu na szosę?

Zapewne, są „wynalazki“, które wywołują konsternację, jak np. pułapka wyposażona w dzwoneczek dla ostrzegania myszy. Albo, całkiem niedawno, maszyna wynalazcy amerykańskiego, który zapraszał prasę dla jej podziwiania. Maszyna ta, bardzo skomplikowana, wymagała kilku lat studiów i badań, a — zgodnie z koncepcją swego twórcy — nie służyła do niczego.

Są również „odkrycia“ naukowców, które, po pewnym czasie, mogą nas tylko bawić. Czas ten nadszedł dla wynalazku dr Chevreuse. Przedstawię wam tu podstawowe jego zasady, które pasjonowały uczonych tamtejszej epoki.

W 1875 r. dr Chevreuse, Francuz, przedstawił w Sorbonie portret biskupa Darboy namalowany barwnie i w naturalnej wielkości płynem pochodzącym z rozgniecionych chrabaszczy. Doktor zauważył, że odcień tego płynu zmienia się w zależności od żywności podawanej owadom: czerwony u chrabaszczy żywionych liśćmi jabłoni, kasztanowo - brunatny, gdy żyły na krzewach winnych, żółto-czerwony z mirabelek, itd... Wynalazca otrzymał w ten sposób ponad 30 barw. Twierdził ponadto, że





chrabąszcza należy zabijać na czczo, co najmniej 5 godzin po jego śniadaniu, gdyż płyn otrzymany podczas jedzenia był gruzłowaty i nie do użycia, na skutek niecałkowitego strawienia liści przez owady.

Nasi ówcześni uczeni wzięli rzecz na serio. Na swe wytlumaczenie mieli fakt, że dowiedzieli się o tym wynalazku w sto lat potem, gdy Thierry de Menouville zdobył od Meksykanów tajemnicę hodowli koszenili, z której otrzymywano już karmin.

Przykład ten jest ostrzeżeniem przed zbytnią łatwowiernością i przeszkodzi nam może w naśladowaniu tych 27 tysięcy osób, które podobno zapisały się na podróż na księżyc.

Unikniemy może w ten sposób „dramatycznego losu wielkiej rakiety Wilkinsona i Hobbarta“, który przypomniła niedawno pewna wielka gazeta francuska. Rakietą tą przekroczyła sferę przyciągania ziemi, nie osiągając strefy przyciągania księżycy i skazana jest na wieczne krążenie wokół ziemi ze swym ładunkiem 20 trupów.

Widzimy więc, że wynalazca ponosi dla nas ryzyko, często w atmosferze powszechnej obojętności, jeżeli nie nienawiści i kpin współczesnych mu ludzi, którzy kiedyś wyciągną korzyść z jego ofiary. Czyż nie

jest to dostatecznym powodem do szanowania go?

Wynalazek wymaga ponadto wiele wysiłków. Wynalazca jest niezmordowanym pracownikiem, „rozwiąza gadanienie“ i nie uzyska spokoju przed rozwiązaniem go. I jeżeli niektóre wynalazki wydają się mimowolne, to trzeba zawsze pamiętać o tym co powiedział Egger: „Jeżeli znaleziono bez poszukiwania, to znaczy, że poszukiwano bez znalezienia“.

Wydaje się, że niektóre wynalazki zawdzięczamy przypadkowi. W rzeczywistości trzeba być Archimedesem, Wattem, Papinem, Roentgenem, Becquerelem, Jennerem, Pasteurem, Flemmingiem itd., by potrafić wyciągnąć wnioski z tego przypadku.

PISALEM wyżej, że wynalazca ma swe wystawy. Paryż ma ich dwie: Konkurs Lepine i Konkurs Międzynarodowy. Poszedłem na ten ostatni w poszukiwaniu czegoś ciekawego, co mogłoby wzbogacić moje doświadczenie. Poszedłem i odkryłem chorobę, której nieomal że nie podejrzewałem. Dziennikarze idą na wystawę, by szukać tego co bawi i gdybym ograniczył się do naśladowania ich, napisałbym mniej więcej tak:

„Rozpoczął się konkurs międzyna-

rodowy. I w tym roku mamy okazję do oglądania zadziwiających rzeczy. Pomysłowość wynalazców nie ma granic. Oto p. L. Bouchène wystawia maszynę „Skok przez strumyk“ z poruszającymi się skrzydłami, popędzanymi przez mechanizm pedałowaty oraz z balonikami wypełnionymi helem. Rzućmy okiem na tomik poezji poświęconej tej maszynie. „Czy marzenie Ikara stanie się jutro rzeczywistością o podwójnym znaczeniu użytkowym i sportowym zarazem?“

„W oddziale hiszpańskim, Honorio Gaston Deson z Barcelony przedstawia „amortyzator — zderzak przeznaczony do osłabienia wstrząsów wynikających z poprzecznych ruchów wagonów“. Chodzi o uniknięcie znanego dobrze każdemu pasażerowi podrzucaniu, spowodowanego przechodzeniem wagonu przez złącza szyn.

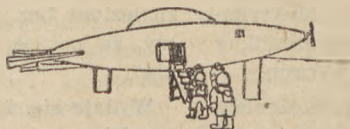
„Gdzie indziej ołówek o połączonej laskach grafitowych umożliwia każdemu pisanie dowolnym kolorem bez zmiany przyrządu i podpisywanie się w sposób nie do naśladowania przy użyciu obu lasek. Otrzymuje się podwójne litery.

„Dalej maszyna do obrabiania kamienia mogąca wyrabiać płyty okrągłe, wydrążone, obramowania, krawężniki, itp... Marco znów przedstawia nam „Uczonego Chińczyka“, który umożliwi „600 tysiącom ślepych Chińczyków pisanie i czytanie w ich języku za pomocą alfabetu Braille’a, przyczyni się do stworze-

nia jednolitego języka chińskiego, przy czym pozostanie tylko dialekt pekiński“.

„Do tego dochodzi nowe urządzenie zabezpieczające przed kradzieżą i metoda umożliwiająca każdemu posługiwanie się geometrią przestrzenną. Nie ma wynalazku, który by nie był zajmujący. Wspomnijmy jeszcze o „najwspanialszym wynalazku tego wieku“ — chodzi się po wodzie jak po ziemi, przechodzi się baseny, rzeki i morza, piechotą z Francji do Anglii, bez zmęczenia, bez utopienia się, dzięki „pływającym bransoletkom“.

„Bandaż Seratou“ p. Lemonnier ma ze swej strony ciekawą właściwość łączenia się ze sobą bez przyklejania się do czegokolwiek innego. Oto co może zmienić metodę opa-



trunków, połączeń nieprzemakalnych itp...

„Mógłbym wam jeszcze przedstawić dalej w ten sposób wszystkie najbardziej „ciekawe“ rzeczy w tym salonie, gdyby właśnie p. Lemonnier nie zwrócił mej uwagi na wynalazek znajdujący się na jego stoisku. Kartka głosi: J. Bernard „Tablica o podwójnym napisie, z których każdy jest widoczny z innej strony, przeciwnej aniżeli drugi“. Chciałem już sfotografować wynalazek, gdy p. Lemonnier powiedział mi: „Jeżeli pan o tym wspomni, zrobi pan dobry uczynek, który bardzo mnie ucieszy, wynalazca jest w nędzy i głuchoniemy“.

Nie mówiąc, nie słysząc, mając tyl-

ko oczy J. Bernard od nich tylko oczekuje władzy nad życiem. Czy nie udało mu się to trochę przy pomocy tej tablicy?"

P. Colbrant, sekretarz generalny syndykatu dla ochrony wynalazków i dziekan Rzemiosł Belgijskich mówi mi: „Proszę, niech pan nie przychodzi tu jak pańscy koledzy: by bawić czytelników. Gdyby pan wiedział, ile wśród wynalazców kryje się nędzy. Jeden z mych belgijskich przyjaciół wynalazł pudełeczko, które mogłoby zastąpić skrzynkę biegów. Niezmiernie solidną, wypróbowane cudo. Rodzina wyrzekła się go, gdyż wynalazek zbyt drogo kosztował. Dziś błaka się wyczerpany, przybity, nikt nie chce się zająć jego pomysłem. Byłoby to nie na rękę kilku przemysłowcom“.

Potwierdzenie tej prawdy znajduję w „Création“ piśmie walczącym w obronie drobnej wynalazczości francuskiej.

„Publiczność, korzystająca z wynalazków, nie znająca ich istoty, mogłaby sądzić, że twórcy pędzą za sobnie i łatwe życie. Nic podobnego. Niedostatecznie chronieni przez przestarzałe ustawodawstwo, liczące ponad sto lat (ustawa francuska z 1791 r. została zrewidowana w 1884 r.), zduszeni podatkami (niektóre wzrosły o 1200%), których nie są w stanie płacić, wielu wynalazców jest dziś w nędzy i nie może zdobyć środków na chleb powszedni. Z wynalazków korzystają tylko ci, którzy są ich użytkownikami: w oparciu o to bądź nabywają za bezcen patent, bądź też czekają cierpliwie, aż patent prawnie wygaśnie wskutek nie

płacenia rocznych rat przez wynalazcę.

Co więcej cudzoziemcy wykorzystują źle chroniony rynek patentów francuskich...”

I dalej w tym samym piśmie:

„Dla życia gospodarczego kraju prasa do jarzyn i telewizja są bardziej interesujące, aniżeli bomba atomowa, lub wodorowa i rakietą kierowana radiem. Prasa do jarzyn i telewizja to rzeczy praktyczne służące do codziennego i powszechnego użytku; są źródłem bogactw i życia. Bomby zaś i rakiety, to rzeczy drogie i używane sporadycznie, w tym wypadku dla celów apokaliptycznych i byłyby one źródłem ostatecznej ruiny materialnej i finansowej, jak również śmierci przez wyniszczenie“.

Czego żądają „drobni wynalazcy“?

Pomocy techników (w większości wypadków drobny wynalazca, pracujący prawie zawsze intuicyjnie, nie jest technikiem; ma pomysł, lecz nie może go dobrze zrealizować: brak mu wiadomości technicznych), warsztatów, pomocy specjalistów handlowych (mały wynalazca jest przeważnie bardzo złym handlowcem; dlatego też często go oszukują). I wreszcie, ale tylko w ostatecznym wypadku, pożyczki.

Żądania te potwierdza notatka zamieszczona na następnej stronie tego samego pisma: „Dla zrealizowania doświadczenia wynalazca wystawił niedawno meble na sprzedaż w hali licytacyjnej. Po odciągnięciu kosztów transportu i sprzedaży pozostała mu śmieszna suma za cały samochód ciężarowy ładnych i solidnych mebli.

Wynika z tego morał, że Bernard Palissy miał całkowicie rację paląc swe meble, gdyż gdyby chciał je sprzedać, nigdy by nie osiągnął dostatecznej sumy na kupno takiej ilości drzewa, jaką by mu one dały“.

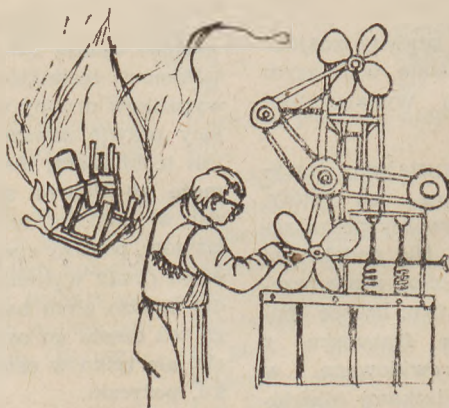
Nigdy nie da się opisać wszystkiego, co zawdzięczamy wynalazcom. To oni swymi marzeniami, swoim uporem, ubrali przedhistorycznego człowieka, pozwolili mu wyjść ze stanu zwierzęcego, uwolnili go od

strachu i wiek po wieku, chroniąc go przed groźbami natury, ułatwiali mu pracę.

Zbliżają się czasy, w których będzie się oceniać poziom rozwoju narodu na podstawie troski o pomoc i opiekę nad wynalazcą, wielkim czy drobnym.

I słyszę słowa p. Colbrant: „Niech pan nie kpi z wynalazców!“

J. B. EGGENS





Daumier: Brzuch ustawodawczy

WYSTAWA SZTUKI ZACHODNIEJ W MOSKWIE

(Wrażenia artysty radzieckiego)

W E wrześniu bieżącego roku mieszkańcy Moskwy mieli możliwość podziwiania Wystawy Sztuki Graficznej Europy Zachodniej. Wystawa — na którą złożyły się akwaforty i litografie — odniosła niebywały sukces, który jednak nas bynajmniej nie zdziwił. Obejmowała ona bowiem dzieła najświetniejszych, reprezentujących różne kierunki malarstwa, artystów XIX wieku. Wśród nich na pierwszy plan wysuwają się Franciszek Goya i Honoré Daumier.

Obecnie wystawa opuściła już Moskwę, by odbyć objazd wielu innych miast ZSRR, gdzie będzie oglądana i podziwiana przez liczne rzesze mieszkańców naszych republik.

Nie będę zatrzymywał się dłużej przy dziełach artystów tej klasy co Gavarni, Millet, Käthe Kollwitz, Steinlein i inni; wszystkie one zasługują w równej mierze na uwagę. Omówię tu tylko prace dwóch ulubionych przeze mnie artystów: Goya i Daumiera. Ku mej wielkiej radości odnalazłem je w salach wysta-

wowych, w których pomimo tłumów zwiedzających panowała głęboka cisza.

Jedną z najbardziej charakterystycznych cech wielkich dzieł sztuki jest to, iż nigdy nie można o nich powiedzieć, że się zna je do gruntu. Każde nowe zetknięcie się z nimi pozwala nam odkryć nowe wartości, których się przedtem jeszcze w ogóle nie dostrzegło. Wpływają na to, moim zdaniem, dwie okoliczności. Po pierwsze, z biegiem lat my sami rozwijamy się i zaczynamy więcej spraw rozumieć niż dawniej. Po drugie, zmienia się epoka. Zależnie bowiem od sytuacji i wypadków takie dzieła jak: „Okropności wojny“ Goyi

lub „Ulica Transnonain“ Daumiera nabierają innego znaczenia i nowego zabarwienia.

Jeśli będziemy się starali zanalizować nasze wrażenia z tej wystawy — dojdziemy do wniosku, że kiedy artysta czerpie swe natchnienie z takich tematów jak: miłość ojczyzny, humanizm, woła obrony pokoju — wówczas jego dzieła mają najwięcej danych, by zdobyć nieśmiertelność. Uczucia te bowiem będą zawsze bliskie i dostępne — niezależnie od epoki i narodowości — tym, którzy przyjdą owe dzieła podziwiać.

W akwafortach Goyi znajdujemy połączenie siły, śmiałości i elegancji. Trudno powiedzieć, który z tych

Goya: Co za nędza!



pierwiastków zdecydowanie przeważa. Chwilami może się nam zdawać, że śmiałość. Dla wyrażenia swych myśli i uczuć Goya wprowadził nowe sposoby rysunku i kompozycji, odrzucając z rzadką odwagą uświęcone przez czas prawa sztuki klasycznej.

Kiedy indziej znów, uderzeni widokiem tej pełnej pasji dynamiki, która wprost rozsądza akwaforty Goyi — jesteśmy skłonni sądzić, iż dominującym pierwiastkiem w jego dziełach jest siła. W innych chwilach odnosimy wrażenie, że główną ich cechą stanowi elegancja. Przejawia się ona w tak charakterystycznej dla rysunku Goyi, pełnej swoistego wdzięku, drżącej i nerwowej linii. Elegancja ta przebija zwłaszcza w jego postaciach kobiecych. Wystarczy tu przypomnieć tylko akwafortę „Co za odwaga“, przedstawiającą sylwetkę młodej dziewczyny.

A oto drugi tytan sztuki — Daumier, o którym Balzac słusznie się wyraził: „Ten człowiek ma pod skórą mięśnie Michała Anioła!“.

Dziwne na pozór wydaje się nam to zestawienie: wiekopomne dzieła Michała Anioła i... karykatury Daumiera! Jednakże jest w nich coś wspólnego. Można by się wyrazić, że technicznie gwałtownego wicheru zmioło to wszystko, co w ich dziełach mogło być małego i przypadkowego

-- pozostawiając miejsce tylko potężnym i płomiennym formom, w które obaj artyści przeleli swą ideę.

Karykatury polityczne Daumiera, będące chłoszczącą satyrą ówczesnych czasów, mają wielką wartość autentyzmu. Nie tracą one nigdy na swojej wartości, bo bez wątpienia posiadają cechy prawdziwej sztuki. Dzieła Daumiera przewyższają w znacznym stopniu to, co uważać się zwykło za karykaturę polityczną. Mają one wartość nieprzemijającą.

Twórczość Daumiera jest miłowym kamieniem w rozwoju sztuki światowej. Świat wyrażony w jego karykaturach jest pełny, bogaty, pulsujący realnym życiem. Widzimy w nim szeroką skalę uczuć: poprzez chłoszczący sarkazm, gniew, humor do tragiczmu. Jest to świat na wskroś ludzki, bliski i zrozumiały dla mas — świat, który będzie zawsze pobudzał artystów do twórczości.

Z żywym zainteresowaniem śledziłem zachowanie się tłumu, który z wielkim przejęciem cisnął się wokół dzieł Daumiera, wyrażając tym swój entuzjazm dla jego mistrzowskiej twórczości. Zastanawiając się nad tym wszystkim, mimo woli pomyślałem o ogromnej potędze sztuki, która ułatwia zrozumienie i potrafi złączyć w braterskiej miłości ludzi, należących do różnych epok i krajów.

KIBRIK
artysta malarz



O RWIE KULSZOWEJ



Dr. A. SALOMON

NIE ulega wątpliwości, że rwa kulszowa jest najczęstszym schorzeniem newralgicznym a to z powodu anatomicznego przebiegu nerwu kulszowego.

Częstość występowania tego schorzenia upoważnia nas do zajęcia się nim w niniejszym artykule celem rzucenia światła na te częste i dokuczliwe stany.

Czy rwa kulszowa jest wynikiem zmiany statyki obecnego człowieka w porównaniu do dawnej pozycji anatomicznej, tak jak czworonożnych zwierząt — nie da się ściśle udowodnić. Bezspornie rozpatrzenie anatomicznych warunków porównawczych może w tym kierunku dać nam podstawy do dyskusji. Przyczynkiem do tych poglądów byłby brak zauważonych objawów rwy kulszowej u

zwierząt czworonożnych. Byłoby to dowodem, iż niezliczone możliwości uzyskane przez człowieka w pozycji stojącej zostały okupione pewnymi niedokładnościami anatomicznymi. powodującymi w dużej ilości przypadków ciężkie schorzenia.

Celem poznania tego schorzenia należy przede wszystkim przestudować anatomię nerwu kulszowego, jego przebieg oraz przyczyny powstawania jego zmian chorobowych. Nerw kulszowy jest końcową gałązką spłotu krzyżowego i składa się z kilku korzonków włókien nerwowych, wychodzących z kanału kręgosłupa między kręgiem lędźwiowym czwartym i lędźwiowym piątym oraz krzyżowym pierwszym i krzyżowym drugim. Nawet nieznaczny ucisk włókien czuciowych powoduje silne bóle, u-

niemożliwiające dotkniętemu chodzenie czy leżenie, a więc pracę czy spokój. Przebieg nerwu między kręgami lub otworami kości kręgowych czy krzyżowej jest narażony na różne szkodziwości, które poniżej wyjaśnimy.

Najczęstszym powodem rwy kulszowej jest uraz. Urazy silne, powodujące zmiany w układzie ruchomego kręgosłupa, same przez się są zrozumiałym powodem tego schorzenia, lecz nawet uraz tak mały jak nagłe podniesienie się lub wyprostowanie kręgosłupa może być dostateczną przyczyną do powstania tego dokuczliwego, a często długotrwałego, schorzenia.

Dzisiejsze zapatrywania na powody wywołujące rwę kulszową są zupełnie odmienne od dawnych, a nawet sprzed niewiele lat. Obecnie nie mówi się już o jakimś przeziębieniu lub o reumatyzmie nerwu kulszowego. Natomiast prawie zawsze uważa się rwę kulszową za wtórne zmiany zapalenia stawów międzykręgowych. Do przyczyn zewnętrznych należy zaliczyć przede wszystkim urazy. Urazy bywają bezpośrednie i pośrednie. Raczej do ważnych należy zaliczyć urazy pośrednie. Niewielkie uderzenie w kręgosłup, jakiś wysiłek niespodziewany w pewnych okolicznościach wywołują wypadnięcie lub później przepuklinę tarczy (dysku) międzykręgowej wnętrza do kanału kręgosłupa. W wyniku drobnego nawet ucisku gałązek nerwu wywołana zostaje choroba.

Do najczęstszych wewnętrznych przyczyn miejscowych należy zaliczyć wypadnięcie jądra galaretowatego na wysokości kręgu lędźwiowego piętego. Następnie wspomnieć należy za-

palenie stawów międzykręgowych, ucisk spowodowany ciężarną macicą, abscesy przy gruźlicy kręgosłupa czy guzy nowotworowe.

Z zewnętrznych przyczyn ogólnych nie należy zapominać o syfilisie, cukrzycy, dnieniu, alkoholizmie oraz chorobach zakaźnych, jak influenza i zakażenie połogowe.

Celem zrozumienia mechanizmu, powodującego rwę kulszową przez przepuklinę tarczy międzykręgowej, należy sobie zdać sprawę z budowy tej tarczy i jej umiejscowienia. Tarcza składa się z obręczy złożonych z włókien tkanki łącznej, włókien elastycznych i chrzęstnych. W środku znajduje się przestrzeń zamknięta, zawierająca półpłynną galaretkę. Wskutek ucisku czy wysiłku ta włóknista otoczka może pęknąć i spowodować częściową lub całkowitą przepuklinę tarczy do kanału kręgowego. Ta przepuklina, uciskając najbliższe korzonki, jest przyczyną wywołującą rwę kulszową.

Zależnie od kierunku tego ucisku powstają różne dolegliwości w przebiegu korzonków nerwowych lub rdzenia. Niektórzy autorzy francuscy (Forestier później Sicard) byli zdania, iż zwykłe rwy kulszowe nie były wywołane podrażnieniem korzonków nerwowych środkowych (Dejerine), lecz już powrózków nerwowych, wychodzących z przestrzeni międzykręgowych lub otworów kości krzyżowej. Zmiany, zachodzące w stawach międzykręgowych, mogą też być przyczyną drażniącą powrózki nerwowe (Putti). Tym sposobem rwa kulszowa może mieć za przyczynę ostre lub chroniczne zapalenie stawów międzykręgowych. Do bardzo

rzadkich przyczyn należałoby zaliczyć guz śródkręgowy i ewentualnie stany zapalne lub toksyczne.

Rwa kulszowa spowodowana przepukliną tarczy międzykręgowej bywa najczęściej wywołana urazem nawet stosunkowo niewielkim. Początkowo zjawiają się bóle, określone nazwą lumbago, które jednak po kilku dniach, a nawet tygodniach rozprzestrzeniają się coraz niżej i dają obraz wyraźnej rwy kulszowej o charakterystycznych bólach.

W przypadkach zaś rwy kulszowej z powodu zapalenia stawów międzykręgowych urazu nie bywa, natomiast często zachodzą zmiany rozleglejsze, a mogą być nawet obustronne. Wówczas ruchy kręgosłupa bywają bolesne. Chociaż rozpoznanie rwy kulszowej zazwyczaj nie jest trudne, jednak istnieją przypadki, w których nie wolno zaniedbać różnych sposobów badania, aby nie przypisywać rwie kulszowej bólów wynikających z innych powodów.

I tak, zapalenie stawów biodrowych, których bóle często są lokalizowane mniej lub więcej w tej samej okolicy, bywa brane za rwę kulszową. Roentgen wykaże nam wówczas schorzenie stawu. Bóle nerwu kulszowego wywołane przez ucisk guza czy to przez ropień opadowy wskutek gruźlicy kręgów, czy guz nowotworowy, bywają rozleglejsze: często towarzyszą im inne zmiany neurologiczne. W przypadkach wątpliwych uciec się należy do badania płynu mózgowo-rdzeniowego oraz kontrastowego zdjęcia kręgosłupa.

Rwa kulszowa według ostatnich badań w znacznej większości przy-

padków jest spowodowana wypadnięciem tarczy międzykręgowej.

Rokowanie w rwie kulszowej z powodu zmian stawów międzykręgowych jest przeważnie dobre. Czasem jednak muszą upłynąć tygodnie i miesiące do wyzdrowienia, a nie są wykluczone i recydywy.

W rwie kulszowej z powodu przepukliny tarczy międzykręgowej wszystko zależy od stosunków anatomicznych. Jeżeli uda się usunąć ucisk na korzonki, wyzdrowienie może nastąpić w kilka tygodni. W przypadku, gdy nie można całkowicie uwolnić korzonków nerwowych po kilku tygodniach ulgi bóle powracają znowu.

W leczeniu rwy kulszowej musimy rozróżnić kilka metod, które nie wykluczają się wzajemnie, a raczej jedna zwykle dopełnia inną.

Niezależnie od przyczyn wywołujących rwę kulszową — pierwszym zasadniczym postępowaniem jest spokój. Unieruchomienie kręgosłupa w łóżku, ciepłe lub wilgotne okłady, diatermie, środki uspokajające i przeciwbólowe oraz iniekcje preparatów jodu, salicylu, siarki, czasem histaminy, wyjątkowo witaminy B₁ mogą przynieść ulgę. W przypadkach, niepoddających się temu leczeniu, uciekamy się do blokad przez kanał kręgowy lub miejscowy. W większości przypadków takie leczenie wystarcza do uzyskania w ciągu kilku tygodni dobrego wyniku. Gdy jednak wyniku wyżej wymienionym sposobem uzyskać nie możemy, szczególnie w rwie kulszowej wywołanej zmianami w stawach międzykręgowych, należy poradzić jonizację jodową lub wapniową, a jeszcze lepiej radioterapię.

Polepszenia po radioterapii mied-
scowej należy oczekiwać po kilku
seansach.

Podczas leczenia nie należy zapo-
minąć o unieruchomieniu kręgosłu-
pa, uciekając się nawet do gorsetu
lub gipsu.

Rozpoznanie rwy kulszowej z po-
wodu wypadnięcia lub przepukliny
tarczy międzykręgowej upoważnia le-
karza do przystąpienia do zabiegu
chirurgicznego. Technika tego zabie-
gu jest w dzisiejszych czasach najdo-
kładniej opracowana i nie stanowi
poważnej groźby dla chorego. Nawet
w przypadkach, gdy nie można
stwierdzić przepukliny tarczy między-

kręgowej przecina się czuciowy ko-
rzonek nerwowy, co nie stanowi ja-
kiegoś uszczerbku ogólnego. Wyniki
dodatknie wskutek zabiegu przy prze-
puklinie tarczy międzykręgowej obli-
cza się na ca 70%.

W wyniku tych trudności w rozpo-
znawaniu różnych powodów rwy kul-
szowej, w rozróżnieniu jej od innych,
mogących się zdarzyć chorób, następ-
nie w trudności postawienia dokład-
nego rozpoznania i znalezienia odpo-
wiedniego leczenia przychodzimy do
przekonania, iż wybór lekarza spe-
cjalisty jest dla chorego najważniej-
szy dla uzyskania zdrowia i możliwości
powrotu do pracy.



ZŁOTO

I CHLEB



RENE JOUGLET

Poniżej zamieszczamy wyjątek z powieści René Jouglet pt. „Złoto i chleb”, która przed paroma tygodniami ukazała się we Francji.

Powieść ta przedstawia kłopoty przemysłowca francuskiego, który w podzielonym na dwie części świecie usiłuje wyrwać się spod kurateli obcego kapitału. W Nowym Jorku, dokąd udał się, aby obronić choć trochę swą zagrożoną niezależność, Blaque-Censier spotyka Stelna, prezesa monopolistycznej grupy przemysłowców żelaza i stali.

NADCHODZIŁ świt. Huragan o niesamowitej wprost sile gwałcił drzewa rosnące nad Hudsonem. Wiatr wył jakby ktoś się powiesił. W powietrzu obok zerwanych liści fruwały resztki gniazd i przerażone ptaki. W hotelu, którego okna wychodziły na zadrzewiony brzeg rzeki, pośród złowrogiego żywiołu niosącego zagładę naturze i ludziom, Blaque-Censier stojąc przy telefonie, nie słyszał nic poza własnym nerwowym bębnieniem palcami po stoliku, podczas gdy nad Nowym Jorkiem wisiała jeszcze noc, w Paryżu był już dzień.

Blaque-Censier znajdował się w Nowym Jorku od trzech dni, po odbyciu błyskawicznej podróży samolotem, nie tak szybkiej jednak, jakby sobie tego życzył. Miasto to nie interesowało go nigdy. Jego świat zamykał się w nim samym. Na skutek jakiegoś fatalnego pecha czy nieszczęśliwego zbiegu okoliczności nie mógł spotkać Stein'a, z którym pragnął się skontaktować. Przebywał on także w podróży, lub przynajmniej tak kazał mówić. Blaque-Censier szarpał się w podwójnym niepokoju.

Dziesiątki razy żądał połączenia z Paryżem — numer, o który prosił, odpowiadał długim sygnałem — nikt nie podejmował słuchawki. Co jakiś czas Blaque-Censier wymyślał telefonistce. Podwójny niepokój...

Miał swoje fabryki. Uruchomił je wszystkie. Nie zaniedbał niczego. Sprowadził nowe maszyny, zastąpił stare metody nowymi. Znalazł nowe rynki zbytu. Potrafił kierować polityką cen. Umiał przewidzieć kryzysy. Był ostrożny i zuchwały jednocześnie. Miał niepodzielną władzę w swym ręku.

A teraz niezależnie od niego wydarzenia postawiły go w niezwykle ciężkiej sytuacji. Ani ostrożność, ani śmiałe posunięcia, ani polityka, ani doświadczenie, ani stosunki nie doprowadzały już do niczego. Nie ma przyjaźni w interesach. Jest tylko siła. Wszystko co mówił Valbert było słuszne. Tak samo rozsądnie mówili Amerykanie. A jednak dzieliła ich przepaść.

Na horyzoncie mur Ameryki. Mur marmurowy. Przede wszystkim wznoszący się wokół — mur banków. Banki rządzą. Ameryka to banki. Nie przyjechał tu po to, aby stawić im czoła. Przybył tu, aby ocalić przed tym potężnym aparatem resztki znikającej niezależności. Nazywał się Blaque-Censier. Był kimś nie tylko we Francji. W Maroko, Chile, na ziemi i pod ziemią znano Blaque-Censier. Przekonają się o tym. Tak, to był kłopot, ale nie był kłopot jedyny.

Nie o tym jednak myślał wśród wycia i wściekłych porywów huraganu. Wywoływał stale telefonistkę. Wciąż jednak nie mogła go połączyć.

Wyjął z portfelu fotografię Lorety. Była w sukni uwydatniającej zuchwale linię jej giętkiego ciała. Nie znał na świecie podobnej kobiety. Kiedy dotykał tego cudu, którego był właścicielem, znajdował się jakby w ekstazie. Kiedy Loreta zwracała ku niemu swój wzrok pełen spokojnej obojętności i nagle rozbłyśkiwała drażniącym i kpiącym uśmiechem, przeistaczał się w kogoś zupełnie innego. Telefonował do niej o każdej porze. Nie odpowiadała. Miał przed oczyma porównawczy wykaz godzin. Nie odpowiadała ani rano, ani o zmierzchu, ani w nocy. Nie było jej w domu. To jedno było niezaprzeczalne — nie było jej. Ale gdzie przebywała? W niekończącej się udręce jawiła się przed nim inna twarz.

Żle zrobił, że wyjechał, nie zobaczywszy się z nią. Miejsce było zarezerwowane, kablogram wysłany do Nowego Jorku. Mimo to czuł, że jest obrażona. Trzeba to jakoś załagodzić. Bez wątpienia powinien był zabrać ją ze sobą.

Ale gdzie spędzała noc, skoro nie było jej w domu? Jawiło się tuż blisko oblicze Felipe, jego podejrzana osoba z twarzą zboczeńca. Podobno są kobiety, które zboczenie podnieca.

Chwilami był nawet gotów podrzeć fotografię. Spojrzał na nią raz jeszcze i wsunął do portfelu.

Podniósł się potężny, kwadratowy w swej jedwabnej pyjamie. Podeszedł do lustra, przejrzał się i odwrócił wzruszywszy ramionami. Oczy jego spoczęły na łóżku, szerokim łożu z cytrynowego drzewa, nakrytym błękitnym jedwabiem, który stanowiłby wyborne tło dla doskonałej nagości. Siadł na brzegu.

Gdyby ją zabrał ze sobą, byłaby podobna do kwiatu na długiej lodydze wśród tego wnętrza, pośród tych jasnych mebli, tych prześlicznych foteli z obiciami w kolorze chabrow, dywanów o jasnych kolorach, stolików z ozdobnego szkła, artystycznych drobiazgów i czeskich świeczników.

Uśmiechnął się do tego obrazu, jaki podsunęła mu wyobraźnia.

Rzucił się na łóżko. Ostra kłująca zazdrość owładnęła nim na nowo, przywołując na myśl postać lepiej zbudowanego a przede wszystkim młodszego rywala.

Dość już było tego czekania, jutro — jeżeli w ciągu dnia nie uda mu się spotkać ze Steinem — w ca.

Szyby dzwoniły za żaluzjami, wichura szalała jak rzeka wylewająca się ze swych brzegów. Blaque-Censier nie słyszał nic. Uczępił się jak maniak myśli, że Loreta nie jest tak szalona, aby ryzykować majątek, jaki jej dawał, z kimś, kto nie ma ani grosza. Na szczęście kochała zawsze zbyt lek.

○ BUDZIŁ się z uczuciem jakiegoś straszliwego lęku. Ostry dzwonek rozbrzmiewał tuż przy jego uchu. Upłynęły trzy sekundy zanim oprzytomniał — dzwonił telefon. Podnosząc słuchawkę czuł, że wstępuje w niego nadzieja, Oddałby duszę, aby usłyszeć głos Lorety. Telefonował sekretarz Steina. Prezes grupy żelaza i stali, która nie nazywała się już trustem w celu obejścia litery prawa i która w tym samym celu wprowadziła pewne poprawki w statucie, właśnie wrócił. Oczekiwał Blaque-Censier w południe.

Blaque-Censier odłożył słuchawkę. Podniósł się, stwierdził, że w pokoju jest ciemno jak w jaskini. Przeszedł się parę razy po pokoju, zapalił papierosa. Odsunął zasłony i znowu usiadł na łóżku. Zadzwoił. Wszedł kelner. Blaque-Censier zażądał kawy. Potem przeszedł do łazienki, zauważył, że wciąż jeszcze paliło się światło. Wrócił, aby je zgasić. Spojrzał na zegarek. Była 10-ta. Spał więc snem kamiennym.

Poszedł przygotować sobie kąpiel i zaczął się golić. Wanna nie była jeszcze pełna, kiedy odłożył przyrządy do golenia. Na przeciwnym brzegu ujrzał drzewa wyrwane z korzeniami. Drwale zabierali się do przepiłowania. Pomyślał, że pogoda musiała być kiepska tej nocy. Zastukano do drzwi. Machinalnie odpowiedział, a potem popatrzył kto wchodzi. Był to kelner, który postawił na stoliku tacę z filiżanką i dzbankiem do kawy i wyszedł.

Blaque-Censier zamknął kurki w łazience. Czy łączyć się znowu z Paryżem? Nie, tego nie robi. Podeszedł do stolika, wypił łyk kawy. Potem zadzwonił, aby mu przyniesiono pocztę. Nic jednak dla niego nie było. Loreta знаła przecież jego adres w Nowym Jorku, telegrafował do niej. Ta dziewczyna to jednak ladacznica. A on, on był po prostu idiotą. Wypił do końca kawę. Mój Boże, czy w dalszym ciągu ma jej pozwalać na takie kpiny? Nie jest ona przecież jedyną miłą dziewczyną, wystarczy aby kiwnął palcem a znajdują się inne na jej miejsce. Napił się jeszcze kawy. Trzeba wreszcie gwizdnąć na to wszystko. Między nimi jednakże... Mierzył sprawy serca miarą rozsądku. Do diabła! Trzeba z tym wreszcie skończyć i powrócić do sprawy, którą będzie się zajmował za chwilę, do sprawy najważniejszej, zasadniczej — pomyśli o tym w czasie kąpieli.

Dobra. Woda nie była nawet letnia. Wypuścił trochę wody z wanny. Dolewając świeżej, patrzył jak zahypnotyzowany niewidzącym wzrokiem, na płynący strumień. Zakręcił kurek, spróbował wodę ręką, zanurzył stopę, wyjął ją, osuszył i poszedł zażądać od telefonistki połączenia z Paryżem.

Zastukał kelner. Przyszedł zabrać tacę. Był we fraku. Mówił po francusku. Dobrze się prezentował, mógł mieć około 30 lat.

— Proszę mi powiedzieć — zapytał Blaque-Censier — o której godzinie roznoszą pocztę z Paryża?

— Już rozniesiono.

— Czy długo trwa uzyskanie połączenia z Paryżem?
Służący zrobił nic nie mówiący ruch.

— A., niech mi pan powie...

Blaque-Censier odczuł nagle potrzebę czyjejs obecności.

— Czy od dawna pracuje pan w hotelu?

— Od dziesięciu lat, proszę pana.

— To znaczy, że jest panu tutaj nienajgorzej.

Kelner uczynił ruch świadczący, że istotnie nie jest mu najgorzej.

— A... czy nie ma bezrobocia w waszym zawodzie?

Ruch jaki zastąpił odpowiedź nie był łatwy do odgadnięcia.

— Zauważyłem to — powiedział Blaque-Censier — to jest kraj spokojny.

Kelner wziął tacę i zabierał się do wyjścia.

— Jest pan za republikanami czy za demokratami?

Ramiona uniosły się w górę, drzwi otworzyły się i zamknęły.

— Być może, że jest to kraj spokojny, ale z całą pewnością nie jest to kraj rozmowny — wymruczał Blaque-Censier.

Podszedł do wanny i prawie się w niej zanurzył. Ponieważ był ciężki, woda rozprysnęła się aż na kauczkowy chodnik. Tylko trochę się oplukał. Ubierał się w pobliżu telefonu. Był wściekły na siebie samego i zmuszał się do myślenia o mającej wkrótce nastąpić rozmowie ze Steinem. Naprawdę jednak znajdował się w Paryżu w pokoju Lorety, albo na widowni „Empire“. Myśli przebiegały mu przez głowę szybciej, niż igła w ręku szwaczki. Każda z nich znikwała ledwie się pojawiła.

Znowu zadzwonił telefon. Zanim podjął słuchawkę, miał ochotę wymyślić sobie jakieś życzenie. Nic jednak nie przychodziło mu na myśl. I tak wszystko na nic. Portier zawiadomił go, że samochód pana Steina czeka przed hotelem do jego dyspozycji.

Wreszcie zszedł. Karetka pogotowia stała przy chodniku. Umieszczono w jednym pokoju trzy nierozważne osoby, zaskoczone wśród burzy, które uległy poranieniu. Otrzymały one tam pierwszą pomoc. Pozostał jeszcze tylko jeden człowiek, którego stan uniemożliwiał przewiezienie.

Blaque-Censier nie zauważył samochodu, który po niego przysła-no. Wzbudziło to w nim gniew. Goniec popędził na poszukiwanie. Wreszcie znalazł samochód i Blaque-Censier zajął miejsce.

Wichura uciszyła się. Na niebie koloru rdzy łożowane chmury obsiadły drapacze, które wyglądały jak złowrogie grzyby.

Jezdnią płynął nieprzerwany strumień samochodów. Wolna przestrzeń sprawiała wrażenie pustki.

Blaque-Censier zauważył plik gazet w kieszeni wozu. Przejrzał je jedno po drugim, rzucając okiem tylko na tytuły.

Drzwiczki otworzyły się. Szofer stał z boku z odkrytą głową. Blaque-Censier widział tylko jego czapkę. Wsunął mu 5 dolarów do ręki.

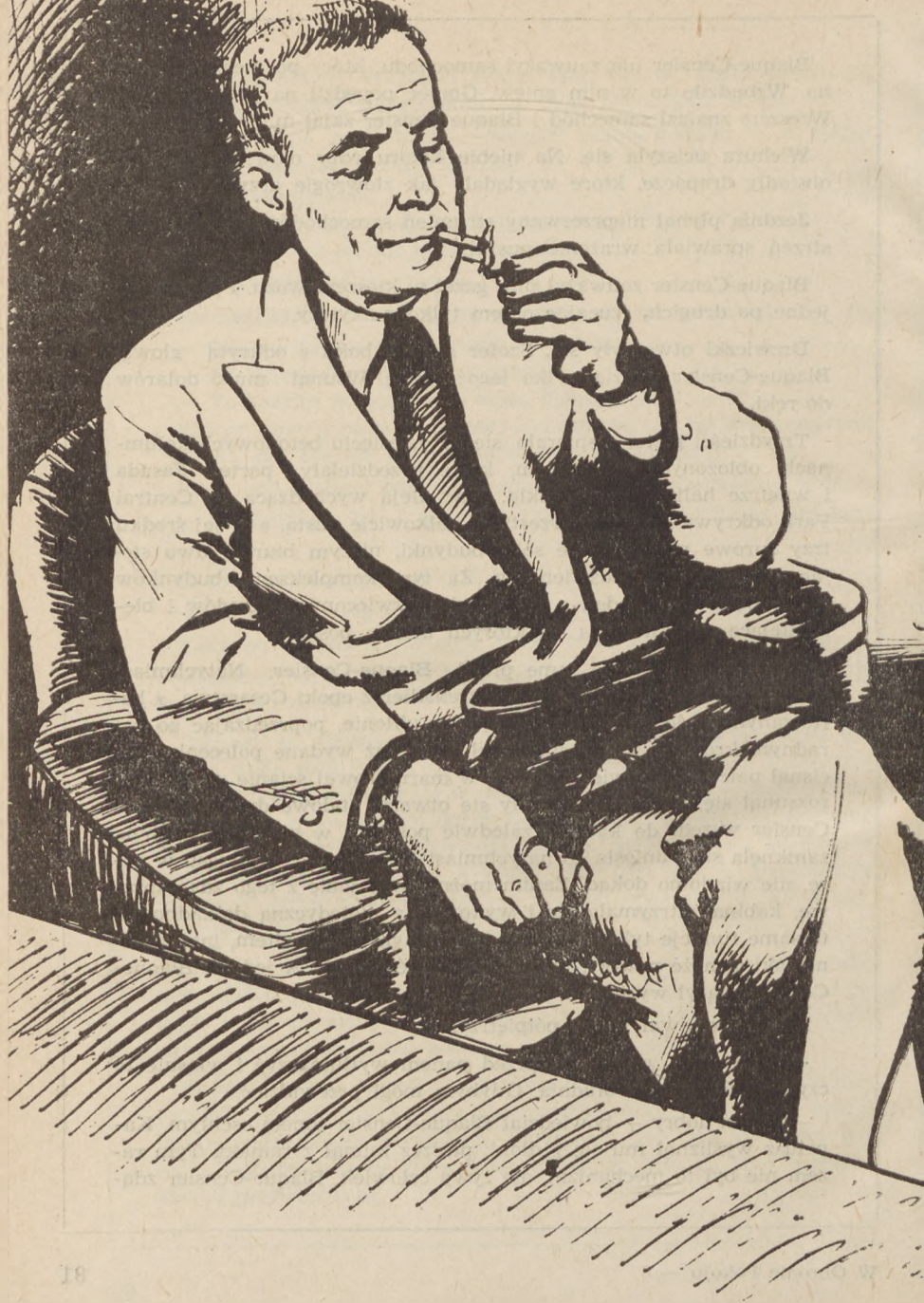
Trzydzieści pięter wspierało się na dziesięciu betonowych kolumnach, obłożonych marmurem, które przedzielały parter. Fasada i wnętrze hallu było ze szkła. Idąc aleją wychodzącą na Central Park odkrywa się nagle przestrzeń całkowicie pustą, a w jej środku trzy surowe połączone ze sobą budynki, niczym biuro i dwu stojących przed nim odzwierciedlały. Za tym kompleksem budynków rzuca się w oczy jeden z najbardziej ukwieconych ogrodów i błękitniejące sadzawki, na tle których bieleją posagi.

Drzwi otworzyły się same przed Blaque-Censier. Natychmiast zjawił się przed nim woźny, jak grenadier z epoki Cesarstwa, z haftowanymi galonami, w pół zgięty w ukłonie, poprzedzając go paradywnym krokiem. O nic nie pytał, miał już wydane polecenia. Nacisnął palcem zaledwie widoczny w marmurowej ścianie guzik. Mur rozsunał się, a za nim ukazały się otwarte stalowe drzwi. Blaque-Censier wszedł do kabiny; zaledwie postawił w niej nogę, kabina zamknęła się i uniosła go natychmiast bez szmeru i wstrząsu w górę, nie wiadomo dokąd. Zanim można było sobie z tego zdać sprawę, kabina zatrzymała się i wykonała z metodyczną dokładnością te same funkcje tylko w sensie odwrotnym co przedtem, inteligentna tak, a może nawet i bardziej — niż człowiek. A jednak Blaque-Censier zdążył wyjść.

Stein oczekiwał go na półpiętrze.

— Mój drogi, muszę się przed panem wytłumaczyć i właśnie to czynię. Wracam z Południa. Gdybym mógł przewidzieć...

— Dzień dobry — powiedział Blaque-Censier tonem oschłym. Kapeluszyk wyśliznął mu się z dłoni, płaszcz zsunął z ramion. Tym razem nie był to mechanizm, ale żywy człowiek. Blaque-Censier zdą-



zył jednak wyciągnąć z kieszeni jeden z dzienników, które zabral z samochodu.

DWIE ściany biura Steina przypominały klatkę. Były ze szkła. Rozciągał się z tej wysokości rozległy widok na miasto i niebo, na szeregi budynków i chmury. Wskutek ciekawego zjawiska załamывwania się światła, odbłask zabłąkanego słońca sprawił, że powietrze stało się gęste i nabrało koloru brudnej siarki. Życie jakby zamarło.

Klatka była obszerna, w kształcie kwadratu, o boku piętnastu metrów. Nie było w niej ani żerdzi, ani huśtawki, ani kadzi, nic poza biurkiem dwa razy dłuższym od stołu bilardowego, o nogach z nielkowanego żelaza, o blacie z szarego plastiku, z rzędem dyktafonów i telefonów. Po jednej i drugiej stronie cztery krzesła i Stein, który ze swym łysym czołem, haczykowatym nosem i cienkimi ustami, był zupełnie podobny do ptaka. Trudno było określić, czy przypominał starego orła, czy starą sowę. Jego wypukłe i nieruchome oczy przemawiały raczej za podobieństwem do sowy. Był dość barczysty, ubrany niedbale.

— Byłem na Południu, powiedział Stein. Zbliżają się wybory, a Południe jest przecież domeną demokratów, których musimy ujarzmić. Ujarzmimy ich z pomocą Eisenhowera. Kobiety głosują na wojskowych. A więc, drogi panie, dzień tu, dzień tam... Byłem nieosiągalny, pan wie...

— Jest pan skończonym kłamcą, rzekł Blaque-Censier.

Stein wybuchnął śmiechem.

— A więc, powiedział, może istotnie byłem osiągalny, lub ze swej strony mogłem się odezwać. Lecz czyż miałem wypuszczać z ręki gruby interes amerykański dla małej aferki francuskiej... Proszę siadać.

— I postaramy się być trochę szczerzy.

— Proszę mi przysłać cygara, zażądał Stein przez wewnętrzny telefon, precyzując ich gatunek. W ścianie otworzyło się okienko. Stein schwycił pudełko cygar i otwierając, podsunął je ku Blaque-Censier. Siedzieli naprzeciw siebie, po obu stronach biurka o kształtach stołu bilardowego.

— Mój drogi, rzekł Stein, spożyjmy razem lunch, lecz przedtem skończmy z naszą sprawą. Tak, mizerna to sprawa. Sprawa rzeczywiście wielka dokonuje się tutaj, pan się chyba z tym zgadza?

— Ha, odparł Blaque-Censier, nie stracił pan zwyczaju narzucać ludziom, że się zgadzają, zanim jeszcze otworzą usta.

— Każda rzecz oparta jest na pewnych podstawach, które trzeba uznać na samym początku, bez tego nie można iść dalej. Ameryka jest pańską podstawą, tak jak jest ona i nasza.

— Doskonali początek, wtrącił Blaque-Censier.

— Mój drogi, rzekł Stein wlepiając w rozmówcę swe wielkie, szypułkowate oczy,

Zatrzymał się i zaczął poprawiać krawat, który miał wyraźną tendencję do znajdowania się w niewłaściwym miejscu. A potem westchnął i zapalił cygaro. Blaque-Censier odłożył swoje na wieko dyktafonu.

— A więc w jakim celu przyszedł mnie pan odwiedzić? — zapytał Stein.

Patrzył teraz w sufit. Blaque-Censier nie odpowiedział.

— Przypominam sobie jedno spotkanie, rzekł Stein cichym głosem i wydawało się, że myśłami jest gdzie indziej. Pewnego razu natknąłem się na tutejszą dziewczynę będącą po raz pierwszy w Paryżu. Szedłem wzdłuż Pól Elizejskich. „Jak pani znajduje to miasto? — Jestem rozczarowana“. Wyglądała rzeczywiście na zadowoloną. „Z powodu czego? — Ach, odparła, te małe stare domki przy placu Vendôme!“ i dodała: „I ten mały, stary domek Auriola!“.

— I tylko jedna wieża. Eiffel.

— Istotnie.

— Cygaro moje zgasło, powiedział Blaque-Censier.

— Co takiego? — rzekł Stein, i zaraz dodał: Pan go nie zapalił.

— A więc poproszę o ogień, rzekł Blaque-Censier.

Stein wydawał się zbity z tropu. Zapalił zapalniczkę, podał ją Francuzowi i rzekł:

— Zakpił pan ze mnie.

— Niechże pan tylko sobie tego nie wyobraża, odparł Blaque-Censier.

Stein zamknął zapalniczkę, trzasnąwszy pokrywką, podrzucił ją do góry, złapał w powietrzu i powiedział:

— A więc, jesteśmy słoniem, tak słoniem. Za nami — słoniatka, które idą naszymi śladami. My otwieramy drogę.

— Podróżni, powiedział Blaque-Censier, zauważyli, że droga prawdziwych słoni (wymówił ten przymiotnik z naciskiem) jest, ogólnie biorąc, drogą najbardziej racjonalną, drogą prawdziwych słoni, powtórzył,

— A no dobrze, rzekł Stein. Wchodzimy na tory ciekawych rozgrywek umysłowych, a jesteśmy przecież mocni w tej dziedzinie, wy Francuzi, w waszych starych, małych domkach.

— Do usług, rzekł Blaque-Censier.

— Nie zaprowadziło to was daleko. Lecz Ameryka, odparł Stein, pochylając się całym ciałem nad biurkiem, Ameryka nie potrzebuje być instruowana w krzyżówkach i grze w karty. Wystarczy, że jest mocna w interesach. Zaczynam od początku. Ameryka jest waszą podstawą, bo posiada kapitał całego świata, a przemysł świata...

— I zna sposoby posługiwania się nim!

— Dowiodła tego!

— A jednak dowód wczorajszy nie jest dowodem dnia dzisiejszego ani jutra. Świat się zmienia.

Stein wstał i zbliżył się do szyby, która z powodu nadchodzącej niepogody pokryła się rosą. Amerykanin nakreślił na szybie parę krótkich linii równoległych.

— Niebo jest mocno zachmurzone z tej strony, rzekł, będziemy mieli deszcz.

Blaque-Censier podążył za nim wzrokiem. Ta strona to był wschód. Zobaczył jednym rzutem oka morze, zarys wybrzeży Francji, tak jak jest pokazany na mapach i Lorecie. Rzekł:

— To niedobrze dla tych, którzy nie mają samochodu. Wasze tramwaje i autobusy strajkują.

— Stein wykonał nagły półobrót i wrócił na krzesło. Kiwając dobrodusznie głową, powiedział:

— Jest pan dzisiaj w złym nastroju, mój przyjacielu.

— Nie w gorszym niż wczoraj. Przecież nie od dzisiaj depcze mi pan po piętach.

— Gra jest otwarta, rzekł Stein z pewnym odcieniem radości w głosie. Do pana należy pierwsze słowo.

— W tym celu przyszedłem.

— Valbert, powiedział Stein.

— Przyszedłem, by panu oznajmić, że trochę za bardzo wtrąca się pan do moich własnych interesów, panie Stein. Słoń zapewne nie ryzykuje wiele na swym własnym szlaku. Zna niebezpieczeństwa terenu, który wybrał i przygotował do swego marszu. A w każdym razie jest z tym terenem obeznany. Jednak nie znając terenów obcych, dobrze byłoby je poznać nim przybije się do ich brzegów. Otóż właśnie jestem u pana w celu zakomunikowania powyższego i udzielenia pewnych pouczeń.

Zapadło milczenie, podczas którego słychać było tylko dudnienie pierwszych kropli deszczu na szybie. Widać było wyraźnie, że Stein nie ma ochoty przerywać milczenia. Zapadł się jakby sam w siebie.

— Valbert... Trzeba się nad nim zastanowić, mówił dalej Blaque-Censier. Ten chłopak jest w ten sam sposób wciągnięty w służbę

tego ustroju społecznego, co pan i ja. Nasze cele są identyczne w tym znaczeniu, że po jednej i po drugiej stronie oceanu reprezentujemy i potwierdzamy starą zasadę, a mianowicie konieczność hegemonii kierowników ludzi. Właśnie my jesteśmy nimi. Nie wiem dobrze, panie Stein, czy kładziemy kres niewolnictwu, ale jestem pewien, że powstrzymujemy czy to upaństwowienie, czy to anarchię.

Przechodzę do porządku nad sprawami, co do których nie ma między nami różnic. Lecz byłoby nader niebezpieczne uważać, że istnieje tylko jedna jedyna metoda dla osiągnięcia tego samego celu. Metoda Valberta nie jest pańską i rezerwując sobie decyzję w stosunku do niego, muszę i chcę zwrócić panu uwagę, że metoda ta nie wyszła z lekkomyślnego mózgu. Proszę pamiętać, panie Stein, że sposoby stosowania tej metody nie są wszędzie jednakowe. Co jest prawdą dla Ameryki, może nie być prawdą dla Europy, a jeszcze dokładniej, co jest prawdą dla ludzi Stanów Zjednoczonych może nie być nią wcale dla Francuzów.

Mówiąc te słowa Blaque-Censier wyciągnął lewą rękę przed siebie prawie na całą długość; cofnął ją teraz nagle, wyprostował się i przeciągnął palcami po włosach strzyżonych na jeża. Broda Steina dotykała nieomal powierzchni biurka — wyglądał trochę na myśliwego na czatach.

— Muszę zatrzymać się na tym punkcie. Muszę panu powiedzieć, że nie należy rozpatrywać sytuacji i istot ludzkich, które są jej częścią składową, w sposób dogmatyczny. Muszę skłonić pana do zastanowienia się nad różnorodnością istot. Inaczej mówiąc, mechanik z przedmieścia Paryża ma inne reakcje niż mechanik z przedmieścia Nowego Jorku. Nie możemy po prostu pominąć poszczególnych wrażliwości, a istnieje wrażliwość...

Stein prztyknął palcami i rzekł:

— Narodowa.

— Francja, panie Stein, jest według pana starym krajem, według nas krajem, który jest już ukształtowany, natomiast pański kraj — jeszcze nie. Francja ze swymi kośćmi, ze swoim ciałem i swą krwią, stanowi organizm, który osiągnął dojrzałość. Ameryka nie osiągnęła jej jeszcze. Francuzi, słusznie czy niesłusznie, mają drażliwe sumienie. Nabyli tę cechę poprzez liczne a zmienną koleje losu, który im tę drażliwość narzucił. Sumienie Amerykanów, którzy są bardziej odosobnieni i których pochodzenie jest nowszej daty, ukształtowało się w inny sposób. Co więcej — Francuzi tworzą naród, Ameryka jest jeszcze cocktailem emigrantów. Połyka się cocktail, nie można jednak połknąć narodu. I tu właśnie zachodzi

konieczność, aby szef w swoim postępowaniu uwzględnił specyficzne cechy ludzi, którymi chce rządzić, ich odmienny stosunek do pewnych sytuacji. Zarządzanie ludźmi staje się chwilami sprawą niezmiernie delikatną. Jest ono u nas bardziej trudne niż tutaj. Pan na przykład bierze telefon...

Stein wykrzyknął: — Dwie whisky!

— Teraz pójdzcie lepiej — pomyślał Blaque-Censier. Znał od dawna tego człowieka. Był to Żyd ze Stalinogrodu, który rozpoczął swoją karierę u Czechów, w fabryce Skoda. Wyemigrował po dojściu do władzy Hitlera i szybko zajął nieźle stanowisko w Stanach Zjednoczonych. Był bardzo inteligentny, niemniej zdolny i energiczny, a prawdopodobnie dzięki swemu pochodzeniu, posiadał wybitne upodobanie do dialektyki. Blaque-Censier mówił dalej, jak gdyby nic nie usłyszał.

— A więc bierze pan telefon, łączy się pan z Paryżem i mówi pan: „Oto co macie zrobić. Weźmiecie do kieszeni odlewnię z Clichy i przeniesiecie ją do Normandii. Do widzenia“. Zapomina pan jednak o tym, że poza odlewnią istnieją jeszcze ludzie.

Okienko w ścianie otworzyło się. Stein wyciągnął rękę i wziął tacę, na której stała butelka i dwie szklanki. Postawił tacę na biurku. Okienko zamknęło się z suchym trzaskiem. Blaque-Censier:

— Bierze się jednego górnika z Alleghany i przenosi się go do Gór Skalistych, drugiego ze Śląska przenosi się do Mongolii. Takie przeszczepianie może się udać, lecz nie z ludźmi z mojego kraju. Francuz nie asymiluje nowego powietrza, które mu się narzuca. Jest tak skonstruowany, mówiłem już panu dlaczego, że chce móc wybrać sobie powietrze, którym będzie oddychał. — Przymknął na wpół oczy i poprzez rzęsy widział, jak Stein nalał whisky do szklanek, postawił jedną z nich na biurku, pochylił się, zbliżył usta do drugiej i powoli, bez wyprostowania, wypił napój do dna. Następnie brutalnym ruchem rzucił się na oparcie krzesła. Obcierał sobie wargę i szarpiąc ją, patrzył w sufit.

— Będziemy zaraz mówić o pomysłach Valberta, na temat handlu z krajami Wschodu. To o czym Was poinformował Bérout. Jeszcze na chwilę zatrzymam się na naszych właściwościach narodowych...

— Nie, powiedział Stein.

Jednym potężnym rzutem oparł się dwiema rękami na biurku i uderzył dłonią.

— Nie, jeszcze raz nie. Nie warto tracić mego i pańskiego czasu.

— Tracę go już od trzech dni w waszej mgłę, czekając na pana, powiedział Blaque-Censier spokojnym tonem. Nie będę się targo-

wał o godzinę. Spokojnie, panie Stein. Widziałem, jak się pan wznosił na szczyblach kariery. To, że pan kontroluje dzisiaj największy koncern produkcji żelaza, że osiągnął pan materialne powodzenie, nie zmusi mnie do tego, abym zapomniał o początkach pańskich sukcesów. Mój autorytet jest dawniejszy i bardziej ceniony niż pański. Chociaż jestem związany z waszym ugrupowaniem i zależny od waszych kredytów, nie ma pan jednak przed sobą człowieka, którego możecie podporządkować sobie na podstawie prawa pustego żołądka. Nie uda wam się uzależnić mnie pod żadnym względem. (Odsunął swą szklankę w stronę Steina). Pozostaje panu jeszcze dużo czasu na popijanie whisky w moim towarzystwie.

Kończąc te słowa, Blaque-Censier rozgniół koniec cygara w popielniczkę i dodał:

— Jest naprawdę bez smaku.

Następnie, bez pośpiechu, wyciągnął z jednej kieszeni papierosnicę, wyjął z niej papierosa, z drugiej kieszeni wolno wyciągnął pudełko zapalek, zapalił jedną, wziął papierosa do ust, przytknął doń zapalke, głęboko pociągnął i rzekł z miną błgiego zadowolenia:

— Nie ma nic ponad tytoń Gauloise'ów.

Stein z brodą opartą na dłoni patrzył na deszcz.

— O naszych właściwościach narodowych Valbert rozumuje jak dobry psycholog. Ja posuwam się dalej niż on z pewnością dlatego, że z uwagi na względy, które ma w stosunku do pana i pańskich przyjaciół, nie może mówić o panu z takim spokojem, z jakim ja mogę to uczynić. Pragnę po prostu zapewnić pana, że znajduje się pan na błędnej drodze, która jest wynikiem ignorancji. Lecz od chwili, kiedy zacząłem pana pouczać, ignorancja ta nie usprawiedliwia pana. Nie zwalcza się ogółu ludzi, należy się raczej doń dostosować. Pański pomysł wywracania mapy ekonomicznej naszego kraju jest nonsensem.

— Pańscy przyjaciele jednak nie czekali na pana, rzekł Stein, i włączyli się do tej akcji.

— Bardzo niewiele i z zachowaniem pewnych ostrożności, o których pan zapomina.

— Nawet radio francuskie głosi decentralizację.

— Lecz jej nie narzuca. Znale już są panu moje poglądy, panie Stein. Wychodząc więc z tego założenia, pozwolę panu wypowiedzieć się. Lecz nie będziemy działać na gorąco, nie podwyższymy temperatury. Chcę panu powiedzieć coś jeszcze. Wrażliwość ludzi zaostrza się, podczas gdy pan uważa ich za bezwładnych. Za dużo

pan się stawia, za dużo pan się miota. Ma pan w Paryżu mnóstwo ambasadorów i ministrów, generałów i żołnierzy. Wtrąca pan swój nos w większość naszych zagadnień. Pańska policja buszuje na terenie, który do niej nie należy, wchodzi nawet na nasze statki.

Proszę się mieć na baczności. Postawiliście już przeciw sobie godność narodu, godność nie tylko komunistów, lecz także liberalnej burżuazji, a wiecie chyba lub musicie wiedzieć, że polityka jest w znacznej mierze sprawą uczuć. Nie mówię już o tym, że w ten sposób lejecie wodę na młyn komunistów; protestując przeciw waszemu wdzieraniu się w nasze życie, są oni coraz bardziej uznawani przez naród, a z czasem staną mu się sympatyczni.

— Czy skończone? — zapytał Stein.

— Tak, jeżeli chodzi o wstęp.

Stein zasapał i uśmiechnął się. Począł posuwać w stronę swego rozmówcy szklankę, którą ten uprzednio mu podał. Powiedział do brodusznie:

— Jest jeszcze w butelce — lecz jej nie tknął.

— Mój przyjacielu, rzekł, nie podnosząc wcale głosu, zrozumiałem, że pan się gniewa. Doszedł pan do szczytu podniecenia. Lepiej jednak wyładować się na początku, rozjaśnia to dalszy ciąg. Odpowiem panu i postaram się zrobić to również ze zdrowym rozsądkiem, tak samo jak pan to uczynił.

Był jeszcze zgięty, lecz wyprostował się po chwili, czyniąc to z pełną opieszałością. Strząsnął z poły marynarki popiół z cygara. Z czerwonego na twarzy, jakim był uprzednio, stał się teraz szary i skromny. Powiedział monotonnym głosem:

— Polityka, zwłaszcza polityka interesów, nie może już być ani sentymentalna, ani narodowa...





Zapora goczałkowicka

STANISŁAW SŁOTWIŃSKI

STALIŚMY, to znaczy ja i mój przewodnik, młody inżynier Śmiejak, na krawędzi olbrzymiej niecki, przyciśniętej jak gdyby palcem szaro-brudnych, wiszących nisko chmur.

Przeciwniegi brzeg doliny rozplywał się w mglistym powietrzu, jakbyś patrzył przez zapotniałą szybę. Wysłana zielonym dywanem trawa dolina jest prawie całkiem pusta. Od czasu do czasu tylko, wśród paru kopolastych dębów ukrywa się jakaś chałupina. Krajobraz senny zda się i bez życia.

Właśnie przez środek tej zielonej muszli rzucono śmiało, prosto jak strzelił, wysoki na kilku chłopów wał ziemny. Zółci się on teraz ogromnymi masami gliny i piasku. To zapora goczałkowicka. Z pełni jej długości także nie można zdać sobie sprawy, bo rozplywa się w szarzyźnie, w oddali. Ma jednak chyba kilka kilometrów.

Ziemia zryta w koło. Wesoly gwizd parowozików, warkot samochodów - wywrotek przelatujących czarną pręgą żużlowej drogi. I przyspieszone co chwila pykanie traktorów z namasz-

cznieniem ciągnących brzuchate zgar-
niaki. To wszystko kontrastuje żywo
ze spokojem krajobrazu.

Tutaj już ruch wielkiej budowy,
nowoczesnej budowy. Bo maszyn du-
żo, a ludzi prawie wcale.

Wielki ziemny zapory przerywają w
dwóch miejscach szare bryły betonu,
zębate jeszcze u szczytu deskami szal-
owań. To gotowy prawie upust den-
ny i przeiewy. Tu znajdują się śluzy,
którymi odpływać będzie spokojna
już, nowa Wisła. Gdyż połowa doli-
ny, po prawej stronie zapory, za pół-
tora roku stanie się na zawsze olbrzy-
mim, większym od rożnowskiego, je-
ziora, o powierzchni 32 kilometrów
kwadratowych. A wszystko co na le-
wo odetchnie wreszcie — wolne od
groźby powodzi.

Zapora w Goczałkowicach ujarzmi
bowiem górny bieg Wisły. Gromadzić
będzie w wielkim zbiorniku masy
wód spływających po ulewnych desz-
czach z niewidocznego dzisiaj Beski-
du. Z Klimczoka, Szymbarku, Bu-
kowca. Nie będzie już ona prze-
łamywać ochronnych wałów i zale-
wać setek hektarów dobrej ziemi, do-
mów, ludzkiego dobytku. Woda nie
dojdzie do kopalni „Silesia“, która
choć odległa, cierpi jednak prawie co
rok od wylewów.

Ale gdzież jest ta groźna Wisła? —
pytam mojego przewodnika. Nigdzie
nie widzę jej połyskliwego nurtu.

Dopiero gdy uszliśmy jakiś kilo-
metr szczytem zapory zobaczyłem
„królową polskich rzek“. Pokorna,
prerażona, jak gdyby zamiarami
człowieka, powoli toczy swe wody
w płyciutkim wąwozie. Jest wąska
jak jakiś podrzędny strumyk. Nie

chce się po prostu wierzyć, że w
przeciągu kilku godzin może prze-
istoczyć się w szalejący żywioł, zno-
szący wszystko, co na jego drodze.
A potrafi tak kilka razy do roku.

„Lecz teraz bierzemy ją twardo w
karby — mówi inżynier — i nie da
nam rady nawet „stuletnia woda“, to
znaczy największy przybór jaki tra-
fić się może w ciągu stu lat“.

Inżynier mówi z zapałem. Zapora
jest już gotowa prawie w 70 pro-
centach. Przeprowadza się teraz ekra-
nowanie nasypu, to znaczy uszczel-
nianie grubą warstwą nieprzepus-
zczalnego dla wody ilu. Potem przyj-
dzie jeszcze piasek i betonowe płyty.

To co się wykonało to ogromna
praca. Nie mówiąc już o przewiezio-
nych setkach tysięcy ton ziemi na
sam trzon zapory, ileż trzeba było
wykonać drobiazgowych obliczeń, ile
czynników wziąć pod uwagę. To na
prawdę zmaganie się z przyrodą.
Przecież założenie takiego zbiornika
giganta — w stosunkowo płaskim te-
renie — zmienia od razu cały układ
wód zaskórnych, podziemnych wiel-
kiego obszaru kraju. Przyroda broni
się i grozi na każdym kroku niespo-
dziankami. Ale to jest właśnie cieka-
we, pasjonujące. W tym zmaganiu
się człowiek dopiero czuje swoją siłę,
widzi swoje możliwości. I muszę
wam powiedzieć — inżynier śmieje
się przy tym — że mogłem iść także
na studiach na inżynierię lądową.
Chyba jednak oszalałbym, gdyby tak
przyszło układać cegłę na cegle.

Przy tym jakie mamy tutaj tempo
pracy! Zbiornik na Dunajcu w Czcho-
wie, który kończyliśmy zaraz po woj-
nie, budowany był jedenaście lat. A

od goczalkowskiego jest przecież pięciokrotnie mniejszy. Tu roboty zakończy się całkowicie po czterech latach z kawałkiem. Jestem na budowie już trzy lata. Rodzinę, żonę i matkę mam daleko, aż pod Nowym Targiem. I wielokrotnie proponowano mi pracę bliżej domu. Nie pojechałem jednak. Tak zrosłem się z Goczalkowiczami. Można by mnie chyba skusić tylko budową zapory w Czorsztynie, jeszcze potężniejszej piękniejszej.

Trzeba przy tym pamiętać, że co teraz tutaj budujemy to dopiero początek. Tu się zahartujemy, opanujemy elementarz, a na dobre weźmiemy się za rogi z naszymi rzekami w pięćdziesiątce. Będzie się chciało wtedy rozdzielić, rozdzielić, żeby wszystko widzieć, wszędzie być.

Doszliliśmy do kanału burzowego. „Stuletnia woda“, jeśli się pojawi, będzie nim właśnie odprowadzana dalej w dół rzeki. Gotowe są już dwa olbrzymie stopnie żelbetowe, które uspokoją wezbrany nurt. Kończy się także roboty ziemne.

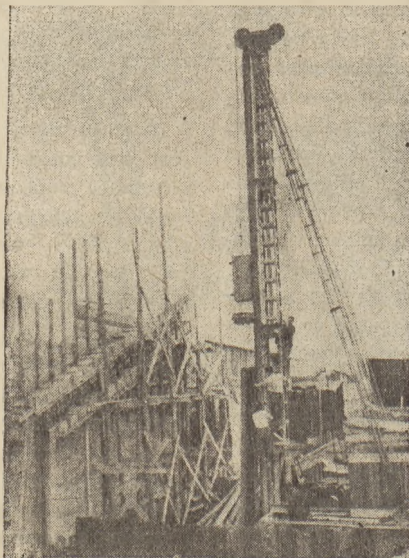
Zatrzymaliśmy się przy koparce ładującej lepki, oślizgły il na wywrotki. Spod gąsienic maszyny wystawały okute sosnowe kłocce. Rozkładają one ciężar koparki na większą powierzchnię. Bo rzadki, podmokły

grunt nie utrzymałby wielotonowego cielska.

Z budki sterowniczej zeskoczył do nas operator Piotr Kiszka. Była przerwa międzymianowa. W czarnej, ubrudzonej smarami twarzy błyszczały tylko białka oczu i szeroko odsłonięte w uśmiechu zęby. „Kolosalną robotę dzisiaj zrobiliśmy — zawołał — prawie 800 metrów sześciennych ziemi, a norma tylko 150“. (Po chwili rozmowy spostrzegłem, że „kolosalny“ to ulubione powiedzonko Kiszki. Ale czy jest się czemu dziwić. Wszystko tu przecież takie wielkie).

Z robotą muszą się teraz szczególnie spieszyć, bo gdy nadejdą przynioski i ziemia stwardnieje, wydajność będzie dużo mniejsza. Zresztą tempo pracy stale wzrasta. Jeszcze rok temu, kiedy Kiszka przyjechał na budowę z częstochowskiej huty, założył się z inżynierem Słoczyńskim o dwie butelki wina, że wykopie swoich „Skodą“ w osiem godzin 400 kubiczków tego cholernego łu. Wino rzecz jasna wygrał, a teraz doszedł już prawie do 800 metrów na dniówkę.

Tylko, że łatwo się mówi „800 metrów“. Ale z jakim uporem trzeba częstokroć walczyć o sprawy swoje i budowy. Bo biurokratów nie sieją, sami się rodzą.



Na początku na przykład była tylko jedna zwalka dla ziemi wydobytej z kanału burzowego. Kiszka nastawał, że muszą być dwie a nawet trzy zwalki, ażeby transport przyspieszyć. I tak wreszcie zrobiono. Praca poszła sprawniej.

Albo z tymi balami pod gasienice. Codziennie trzeba przypominać, że brakuje kilku. A czasu szkoda. Matka staruszcza (ma już 76 lat) musi w Chorzowie, gdzie razem mieszkają, co dzień wstawać o drugiej w nocy, żeby dla syna nałapać trochę wody. A ta leje się z kranu takim strumyczkiem, że ledwie go widać. Tak było zresztą zawsze, jak daleko tylko sięgnąć może Kiszka pamięcią. Przemysł pochłania całą prawie wodę z wątych rzeczulek Śląska.

Koledzy także zatrzymują Kiskę na ulicy i pytają, kiedy będzie woda. Bo zbiornik w Goczałkowicach poza tym, że ochronić ma szmat kraju przed powodzią, to jeszcze stanie się głównym dostawcą wody dla Śląska. W bieżącym roku, już w najbliższych

tygodniach, rozpoczęta zostanie budowa olbrzymiej stacji pomp, która rurociągiem tłoczyć będzie wodę w kierunku Stalinogrodu i rybnickiej nieckii węglowej. Będzie to praca trudna, odpowiedzialna, dorównująca prawie rozmiarami samej zaporze. Ale w rezultacie milion 800 tysięcy ludzi dostanie upragnioną wodę. Więcej także będzie jej miał do dyspozycji rozbudowujący się przemysł.

Staliśmy znowu na krawędzi ogromnej płaskiej doliny. Horyzont przetaił się już trochę i wzrok sięgał dalej. Za dwa lata będzie tu falowało olbrzymie jezioro. Z krajobrazem zrośnie się widok białych żagli, wiosennych kajaków i łodzi rybackich wlokących sieci pełne ryby. Chłop traktorem orać będzie nadjeziorną glebę, pewny, że zła woda nie odbierze mu plonu. A tam daleko, na czarnym Śląsku, stara Kiszka zanurzy pomarszczoną rękę w bijącym ostro chłodnym strumieniu wody. Życie będzie lepsze.



Zapora wodna w Goczałkowicach w budowie



ROZKWIT RADZIECKIEJ ESTONII

KRZYSZTOF ZAREWICZ

PRZED czterema laty ukończyłem szkołę przysposobienia przemysłowego i zacząłem pracować w kopalni łupków bitumicznych „Kukuruse“. Wkrótce stałem się prawdziwym górnikiem — tak opowiada o sobie młody, wysoki, barczysty, zawsze uśmiechnięty Valter Kotkas, wiertacz kopalni „Kukuruse“. — Wykonuję teraz przeszło trzy normy w ciągu zmiany. Ale i moi koledzy pracują nie gorzej. Zawdzięczamy to troskliwej opiece doświadczonych górników - majstrów, zawdzięczamy to stałej braterskiej pomocy górników Zagłębia Donieckiego, którzy dzielą się z nami swym wieloletnim doświadczeniem, zawdzięczamy to doskonałym maszynom i urządzeniom technicznym, w które fabryki Związku Radzieckiego zaopatrują

nasze kopalnie Estońskiego Zagłębia Łupkowego — kopalnie tego „brunatnego złota“ Estonii.

...Kiedyś, w czasie zebrania, na którym rozpatrywany był kolejny, któryś już tam z rzędu projekt racjonalizatorskiej Johanesa Rjachni, jednego z najzdolniejszych wynalazców Zakładów Budowy Maszyn w Tallinie, z grubej teczki, pełnej wykresów i opisów różnych pomysłów racjonalizatorskich niemłodego już robotnika, wysunęło się kilka pożółkłych kartek papieru. Johannes Rjachni przerwał na chwilę objaśnienie swego pomysłu, schylił się po leżące na podłodze schematy, podniósł je i gorzko się uśmiechnął:

— Nie dziwcie się, towarzysze, mojemu uśmiechowi — powiedział — to są schematy moich wynalazków

powstałych w latach trzydziestych. Są one dla mnie cenną pamiątką, pamiątką lat, gdy w czasie panowania burżuazji byłem wynalazcą - pechowcem, gdy na moich wynalazkach dorabiali się przedsiębiorcy, gdy wielokrotnie przychodziło mi gorzko żałować, że wymyśliłem coś nowego, coś co fabrykant umiał wykorzystać przeciw robotnikom. Schematy te chowam na pamiątkę — gdy patrzę na nie, jeszcze silniej, jeszcze głębiej czuję czym stały się w życiu każdego z nas stalinowskie pięciolatki.

...Hilda Pruul jest córką rybaka z dalekiej wyspy Muchu. Ojciec jej, rybak z dziada pradziada, ledwie umiał czytać i pisać — całe życie prze-

kołatał w biedzie. Gdy nad starym miastem Tartu powiały czerwone sztandary, przed Hildą, przed tysiącami takich jak ona dzieci ludzi pracy, stały otworem sale wykładowe szkół, uniwersytetów, instytutów. Hilda Pruul zaczęła się uczyć — dziś wchodzi już w życie z dyplomem akademii gospodarstwa wiejskiego w ręku.

Czy jeszcze 13 lat temu było możliwe, by Valter Kotkas stał się tak szybko znanym w całej republice wiertaczem, by wynalazki i pomysły racjonalizatorskie Johanesa Rjachni służyły społeczeństwu nie tylko Estonii, ale całego Związku Radzieckiego? Czy było do pomyślenia, by



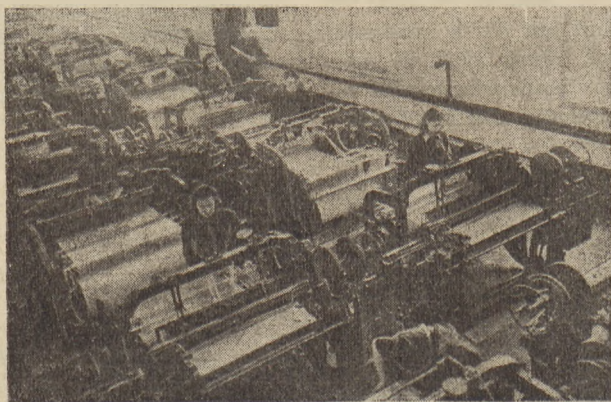
W stolicy Estońskiej SRR Tallinie w szybkim tempie rozwija się budownictwo mieszkaniowe, a wraz z nim — odbudowa starych zabytkowych budowli o historycznym znaczeniu. Na zdjęciu: ulica Wiru z odrestaurowanymi basztami.

Hilda Pruul, córka prostego rybaka, ukończyła wyższą uczelnię? Nie, za czasów, kiedy Estonia była republiką burżuazyjną, było to niemożliwe.

Tak samo niemożliwe jak to, by Karl Isak, Otto Wjansała, Aurelia Saar czy Maria Pal i wielu innych czołowych rolników nosiło z dumą tytuły Bohaterów Pracy Socjalistycznej, jak niemożliwe było to, żeby kilkunastu estońskich chłopów było odznaczonych Orderem Lenina, jak

cym około jednego miliona mieszkańców było 30 tysięcy bezrobotnych, gdy na ulicach miast roiło się od głodnych dzieci, sprzedających gazety i zapalki.

W pamiętnym lipcu 1940 r. lud estoński zrzucił jarzmo ucisku. Estonia weszła w skład wielkiej rodziny wolnych republik radzieckich. Estoński lud ujawnił władzę w swoje ręce. dowiódł, że to co było dla burżuazyjnej kliky „niemożliwe“ jest



Oddział fabryki „Bałtycka Manufaktura“, odbudowany i zaopatrzony w nowoczesne maszyny radzieckie.

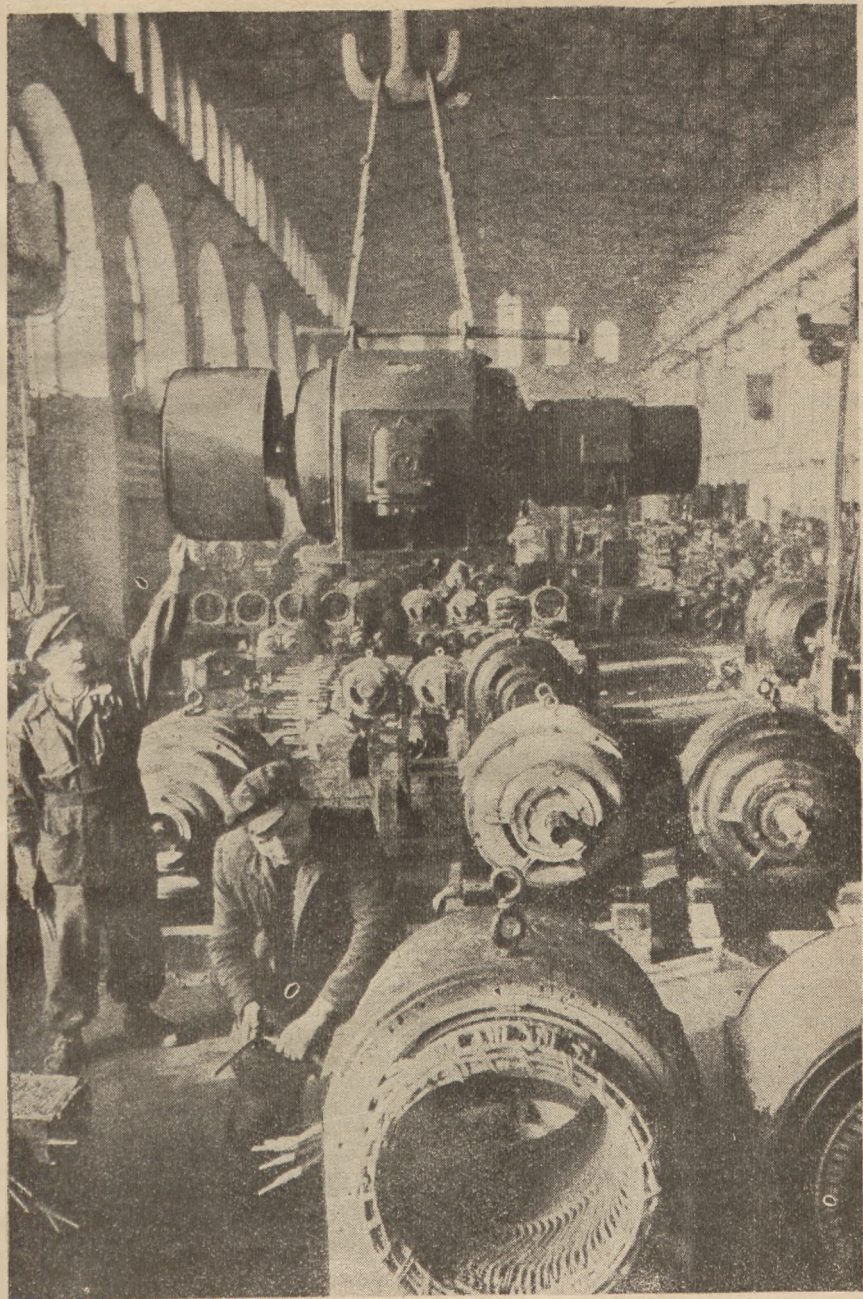
to, żeby w estońskim rolnictwie pracowało dwa i pół tysiąca specjalistów — absolwentów wyższych uczelni i szkół specjalnych.

Koszmarną, daleką przeszłością zdają się dziś być dla estońskich robotników i chłopów, dla estońskiej inteligencji pracującej tak przecież niedawne lata, gdy krajem rządili kapitaliści i burżuazja, gdy Estonia była właściwie biedną, zacofaną, rolniczą półkolonią, wyzyskiwaną przez angielski i niemiecki kapitał, gdy zamknięto fabryki, gdy w kraju liczą-

dla wolnego, radzieckiego społeczeństwa rzeczą w pełni wykonalną.

Wielkie budownictwo stało się podstawą nowego życia estońskiego narodu. Wyrastały fabryki, kopalnie, domy. Rozwinał się, stał się pięknym, socjalistycznym miastem starodawny Tallin, rozrosło się stare uniwersyteckie Tartu, powstała ze zgliszcz Narwa, w której w chwili

Hala fabryki budowy maszyn elektrycznych „Bolta“



wyzwolenia wojska radzieckie odnalazły tylko dwóch cudem ocalałych mieszkańców. Dymią kominy nowych fabryk, płonie światło w domach nowych miast: Kõhla, Jarve, Iychvi, Kivili, Achme.

Wyrosły wielkie zakłady przetworcze łupku w Kõhla - Jarve, dwustukilometrowym rurociągiem popłynął gaz do Leningradu. W słynnych manufakturach

Krenholmskiej i Bałtyckiej ustawiono długie szeregi automatycznych, nowoczesnych maszyn tkackich — widnieją na nich plakietki zakładów moskiewskich, leningradzkich, taszkienckich, talskich, kołomieńskich. Na tych maszynach, przysłanych z różnych miast Związ

ku Radzieckiego, sprawne ręce estońskich tkaczek przędą pierwszorzędne, wysoko jakościowe materiały z uzbekkiej i kazachskiej bawełny. Tętni życiem i gwarem wielki port w Tallinie. Suną po polach traktory i maszyny rolnicze. I tak jest to wszędzie — od jeziora Pejpus do Morza Bałtyckiego — wszędzie, na całej estońskiej ziemi widać twórczą wyteżoną pracę, welaż rosnący dobrobyt.

Wystarczy przejechać dziś po drogach Estonii, wystarczy spojrzeć na mijane co chwila żółte strzałki dro-

gowskazów: kolchoz „Nowe Życie“, kolchoz „Jasna Droga“, kolchoz „Czerwona Gwiazda“, wystarczy przyrzeć się uważnie wielkim masynom pól, by przekonać się, że cała estońska wieś wkroczyła już na drogę

zespołowej, przodującej gospodarki.

Ta sama ziemia, ten sam co dawniej, północny kraj obraz, te same polodowcowe moreny, granitowe głazy, laski, łąki, jeziora. takie same. jak dawniej białe noce w lipcu — a jednak ileż można wszędzie zobaczyć ogromnych zdumiewających przemian. Na bagnistych łąkach pałają pod uderzeniami maszyn krzewy i drzewka, koparki i specjalne maszyny wy-

cinają długie kanały odwadniające.

Znikają bagna — odwieczna klęska estońskiego rolnictwa, znikają z woli ludzi, realizujących wielki stalinowski plan przeobrażenia przyrody.

Nie widać już rozrzuconych dokoła, samotnych chutorów — wyrastają duże, kolchozowe wsie z elektrowniami, szkołami, klubami, dużymi fermami hodowlanymi, solidnymi zabudowaniami gospodarskimi.

Dzięki nauce w wyższych uczelniach Związku Radzieckiego mogły tysiące Estończyków stać się kie-



Estońscy rybacy wracają z obfitym połowem

rownikami przedsiębiorstw, nauczycielami, agronomami, uczonymi, świetnymi wychowawcami wielotyśięcznych rzesz estońskiej młodzieży, estońskich ludzi pracy.

Dzięki pomocy całego Związku Radzieckiego, dzięki polityce Partii Komunistycznej i Rządu Radzieckiego estońscy robotnicy, górnicy, kolchoźnicy, rybacy, uczeni, inżynierowie zwycięsko realizują zadania nowego planu pięcioletniego: zwiększają wydobycie ropy, przeprowadzają gaz

do Tallina, rozbudowują przemysł maszynowy, elektro-mechaniczny i chemiczny, zwiększają produkcję superfosfatu, budują więcej okrętów, wznoszą wielką Narwską Elektrownię Wodną, osuszają błota, zwiększają hodowlę, powiększają plony zbóż, zwiększają połowy ryb, rozbudowują koleje i szosy.

Estońska Socjalistyczna Republika Radziecka pewnie kroczy drogą budownictwa komunizmu.



Wesoło bawią się dzieci jednego z przedszkoli w Tallinie

FAKTY

Komentarze



ODWETOWCY PODNOSZĄ GŁOS

ZWYCIĘSTWO Adenauera w wyborach wrześniowych powszechnie ocenione zostało jako wzmożenie w Niemczech Zachodnich reakcyjnego kursu nacjonalistycznego, opartego na dążeniach odwetowych i rewizjonistycznych. Potwierdził to zresztą skład nowego rządu Adenauera, w którym zasiada szereg wypróbowanych hitlerowców. Są wśród nich tacy „zasłużeni”, jak Obersturmbannführer SS — Waldemar Kraft, który szlify esesowskie zdobył w Poznaniu; jak Hauptsturmführer SS — Theodor Oberlaender; jak członek SS i kierownik szkolenia hitlerowskiego w Dresdner Bank — Viktor Emanuel Preusker; jak Fuehrer SA i doradca prawnego osławionego bankiera hitlerowskiego Schachta — Gerhard Schroeder; jak hitlerowski „Treuhänder” kopalń w Czechosłowacji, a przedtem dyrektor kopalń Hohenlohengo na Śląsku — Christoph Seeböhm. Taki skład rządu Adenauera stanowi wymowne potwierdzenie agresywnego, odwetowego charakteru nowego rządu.

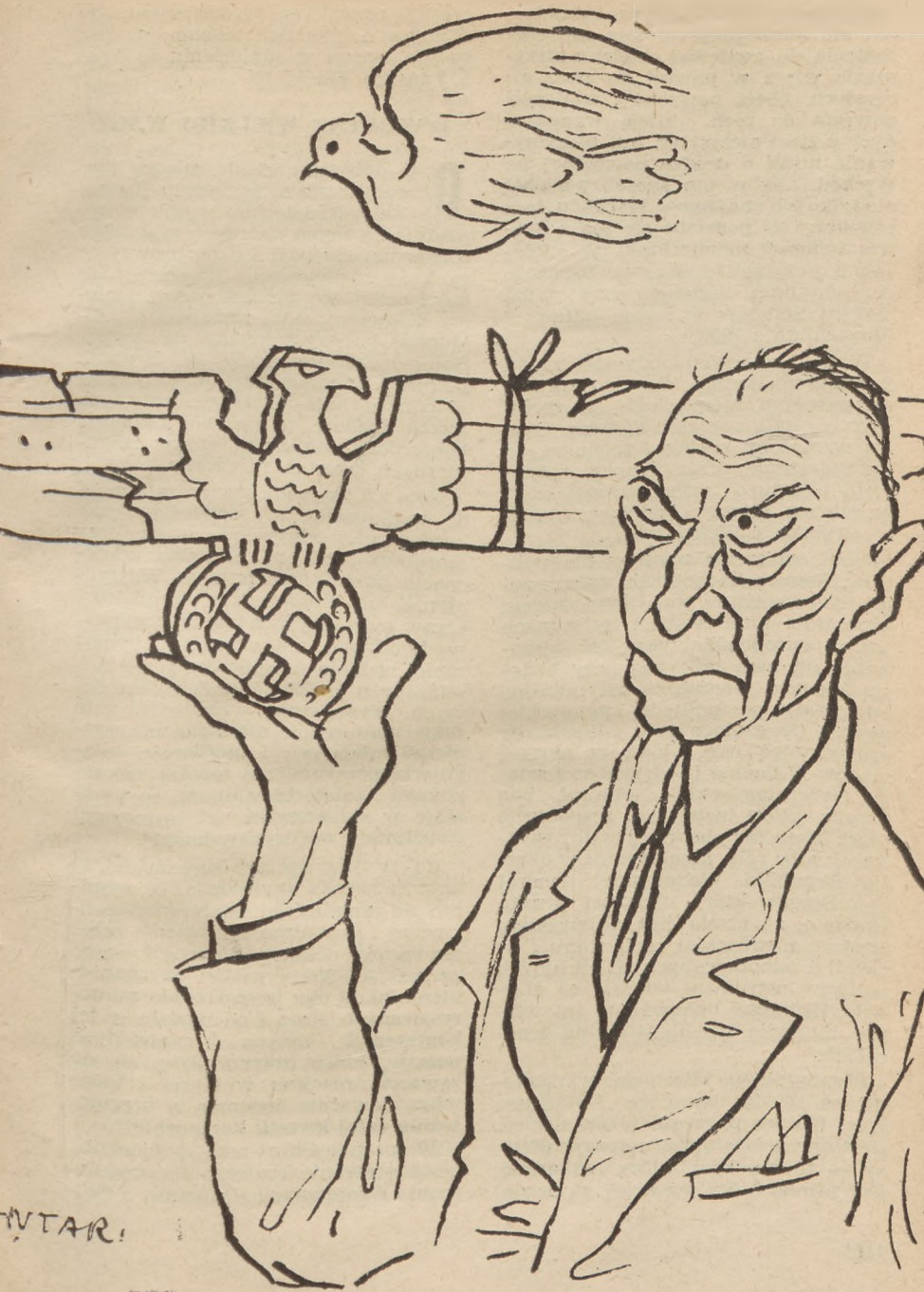
W imperialistycznym programie Adenauera główną rolę odgrywa proklamowanie dążenia do zmiany granicy na Odrze i Nysie. Adenauer co prawda na razie twierdzi, że rząd jego bynajmniej nie nosi się z zamiarami osiągnięcia nowych granic przez

użycie siły zbrojnej, ale nie ma żadnych podstaw do dawania tym zapewnieniom wiary. Faktem jest, że do obecnej koalicji rządowej należy również organizacja polityczna Niemców przesiedlonych z polskich i czeskich ziem odzyskanych Bund der Heimatlosen und Entrechteten, w skrócie BHE, z ramienia której w rządzie zasiadają Waldemar Kraft jako minister bez teki i Theodor Oberlaender jako minister dla spraw przesiedleńców. Tylko dzięki udziałowi w rządzie BHE, Adenauer zapewnił sobie w Bundestagu niezbędną dla zmian w konstytucji większość dwóch trzecich głosów. BHE będzie więc wywierała na rząd Adenauera poważny wpływ.

Charakterystyczne dla zamiarów BHE w rządzie Adenauera było ogłoszone 4 listopada przemówienie nowego ministra dla przesiedleńców, Oberlaendera przez radio bawarskie. Oberlaender powiedział: „**Oświadczenie rządowe** (chodzi o exposé Adenauera — przyp. aut.) **podkreślało niedwuznacznie prawo do terenów położonych na wschód od Odry i Nysy. Biorąc poważnie pod uwagę prawo do ziemi ojczystej, wysiedleńcy mają**

„*Polowanie z sokółkiem*”

rys. Jantar



NTAR.

obowiązek tylko czasowego urzędzenia się (einzugliedern), ale nie roztopienia się, ponieważ chodzi o utrzymanie wiary w powrót do ziem ojczystych, chęci powrotu i zdolności powrotu do nich. Misją wypędzonych z ziem ojczystych jest utrzymywanie myśli o drodze powrotnej na Wschód, aby w ten sposób pogłębić nie tylko ich znajomość Wschodu, lecz również, by podzielić się nią z ogółem ludności niemieckiej". W odniesieniu do kwestii sudeckiej Oberlaender wysunął żądanie rozwiązania kwestii Sudetów w sensie układu z Monachium z 1938 r.

Tendencje rewizjonistyczne rządu Adenauera łączą się ze sprawą wskrzeszenia niemieckich sił zbrojnych i remilitaryzacji Niemiec. Stąd też wzmożony nacisk Adenauera na przyspieszenie przez Francję ratyfikacji układu o „armii europejskiej”, w ramach którego Adenauer zamierza wskrzesić Wehrmacht.

Jakie znaczenie miałoby dla polityki Niemiec Zachodnich wskrzeszenie Wehrmachtu pod dowództwem generałów hitlerowskich, w ramach „armii europejskiej” czy też niezależnie od niej, tego nas uczy historia Niemiec. Niemieckie siły zbrojne odgrywały w polityce niemieckiej zawsze decydującą rolę. Wystarczy przypomnieć rolę, jaką w okresie rządów Wilhelma II odegrał szef sztabu floty niemieckiej, admirał von Tirpitz, który inspirował rozpoczęcie przez Niemców pierwszej wojny światowej; albo rolę, jaką odegrał w okresie Republiki Weimarskiej generał von Seeckt, który utrzymał pruską tradycję, że armia jest najwyższym stróżem niemieckiej racji stanu i uczynił z odbudowanych sił zbrojnych potężny instrument władzy, co ułatwiło Hitlerowi opanowanie tej władzy, z chwilą gdy oparł się na generałach.

Słynne słowa Mirabeau, wypowiedziane 165 lat temu, że „La Prusse n'est pas un pays qui a une armée, c'est une armée qui a un pays” (Prusy — to nie kraj, który ma armię, lecz armia, która ma kraj), są dzisiaj

równie prawdziwe w odniesieniu do Niemiec Zachodnich Adenauera, jak były wówczas w odniesieniu do Prus Fryderyka Wielkiego.

DOKUMENT WIELKIEJ WAGI

DO odbywającej się między mocarstwami zachodnimi a Związkiem Radzieckim wymiany poglądów na temat spornych zagadnień międzynarodowych i dróg prowadzących do rozładowania napięcia międzynarodowego, doszedł nowy, doniosły dokument: nota radziecka z 3 listopada br., wystosowana do rządów Stanów Zjednoczonych, W. Brytanii i Francji w odpowiedzi na otrzymane 18 października identyczne noty tych trzech rządów w sprawie zwołania konferencji ministrów spraw zagranicznych czterech mocarstw.

Nota z 3 listopada stwierdzała przede wszystkim, że separatystyczne konferencje, odbywane przez trzy mocarstwa, jak na przykład konferencja trzech mocarstw w Waszyngtonie, lub konferencja ministrów spraw zagranicznych trzech mocarstw w Londynie, nie ułatwiają bynajmniej zadania uregulowania nie rozwiązanych problemów międzynarodowych. „Przeciwnie — stwierdza nota — takie konferencje nie mogą nie ograniczać inicjatywy i możliwości osiągnięcia porozumienia między mocarstwami zainteresowanymi, co pozostaje w sprzeczności z wymogami współpracy międzynarodowej”.

Co się tyczy sprawy koreańskiej, to nota radziecka stwierdziła, że zebranie się koreańskiej konferencji politycznej i skuteczne załatwienie przez nią sprawy pokojowego uregulowania przyszłości Korei zależy od „uzgodnienia akcji obu bezpośrednio zainteresowanych stron i od udziału w tej konferencji innych neutralnych państw, które przyczyniłyby się do zawarcia rozejmu w Korei i które mogą poważnie dopomóc w uregulowaniu całej kwestii koreańskiej”.

W sprawie Chin nota stwierdziła, że ignorowanie konieczności uregulowania wzajemnych stosunków z Chi-

nami Ludowymi i niedopuszczania ich na zasadzie całkowitego równouprawnienia do udziału w rozwiązywaniu najpilniejszych zagadnień międzynarodowych, oznacza przyczynienie się do dalszego utrzymania napięcia międzynarodowego. Celem złagodzenia tego napięcia nota radziecka proponowała zwołanie konferencji ministrów spraw zagranicznych pięciu mocarstw.

Nota radziecka stwierdziła także, że „nie można rozpatrywać problemu niemieckiego niezależnie od innej doniosłej kwestii, związanej bezpośrednio z bezpieczeństwem Europy, a mianowicie sytuacji, jaka wytworzyła się w związku z coraz większą rozbudową sieci amerykańskich baz wojskowych na terytorium niektórych państw europejskich”. Nota stwierdziła, że amerykańskie bazy wojenne utworzone zostały — poza Niemcami Zachodnimi oczywiście — na terytorium Anglii, Francji, Włoch, Turcji, Grecji, wskazując na to, że Stany Zjednoczone tworzą swoje bazy głównie na obszarach w pobliżu granic Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej, co dowodzi, że bazy te są przeznaczone dla agresywnych celów.

Składną wiadomo, że same tylko bazy lotnicze Stany Zjednoczone utworzyły na całym świecie w 49 krajach, że poza granicami Stanów Zjednoczonych stacjonują w 27 krajach wojska amerykańskie. W samej tylko Francji i Afryce Francuskiej Stany Zjednoczone zbudowały ponad 50 baz lotniczych. Właśnie m. in. dlatego nota radziecka stwierdza, iż „nikt nie będzie mógł twierdzić, że blok północno - atlantycki stawia sobie cele obronne”.

Realizowanie planów remilitaryzacji Niemiec Zachodnich w oparciu o amerykańskie bazy wojenne powoduje — jak stwierdziła nota — „zagrożenie bezpieczeństwa Związku Radzieckiego i szeregu innych państw, co prowadzi do dalszego zaostrzenia napięcia w sytuacji międzynarodowej i zwiększa groźbę nowej wojny

światowej”. „Uregulowanie problemu niemieckiego — głosiła przeto nota radziecka — związane jest nierozdzielnie z uregulowaniem sprawy likwidacji wspomnianych baz wojskowych”. „Z jednej strony proponuje się rozpatrzenie na konferencji problemu niemieckiego — pisała nota — a z drugiej strony podejmuje się jednocześnie kroki zmierzające do spowodowania ratyfikacji układów z Paryża i Bonn”. Rząd radziecki stwierdził wobec tego, że „ratyfikacja wymienionych układów i wejście ich w życie uniemożliwi odbudowę Niemiec jako zjednoczonego państwa i przez to samo czyni również bezprzedmiotowym omówienie kwestii niemieckiej na konferencji ministrów spraw zagranicznych czterech mocarstw, gdyż konferencja tego rodzaju byłaby skrępowana uzgodnionymi uprzednio separatystycznymi zobowiązaniami trzech mocarstw i bolskiego rządu Adenauera w sprawie wciągnięcia Niemiec Zachodnich do bloku północno-atlantyckiego i utworzenia zachodnio - niemieckiej armii odwetowej”.

Rząd radziecki ponowił swoją poprzednią propozycję zwołania konferencji pięciu mocarstw, proponując, by na tej konferencji ministrowie spraw zagranicznych Stanów Zjednoczonych, W. Brytanii, Francji, Chińskiej Republiki Ludowej i Związku Radzieckiego rozważyli środki złagodzenia napięcia w stosunkach międzynarodowych, zaś ministrowie spraw zagranicznych Stanów Zjednoczonych, W. Brytanii, Francji i Związku Radzieckiego omówili problem niemiecki, łącznie ze wszystkimi propozycjami wysuniętymi w toku przygotowań do konferencji.

KONFERENCJA PRASOWA MINISTRA MOŁOTOWA

NA NEGATYWNE reakcje rządów imperialistycznych w związku z notą radziecką z 3 listopada, a zwłaszcza wypowiedź Eisenhowera, który twierdził, iż rzekomo „nota radziecka nie wyraża

żadnego zamiaru wspólnego spotkania", odpowiedział radziecki minister spraw zagranicznych Mołotow na konferencji prasowej w dniu 13 listopada. „Wystarczy przypomnieć, iż rząd radziecki tylko w ostatnim czasie trzykrotnie już stał wobec rządów Stanów Zjednoczonych, W. Brytanii i Francji zagadnienie zwołania konferencji ministrów spraw zagranicznych: 4 sierpnia, 28 września, 3 listopada" — podkreślił Mołotow. — „Konferencja ministrów spraw zagranicznych jest niezbędna i pożyteczna, jeżeli zwołanie takiej konferencji będzie miało na celu złagodzenie napięcia w stosunkach międzynarodowych" — oświadczył radziecki minister spraw zagranicznych. Ale inne stanowisko zajęły rządy mocarstw zachodnich. „Odmawiają one" — oświadczył Mołotow — „rozpatrzenia sprawy złagodzenia napięcia w stosunkach międzynarodowych, a omówienie problemu niemieckiego chcą podporządkować nie zadaniom przywrócenia jednności Niemiec na zasadach pokojowych i demokratycznych, lecz zadaniom przyspieszenia ich remilitaryzacji".

Mówiąc o polityce mocarstw zachodnich w stosunku do Niemiec, Mołotow stwierdził, że polityka ta „nie ma nic wspólnego z interesami przywrócenia jednności narodowej Niemiec, nie mówiąc już o zapewnieniu bezpieczeństwa w Europie". Mołotow ostrzegł, że „zremilitaryzowane Niemcy Zachodnie, znalazłszy się ostatecznie w rękach wczorajszych hitlerowców i innych odwetowców przemówią własnym językiem militarystycznym, przekształcą się w niebezpieczne ognisko nowej agresji, z czym nie wolno się nie liczyć, jeśli istotnie dbamy o bezpieczeństwo Europy".

Precyzując w konkluzji propozycję rządu radzieckiego, Mołotow wyjaśnił, że „propozycja ta oznacza, po pierwsze — że w konferencji powinni wziąć udział wszystkie wielkie mocarstwa bez jakiegokolwiek wyjątku, po drugie — że uczestników konferencji nie wiąże z góry zobowią-

zanie ograniczenia się do rozpatrzenia jakiejś jednej tylko spornej kwestii międzynarodowej, lecz że mogą porozumieć się co do rozpatrzenia jakiegokolwiek palącego problemu, jeśli uzna się, że uregulowanie tego problemu przyczyni się do rozładowania napięcia w stosunkach międzynarodowych".

Propozycje radzieckie zostały przychylnie powitane przez wszystkie narody zainteresowane w pokojowym uregulowaniu problemu niemieckiego. Znalazły one również całkowite poparcie narodu polskiego, który jest żywo i zainteresowany w niedopuszczeniu do odrodzenia odwetowych sił w Niemczech Zachodnich. Całkowite poparcie dla radzieckich propozycji, zmierzających do odprężenia międzynarodowego w ogólności i do pokojowego uregulowania sprawy Niemiec w szczególności, wyraża nota Rządu PRL z 19 listopada do rządów Francji, Belgii, Norwegii, Holandii, Danii i Luksemburga.

KONFERENCJA NA BERMUDACH

PLANOWANA pierwotnie siedem miesięcy temu konferencja szefów rządów trzech mocarstw zachodnich na Bermudach dochodzi obecnie do skutku. Eisenhower, Churchill i Laniel spotkać się mają na Bermudach między 4 a 8 grudnia. Zapowiedziano, że w tym składzie rozpatrzone zostaną wszystkie zagadnienia międzynarodowe, obchodzące wspólnie trzy mocarstwa.

Lista tych zagadnień jest długa. Na porządku dziennym na Bermudach znajdzie się więc ta sprawa, która wywołuje w łonie mocarstw imperialistycznych najwięcej nieporozumień i trudności, a mianowicie zagadnienie tak zwanej „jedności atlantyckiej", to znaczy — sprawa rosnących sprzeczności w Organizacji Paktu Północno - Atlantyckiego. W zakresie tych spraw wchodzi w pierwszy rzędzie kwestia przyszłości „armii europejskiej", której szanse realizacji wobec oporu, jaki ujawnia pod presją narodową francuskie

Zgromadzenie Narodowe, ociągające się z ratyfikacją układu o tak zwanej „europejskiej wspólnotcie obronnej“, znalazły się pod znakiem zapytania. Wchodzi też spór między Francją a Niemcami Zachodnimi o Saarę, bo wbrew od uregulowania sprawy Saary w myśl postulatów francuskich rząd francuski uzależnia swój stosunek do „armii europejskiej“ i w ogóle do Niemiec Zachodnich. Wchodzi w to kwestia stosunku trzech mocarstw do Niemiec Zachodnich, zwłaszcza dlatego, że w razie niepowodzenia „armii europejskiej“ Stany Zjednoczone gotowe są przystąpić do tworzenia samodzielnego odwetowego Wehrmachtu, co wywołuje zastrzeżenia nie tylko we Francji, ale i w W. Brytanii. Innym kompleksem zagadnień są sprawy przyszłości całych Niemiec.

Z tymi wszystkimi sprawami łączy się nierozzerwalnie stosunek mocarstw zachodnich do Związku Radzieckiego, a wszak wiadomo, że w sprawie rokowań trzech mocarstw zachodnich ze Związkiem Radzieckim istnieją w łonie mocarstw zachodnich pewne rozbieżności.

Sprawę „jedności atlantyckiej“ podważa również problem stosunku do Chin Ludowych, uznanych przez W. Brytanię, a nieuznawanych przez Stany Zjednoczone, podczas gdy Francja gotowa byłaby zgodzić się na porozumienie z Chinami Ludowymi, o ile prowadziłoby ono do znalezienia drogi rozwiązania sprawy zakończenia wojny w Indochinach, prowadzonej dzisiaj przez Francję pod presją amerykańską.

Minister spraw zagranicznych ZSRR, Mołotow w swoim wywiadzie, udzielonym 13 listopada przedstawicielom prasy radzieckiej i zagranicznej, mówiąc o konferencji trzech mocarstw na Bermudach, powiedział: „Tej specyficzne cele i sam separatystyczny charakter tej konferencji w żaden sposób nie mogą zapewnić rozwiązania problemów, związanych z koniecznością rozładowania napięcia w sytuacji międzynarodowej.

Konferencje tego rodzaju, mające charakter przeciwstawiania jednych państw innym państwom, mogą także ostrzegać Mołotow — doprowadzić do rezultatów wręcz przeciwnych, a nawet przyczynić się do dalszego wzmożenia napięcia w stosunkach międzynarodowych“.

Żądanie konferencji na Bermudach wywołało niejednorodną reakcję na Zachodzie. W każdym z trzech krajów głosy prasy stanowiły odbicie rozbieżności, jakie zachodzą w aktualnych sprawach pomiędzy Waszyngtonem, Londynem i Paryżem.

W Ameryce potraktowano zapowiedzianą konferencję na Bermudach jako jeszcze jeden środek nacisku dla zrealizowania celów amerykańskiej imperialistycznej polityki. Waszyngtoński korespondent „New York Times“, Reston, uchodzący za tubę Departamentu Stanu, stwierdził, że „głównym tematem rozmów na Bermudach będą polityczne problemy związane z układem o armii europejskiej“. „W związku z tym USA i W. Brytania — pisze Reston — niewątpliwie jasno oświadczą Lanielowi, że ich rządy zdecydowane są włączyć uzbrojone Niemcy Zachodnie do obrony zachodniej Europy na tej czy innej drodze“.

„Jeżeli w Zachodniej Europie opór przeciwko ratyfikacji układu paryskiego nie osłabnie — ujawnił niedawno główny korespondent europejski „New York Times“, Sulzberger — Stany Zjednoczone podpiszą z Niemcami Zachodnimi separatystyczny pakt wojskowy“. A źródła prasowe w NRD doniosły niedawno, że tego rodzaju tajne porozumienie, dotyczące zorganizowania Wehrmachtu jako samodzielnej narodowej armii Niemiec Zachodnich, zostało już między Adenauerem a Eisenhowerem w zasadzie zawarte.

Co się tyczy opinii francuskiej, to — jak ujawnił paryski korespondent Reutera — rząd francuski został decyzyjnie anglo-amerykańską zaskoczony. „Podczas gdy W. Brytania i Stany Zjednoczone — pisał korespon-

dent Reutera — będą naciskać na Francję w kierunku ratyfikowania układu o armii europejskiej, to nie ulega wątpliwości, że Francuzi zażądają mocniej niż kiedykolwiek wspólnej akcji Zachodu na rzecz zakończenia wojny w Indochinach. W Paryżu mówi się, że Francuzi zgodzili się pojechać na Bermudy jedynie pod warunkiem uzyskania poparcia ze strony mocarstw anglosaskich dla ewentualnych kroków ku zawarciu rozejmu w Indochinach — oświadczył korespondent. Odbiciem niezadowolenia, wywołanego we Francji decyzją odbycia konferencji na Bermudach, jest miarodajny dla burżuazyjnej opinii politycznej Paryża „Monde“, który, stwierdzając, że konferencja odbędzie się pod znakiem status quo w napięciu międzynarodowym, które nie uległo ostatnio złagodzeniu, zapytywał: „Czy doprawdy konieczne jest spotkanie Churchilla, Eisenhowera i Laniel, aby przyjąć do wiadomości ten zniechęcający stan rzeczy? Jakie decyzje mogliby oni powziąć w związku z problemem niemieckim? Czy chodziliby o wprowadzenie w życie układu ogólnego z Bonn bez czekania na ratyfikację układu paryskiego? Czy mianoby postawić na porządku dziennym rewizję statutu okupacyjnego Niemiec Zachodnich? Do tego celu nie potrzeba fatygować trzech szefów rządów“ — konkludował „Monde“. A Pertinax, skarżąc się na łamach „France Soir“ na brak konsultacji Churchilla i Eisenhowera z Lanielem i Bidault przy ustalaniu konferencji na Bermudach, pisał: „Dlaczego Churchill ujawnił taki pośpiech? Chodzi o to, że Rada Atlantycka zebrać się ma 14 grudnia, a Eisenhower i Churchill pragną, aby do tego czasu, a może nawet i wcześniej, znikła niepewna sytuacja w sprawie ratyfikacji układu o armii europejskiej. Bidault i Laniel zostali wezwani na Bermudy tylko w tej sprawie. Konferencja bermudzka — stwierdził Pertinax — została z radością powitana przez Adenauera, bo Francja nareszcie zostanie przyciśnięta do muru“.

DEBATA WE FRANCJI

TYMCZASEM we Francji wzrasta opór przeciwko ratyfikacji układu o armii europejskiej“. Dla obaw francuskiej burżuazji przed hegemonią Wehrmachtu znamienne było wystąpienie de Gaulle'a, który na konferencji prasowej powiedział o układzie paryskim: „Oto dokument, który doprowadza do poważnego skłócenia Francji, który pozbawia ją suwerenności, który gwałci jej tradycje i zmusza ją do oddania swoich dzieci organizacji, jaka bronić będzie spraw, które być może nie będą wcale jej sprawami. W jaki sposób prowadzone były pertraktacje w sprawie tego układu? Urzędy państwowe, parlament, opinia nie były zupełnie konsultowane. Tekst układu nie został nikomu pokazany przed jego podpisaniem, tak jak gdyby chwilowi posiadacze tek ministerialnych oznaczali Francję“. Ministrowie gaulliści zagrozili, że ustąpią z rządu, gdyby Laniel i Bidault podjęli na Bermudach jakiegokolwiek zobowiązania w sprawie ratyfikacji układu paryskiego.

W sprawie tej Zgromadzenie Narodowe odbyło dwa tygodnie przed konferencją na Bermudach doniosłą debatę. Bidault i inni zwolennicy „armii europejskiej“ usiłowali wykorzystać tę debatę dla wzmocnienia swej pozycji i uzyskania wolnej ręki podczas obrad na Bermudach. Debata ujawniła, jak silny jest opór przeciwko ratyfikacji układu o „armii europejskiej“ w Zgromadzeniu Narodowym nie tylko w łonie opozycji, ale i w łonie koalicji rządowej.

Charakterystyczne było pod tym względem wystąpienie prawnicowego deputowanego z grupy tak zwanych „Niezależnych“, generała Aumeran, który nawiązując do sugestii Schumachera, akceptowanej przez Adenauera, że niemiecki wysiłek zbrojeniowy miałby sens jedynie wówczas, gdyby mocarstwa zachodnie zgodziły się na zastosowanie „obronnej taktyki ofensywnej skierowanej jak najdalej na Wschód“, powiedział: „Ja nawet nie chcę myśleć o wojnie pre-

wencyjnej w celu zwrócenia Niemcom utraconych prowincji. Decyzja, która zmusiła Niemcy do zwrócenia Polsce ziem niegdyś jej wydartych, była jedną z najsluszniejszych decyzji powziętych w Poczdamie. Pomoc Niemcom w odzyskaniu tych ziem stanowiłaby monstrualne szaleństwo“.

Żaś przywódca grupy de Gaulle'a w Zgromadzeniu Narodowym, Palevsky oświadczył: „Rząd, który ze względów konstytucyjnych będzie musiał ustąpić, nie może podejmować decyzji, angażując przyszłość Francji. Należy powrócić do polityki, która by była polityką suwerenności. Należy wrócić do paktów zabezpieczających Francję przed niebezpieczeństwem niemieckim, a szczególnie do paktu francusko-radzieckiego“.

Inny deputowany z grupy de Gaulle'a, były ambasador francuski w Polsce w okresie wybuchu drugiej wojny światowej, Leon Noel przypomniał, że inicjatorzy projektu „armii europejskiej“ szermowali z początku argumentem o „groźbie radzieckiej“. „Lata minęły i czy okazało się, że to jest naprawdę poważne niebezpieczeństwo?“ — zapytał Noel. Krytykując strukturę „armii europejskiej“ Noel stwierdził, że byłaby ona „albo organem bezskutecznym, albo też przekształciłaby się w armię niemiecką z dywizjami francuskimi“. Deputowany z własnej grupy Plevana — inicjatora projektu armii europejskiej, Bonnefous, wypowiadając się przeciwko „armii europejskiej“, oświadczył: „W ten sposób nie buduje się Europy, lecz doprowadza do jej rozkładu. Jeśli Francja powie t a k na temat armii europejskiej, to nastąpi integracja jej armii. Jeśli Niemcy powiedzą t a k, to odbudują z powrotem swoją armię“.

Deбата, która miała trwać cztery dni, od 17 do 20 listopada włącznie, nie została w terminie zakończona. Dramatycznym punktem kulminacyj-

nym po czterech dniach debaty było załamanie się 21 listopada wieczorem na mównicy parlamentu ministra spraw zagranicznych Bidault, który, przemawiając w obronie „armii europejskiej“, zemdlął w połowie swojego przemówienia i został wyniesiony z sali.

To załamanie się głównego w rządzie Lanieli obrońcy „armii europejskiej“ było symboliczne. Bidault jakby przecenił swoje siły, broniąc sprawy przegranej. Mimo bowiem, że debata się wtedy formalnie jeszcze nie zakończyła, że odłożono ją do 24 listopada, a nie ukończywszy 24 listopada, w poszukiwaniu kompromisu — do 25 listopada, że wobec widma kryzysu Laniel postawił kwestię zaufania, do której Zgromadzenie przystąpiło 27 listopada, mimo te wszystkie proceduralne sztuczki — głosy, jakie odezwały się w debacie potwierdziły raz jeszcze, że we wszystkich kołach społeczeństwa francuskiego rośnie opór przeciw „armii europejskiej“.

Z zamieszania, jakie cechowało w tej debacie zarówno taktykę rządu jak i stronnictw popierających „armię europejską“, czego wyrazem było zgłoszenie aż 13 projektów rezolucji (w tym tylko 2 aprobujących „armię europejską“), odbywanie przez rząd Lanieli jednego posiedzenia gabinetu za drugim oraz, dla ratowania się wobec grożącego w łonie rządu rozłamu, postawienie przez Lanielę kwestii zaufania — dziennik Liberation“ wyciągnął następującą konkluzję: „Nawet gdyby w końcu uchwalono jakąś rezolucję, byłoby rzeczą niemożliwą kontynuowanie tak zwanej polityki europejskiej, za którą nie stoi większość w parlamencie, a przeciwko której występuje wzrastająca większość społeczeństwa“.

STEFAN LITAUER

POSIEDZENIE ROZSZERZONEGO PREZYDIUM POLSKIEGO KOMITETU OBRONCÓW POKOJU i POLSKIEGO KOMITETU DLA POKOJOWEGO ROZWIĄZANIA PROBLEMU NIEMIECKIEGO

(Warszawa, 13.11.1953 r.)

W DNIU 13 listopada 1953 r. odbyło się w Warszawie Posiedzenie rozszerzonego Prezydium Polskiego Komitetu Obronców Pokoju i Polskiego Komitetu dla Pokojowego Rozwiązania Problemu Niemieckiego. W posiedzeniu wzięli udział przedstawiciele robotników, chłopów, inteligencji pracującej, duchowieństwa i działacze ruchu pokoju z wszystkich części kraju.

W związku ze zbliżającą się sesją Światowej Rady Pokoju, wygłosił referat przewodniczący PKOP, Jarosław Iwaszkiewicz. Mówca stwierdził m. in., że — mimo osiągnięcia przez światowy ruch pokoju wielkiego zwycięstwa, jakim było zawarcie rozejmu w Korei, sytuacja międzynarodowa nadal pozostaje naprężona i trzeba podjąć jeszcze wiele wysiłków, aby doprowadzić do trwałego pokojowego rozwiązania spornych problemów międzynarodowych. Chodzi przede wszystkim o ostateczne załatwienie sprawy koreańskiej oraz o pokojowe uregulowanie problemu niemieckiego. Naród polski, zjednoczony w szeregach Frontu Narodowego, dołoży wszelkich starań i wysiłków dla zrealizowania wielkich celów Światowego Ruchu Pokoju.

Referat na temat rosnącej groźby

w Niemczech zachodnich, przekształcanych przez imperializm amerykański w główną bazę agresji w Europie, oraz na temat walki narodów Europy, a w szczególności narodu polskiego o pokojowe uregulowanie problemu niemieckiego, wygłosił prof. Politechniki Wrocławskiej, członek Prezydium PAN, Stanisław Kulczyński. Mówca przytoczył m. in. szereg cyfr i faktów, ilustrujących rozwój gospodarczy i kulturalny naszych Ziem Zachodnich, do których roszczą sobie pretensje rewizjoniści z Bonn.

Na fle obu tych referatów rozwinięła się ożywiona dyskusja, w której wzięli m. in. udział: Gustaw Morcinek, literat, ks. Jan Dąbrowski, Edmund Osmańczyk, literat, Popiel, chłop ze spółdzielni produkcyjnej w woj. wrocławskim, Zofia Starowieyska-Morstinowa, pisarka, prof. Politechniki Gdańskiej Cebertowicz i inni.

Dyskusja ta potwierdziła niewzruszoną jedność całego narodu polskiego w walce o pokój i rozkwit naszej ojczyzny, przeciw amerykańsko-hitlerowskiemu, popieranemu przez Watykan, spiskowi wojennemu.

Zebrani uchwalili tekst odezwy do narodu francuskiego oraz dwie rezolucje, które zamieszczamy poniżej.

REZOLUCJA O SYTUACJI MIĘDZYNARODOWEJ I ZADANIACH POLSKIEGO RUCHU OBRONCÓW POKOJU

„Na całym świecie rozwija się z coraz większą siłą ruch w obronie pokoju. Narody świata domagają się coraz bardziej stanowczo uregulowania spornych zagadnień międzynarodowych drogą rokowań i porozumienia, popierają pokojową politykę Związku Radzieckiego, żądają zakończenia „zimnej wojny“, walczą w obronie swej niepodległości narodowej.

Poważnym osiągnięciem sił pokoju jest zmuszenie agresorów do zaprzestania działań wojennych na Korei, do zawarcia rozejmu, w rezultacie czego nastąpiło pewne osłabienie napięcia w stosunkach międzynarodowych. Dodało to nowego bodźca walce narodów o pokojowe rozwiązanie palących problemów międzynarodowych.

Takim palącym problemem, domagającym się rozwiązania zgodnie z interesami narodów i sprawą pokoju, jest w Europie problem niemiecki.

Wbrew uroczystym przyjętym zobowiązaniom i układowi międzynarodowemu, wbrew jednomyślniej woli narodów, koła rządzące państw imperialistycznych, a w szczególności Stanów Zjednoczonych, pogłębiają podział Niemiec i przekształcają Niem-

cy zachodnie w ognisko agresji. Pod opieką tych kół imperialistycznych odrodziły się siły reakcji, faszyzmu i militarystyki niemieckiej, które przy poparciu politycznych kół Watykanu głoszą jawnie program odwetu, wojny i zaborów pod adresem wszystkich państw sąsiednich.

Rządy trzech państw zachodnich dążą do najszybszego wprowadzenia w życie wojennych układów z Bonn i Paryża, przewidujących odbudowę odwetowego Wehrmachtu i włączenie Niemiec zachodnich do agresywnego bloku atlantyckiego, co uniemożliwiłoby odbudowę Niemiec jako państwa zjednoczonego i pokojowego.

Przeciwko tej zbrodniczej polityce rozlega się coraz donośniej potężny głos narodów, które poniosły tak wielkie ofiary w czasie ostatniej wojny. Naród polski pamięta dobrze zbrodnie i bestialstwa agresji i okupacji hitlerowskiej i nie pogodzi się nigdy z odbudową odwetowego militarystyki w Niemczech zachodnich. Nie pogodzą się z tym również i inne narody Europy.

Narody żądają zjednoczenia Niemiec na podstawach demokratycznych i pokojowych, zgodnie z zasadami układu poczdamskiego. Narody

popierają gorąco konsekwentne wysiłki Związku Radzieckiego, zmierzające do pokojowego rozwiązania problemu niemieckiego i widzą w jego konstruktywnych propozycjach drogę do zapewnienia pokoju w Europie.

Polityka Rządu Polski Ludowej zmierzała i zmierza do pokojowego rozwiązania problemu niemieckiego w imię interesów narodu polskiego i zgodnie z interesami narodu niemieckiego.

Naród polski całym sercem i jednomyślną wolą popiera pokojową politykę Związku Radzieckiego, która odpowiada najbardziej żywotnym interesom naszego bezpieczeństwa i naszej niepodległości.

Naród polskiłączony przyjaźnią i braterską współpracą z Niemiecą Republiką Demokratyczną wyraża swą pełną solidarność z pokojowymi i demokratycznymi siłami całych Niemiec, które walczą o jedność swego kraju, o demokrację i pokój.

Naród polski wita z radością wspólny rozwój ruchu patriotycznego w krajach Europy Zachodniej, walkę narodów przeciwko ratyfikacji układów o tzw. „armii europejskiej“, przeciwko remilitaryzacji Niemiec zachodnich.

Naród polski ze szczególną radością wita potężny zryw narodu francuskiego, jego wzmoczoną walkę przeciwko polityce odradzania militarystyki niemieckiego. Polscy bojownicy o pokój pragną zapewnić patriotów francuskich, że w walce, jaką prowa-

dzą o niepodległość narodową i honor Francji, mogą liczyć na pełne poparcie narodu polskiego — w imię wspólnych żywotnych interesów obu narodów, w imię tradycyjnej przyjaźni polsko - francuskiej, scementowanej przelaną krwią we wspólnych bojach przeciwko hitlerowskiemu najeźdźcy.

Naród polski swą codzienną pokojową pracą pomnaża swe siły, wnosząc poważny wkład do walki o pokój, jaką toczą wszystkie narody świata. IX Plenum KC PZPR postawiło przed całym narodem polskim zadanie szybszego podwyższenia stopy życiowej wszystkich ludzi pracy w mieście i na wsi, dalszego zacieśnienia sojuszu robotniczo-chłopskiego, wzrostu aktywności politycznej i produkcyjnej oraz pogłębienia jedności w imię budowy Polski silnej i szczęśliwej.

Naród polski, łączony wieczystym sojuszem z potężnym Związkiem Radzieckim, łączony braterską przyjaźnią z całym obozem pokoju, czujnie stoi na straży swego pokojowego budownictwa, na straży swych granic.

Polski Komitet Obrońców Pokoju wzywa wszystkich Polaków, aby zjednoczyli się jeszcze bardziej w szeregach Frontu Narodowego, aby swą pracą umacniali siłę i potęgę Polski Ludowej, aby wnosili swój wkład do nieustannego wzrostu sił i zwartości obozu pokoju, jednoczącego wszystkich ludzi dobrej woli w imię wolności i niepodległości narodów, w imię pokoju na świecie“.

REZOLUCJA W SPRAWIE PIRACKIEGO NAPADU NA STATEK „PRACA“

Rozszerzone Prezydium Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju zebrane w dniu 13 listopada w Warszawie. protestuje z najgłębszym oburzeniem przeciwko pirackiemu porwaniu polskiego statku handlowego „Praca“ przez czangkaiszekowskich bandytów.

Za ten niesłychany akt gwałtu, naruszający elementarne zasady pokojowego współżycia międzynarodowego, który wzbudził oburzenie wszystkich uczciwych ludzi na całym świecie, pełną odpowiedzialność ponoszą władze amerykańskie, pod których rozkazami i opieką znajdują się

kuomintangowskie niedobitki na Tajwanie.

Ten wyczyn piracki odsłonił raz jeszcze gangsterskie metody kół agresywnych, które nie chcą dopuścić do odprężenia w stosunkach międzynarodowych, które zainteresowane są w szerzeniu zamętu i nienawidzą pokoju.

Wyrażając jednomysłne uczucia całego narodu polskiego, Prezydium Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju domaga się natychmiastowego uwolnienia statku „Praca“ wraz z załogą i ładunkiem i umożliwienia mu kontynuowania jego podróży.

Czytaj i prenumeruj
MIESIĘCZNIK
„W OBRONIE POKOJU“

TREŚĆ NUMERU:

	Str.
Emmanuel d'Astier: Szanse trwałego pokoju	2
Marc Jacquier: Wspólnoty „europejskimi“ zwane	6
Leopold Infeld: Bomba atomowa a bomba wodorowa	15
Ahmed Rassuli: Reportaż z Iranu	19
Vezio Crisafulli: Triest — „ziemia niczyja“	29
Naród amerykański między pokojem a wojną (II)	36
G. D. Nibaut: Zmierzch potęgi „United Fruit Co“	45
Jurij Ryłkiew: Dziesięć dni w wagonie	50
J. B. Eggens: Nie kpijcie z wynalazców!	60
Kibrik: Wystawa sztuki zachodniej w Moskwie	69
Dr A. Salomon: O rwie kulszowej	72
Ren. Jougllet: Złoto i chleb	76
Stanisław Slotwiński: Zapora Goczalkowicka	90
Krzysztof Zarewicz: Rozwój radzieckiej Estonii	94
Stefan Litauer: Fakty i komentarze	100
Konferencja rozszerzonego Prezydium Polskiego Komitetu Obróńców Pokoju i Polskiego Komitetu dla Pokojowego Rozwiązania Problemu Niemieckiego (13 listopada 1953 r.)	108

Miesięcznik „W Obronie Pokoju” ukazuje się dotychczas w następujących krajach:

FRANCJA: „Defense de la Paix“, 33 rue Vivienne, Paris II-e.

Prenumerata: rocznie — 600 fr., półrocznie — 300 fr.

ZSRR: „W Zaszczitu Mira“, Moskwa, ul. Krapotkina 10.

BULGARIA: „Zaszczita na Mira“, Sofla, Ivan-Vazov 27.

WŁOCHY: „La Pace“, Ressegna Internazionale del Mese“,
Piazza Montecitorio 115, ROMA.

MEKSYK: Revista „Paz“, Mexico 1, D. F., Avenida Juarez 20.

CHINY: „Pao Wei Ho Ping“, Pekin, Taichichang 9.

NRD: „Friedenswacht“, Mauerstrasse Berlin, W. 8.

NIEMCY ZACHODNIE: „Friedenswacht“, Stuttgart 0. —
Heinrich-Baumannstrasse 27.

JAPONIA: „Haiwa Yogo“, Japan Peace Committee 28.
Tamachi, Bunkyo-ku, Tokio.

RUMUNIA: „In Apararea Pacii“, Revista Lunara Bucuresti,
str. Polonia 19.

BRAZYLIA: „Partidarios da Paz“, Rua Sao Jose No 50,
Sala 502, Rio de Janeiro.

KANADA: „Peace Review“, 82 Gould St., Toronto.

FINLANDIA: „Tanaan“, 15/17 Erottajankatu, Helsinki.

IRAN: „Defae Az Solhe“, av. Ferdowsi, Teheran.

Uwaga abonenci!

2A/110

Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę miesięcznika „W Obronie Pokoju” są przyjmowane: 510

Na okresy kwartalne — do dnia 10-go grudnia	na I kwartał
„ „ 10-go marca	na II „
„ „ 10-go czerwca	na III „
„ „ 10-go września	na IV „

Na okresy półroczne — do dnia 10-go grudnia	na I półrocze
„ „ 10-go czerwca	na II „

Na okres roczny — do dnia 10-go grudnia

Zgłoszenia na prenumeratę przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy.

Reklamacje prosimy kierować do P. P. K. „Ruch” — Warszawa, ul. Srebrna 12.



Podwójna radość na gwiazdkę:
prenumerata „W Obronie Pokoju”

